HENRYK SIENKIEWICZ

POTOP

POWIEŚĆ

TOM IV

WYDAWNICTWO «W DRODZĘ»
JEROZOLIMA

HENRYK SIENKIEWICZ

POTOP

POWIEŚĆ

TOM IV

WYDAWNICTWO «W DRODZE»

Jerozolima

Printed in Palestine at The Jerusalem Press Ltd., Jerusalem
August, 1943

ROZDZIAŁ I.

Kmicica i Kiemliczów szparko konie niosły do granicy śląskiej. Jechali ostrożnie, by się z jakim podjazdem szwedzkim nie spotkać, bo jakkolwiek chytrzy Kiemlicze mieli „pasy“, wydane przez Kuklinowskiego, a podpisane przez Müllera, jednakże żołnierzy, nawet zaopatrzonych w podobne dokumenta, poddawano zwykle badaniu, takie badanie zaś mogło źle wypaść dla pana Andrzeja i jego towarzyszów. Jechali więc śpiesznie, by granicę przejść jak najprędzej i w głąb cesarskiego kraju się zasunąć. Same brzegi graniczne nie były także od „grasantów“ szwedzkich bezpieczne, a częstokroć i całe oddziały rajtarów zapuszczały się na Śląsk, by imać tych, którzy się do Jana Kazimierza przebierali. Ale Kiemlicze, przez czas postoju pod Częstochową zatrudnieni ustawicznie łowami na pojedyńczych Szwedów, przeznali już nawskroś całą okolicę, wszystkie graniczne drogi, ścieżki i przechody, na których połów bywał najobfitszy, i byli jakby we własnym kraju.

Przez drogę opowiadał stary Kiemlicz panu Andrzejowi, co słychać w Rzeczypospolitej, pan Andrzej zaś zamknięty przez tak długi czas w fortecy, słuchał tych nowin chciwie i o bólu własnym zapomniał, gdyż były one nader dla Szwedów niepomyślne i zwiastowały bliski już koniec panowania szwedzkiego w Polsce.

— Wojsko już sobie przykrzy szwedzką fortunę i szwedzką kompanję, — mówił stary Kiemlicz, — a co

dawniej żołnierze gardłem hetmanom grozili, gdyby się nie chcieli ze Szwedem połączyć, tak teraz sami do pana Potockiego instancje wnoszą i deputacje wysyłają, żeby Rzeczpospolitą z opresji ratował, przysięgając wszyscy do gardła przy nim stać. Niektórzy też pułkownicy na swoją rękę poczęli Szwedów podjeżdżać.

— Którenże pierwszy począł?

— Jest pan Żegocki, starosta babimojski, z panem Kuleszą. Ci w Wielkopolsce rozpoczęli i znacznie Szwedów konfundują, siła mniejszych oddziałów jest w całym kraju, ale nazwisk przywódców ciężko wiedzieć, gdyż oni umyślnie ich nie powiadają, a to dlatego, by swoje rodziny i substancje od pomsty szwedzkiej uchronić. Z wojska pierwszy się podniósł ten pułk, któremu pan Woyniłłowicz pułkownikuje.

— Gabrjel?... Toż to mój krewny, chociaż go nie znam!

— Szczery to żołnierz. On to partję zdrajcy Prackiego starł, która Szwedom służyła i samego rozstrzelał, a teraz ku górom srogim poszedł, które za Krakowem leżą; tam oddział szwedzki zniósł i góralów ratował, w ucisku od Szwedów będących...

— To zaś i górale Szwedów już biją?

— Oni najpierwsi zaczęli; jeno, jako to głupie chłopstwo, chcieli zaraz Kraków siekierkami odbierać, których jenerał Duglas rozproszył, gdyż oni w równinach eksperjencji żadnej nie mają, ale co w góry za nimi kilka partyj posłali, to z tych żaden człowiek nie wrócił. Teraz pan Woyniłłowicz ono chłopstwo wspomógł, sam zaś do pana marszałka do Lubowli poszedł i z jego się wojskami połączył.

— Zali pan marszałek Lubomirski przeciw Szwedom stoi?

— Różnie o nim gadali, że się i na tę i na tę stronę namyślał, ale jak już poczęto w całym kraju na koń siadać, tak i on się na Szwedów zawziął. Możny to pan i siła złego może im uczynić! Sam on jeden mógłby z królem szwedzkim

wojować. Powiadają też ludzie, że do wiosny ani jednego Szweda w Rzeczypospolitej nie będzie...

— Da Bóg, że się to stanie!

— Jakże ma być inaczej, wasza miłość, skoro za oblężenie Częstochowy wszyscy się przeciw nim zawzięli. Wojsko się buntuje, szlachta bije ich już, gdzie może, chłopstwo się w kupy zbiera, a do tego Tatarzy idą, idzie chan własną osobą, który Chmielnickiego i kozaków pobił i obiecał ich zeszczętem zetrzeć, chyba, że na Szwedów ruszą.

— Ale i Szwedzi mają jeszcze znacznych stronników między panami a szlachtą?

— Ten się ich jeno trzyma, kto musi, a i tacy pory tylko wyczekują. Jeden książę wojewoda wileński szczerze do nich przystąpił, to też na złe mu to wyszło.

Kmicic aż konia wstrzymał i jednocześnie za bok się uchwycił, bo go ból srogi przeszył.

— Na Boga! — zawołał, stłumiwszy jęk — gadajże mi, co się z Radziwiłłem dzieje? Zali ciągle siedzi w Kiejdanach?

— Wieżo z kości słoniowej! — rzekł stary — tyle ja wiem, co ludzie gadają, a Bóg wie, czego nie gadają. Mówią jedni, że książę wojewoda już nie żywie; inni, że się jeszcze panu Sapieże broni, ale ledwie tchnie. Podobno na Podlasiu się ze sobą mocowali i pan Sapieha zmógł, bo Szwedzi nie mogli księcia wojewody ratować... Teraz prawią, że w Tykocinie przez pana Sapiehę oblężon i że już po nim.

— Chwała Bogu! Zacni triumfują nad zdrajcami!... Chwała Bogu! chwała Bogu!

Kiemlicz popatrzył zpodełba na Kmicica i sam nie wiedział, co ma myśleć. Przecie wiadomo było w całej Rzeczypospolitej, że jeżeli Radziwiłł zatriumfował z początku nad swemi własnemi wojskami, i nad szlachtą, która szwedzkiego panowania nie chciała, to stało się to w znacznej części dzięki Kmicicowi i jego ludziom.

Lecz z tą myślą stary nie zdradził się przed swym pułkownikiem i jechali dalej w milczeniu.

— A co się dzieje z księciem koniuszym? — spytał wreszcie pan Andrzej.

— Nie słyszałem o nim nic, wasza miłość — edrzekł Kiemlicz. — Może jest w Tykocinie, a może u elektora. Teraz tam wojna i król szwedzki osobą własną do Prus wyruszył, a my tymczasem naszego pana wyglądamy. Daj go Bóg! bo niechby się tylko pokazał, wszyscyby co do jednego człeka przy nim stanęli i wojskoby zaraz Szwedów opuściło.

— Pewnież tak?

— Wasza miłość! ja wiem tylko to, co ci żołnierze mówili, którzy pod Częstochową stać musieli. Jest tam grzecznej jazdy na kilka tysięcy pod panem Zbrożkiem, pod panem Kalińskim i innymi pułkownikami. Śmiem powiedzieć waszej miłości, że żaden tam z dobrej woli nie służy, chyba grasanci Kuklinowskiego, bo ci chcieli się skarbami jasnogórskiemi obłowić. Ale co zacni żołnierze, to tylko lamentowali i jeden przed drugim narzekał: „Dość nam tej służby żydowskiej! Niech jeno pan nasz nogą granicę przestąpi, wraz szable na Szwedów obrócimy, ale póki go niema, jak nam poczynać, gdzie iść?“ Tak oni narzekali, a po innych pułkach, które są pod hetmanami, gorzej jeszcze. To wiem pewno, bo przyjeżdżali od nich deputaci do pana Zbrożka z namowami i tam sekretnie po nocach radzili, o czem Müller nie wiedział, chociaż i on czuł, że źle koło niego.

— A książę wojewoda wileński w Tykocinie oblężon?— spytał pan Andrzej.

Kiemlicz znów spojrzał niespokojnie na Kmicica, bo pomyślał, że go chyba gorączka chwyta, skoro dwa razy każe sobie jedną i tęż samą wiadomość powtarzać, o której dopiero co była mowa, jednakże odpowiedział:

— Oblężon przez pana Sapiehę.

— Sprawiedliwe sądy Boże! — rzekł Kmicic. — On, który mógł potęgą z królami się równać!... Niktże przy nim nie został?

— W Tykocinie jest załoga szwedzka. A przy osobie

księcia wojewody tylko się pono trochę dworzan co wierniejszych zostało.

Kmicica pierś napełniła się radością. Bał się pomsty strasznego magnata nad Oleńką, a chociaż zdawało mu się, że tej pomście pogróżkami swemi zapobiegł, ciągle przecie trapiła go ta myśl, że lepiej i bezpieczniej byłoby Oleńce i wszystkim Billewiczom mieszkać w lwiej jamie, niż w Kiejdanach, pod ręką księcia, który nigdy nikomu nie przebaczył. Teraz jednak, gdy on upadł, musieli tem samem przeciwnicy jego triumfować; teraz, gdy go pozbawiono sił, znaczenia, gdy był panem jednego tylko lichego zameczka, w którym życia własnego i wolności bronił, nie mógł przecie myśleć o zemście; ręka jego przestała ciężyć nad nieprzyjacioły.

— Chwała bądź Bogu! Chwała bądź Bogu! — powtórzył Kmicic.

I tak miał głowę zaprzątniętą tą zmianą radziwiłłowskich losów i tem, co się przez cały czas jego pobytu w Częstochowie zdarzyło, i tem, gdzie jest ta, którą pokochało jego serce, i tem co się z nią stało, że po raz trzeci spytał Kiemlicza:

— Mówisz tedy, że książę złaman?

— Złaman zeszczętem — odpowiedział stary. — Czy wasza miłość nie chory?

— Bok jeno piecze. Nic to! — odrzekł Kmicic.

I znów jechali w milczeniu. Strudzone konie zwalniały stopniowo kroku, aż wreszcie poczęły iść stępa. Jednostajny ruch ten uśpił znużonego na śmierć pana Andrzeja i spał długo, kiwając się na kulbace. Zbudziło go dopiero białe światło dzienne.

Obejrzał się ze zdziwieniem dokoła, bo zdało mu się w pierwszej chwili, że wszystko, co tej nocy przeszedł, to był tylko sen; wreszcie spytał:

— To wy, Kiemlicze? My z pod Częstochowy jedziem?

— A jakże, wasza miłość!

— A gdzie jesteśmy?

— Oho! już w Śląsku. Już nas tu Szwedzi nie dostaną!

— To dobrze! — rzekł Kmicic, oprzytomniawszy zupełnie. — A gdzie nasz miłościwy król rezyduje?

— W Głogowej.

— Tam też pojedziemy panu do nóg się pokłonić, służby ofiarować. Ale słuchaj-no, stary!

— Słucham, wasza miłość!

Lecz Kmicic zamyślił się i nie odrazu mówić począł. Widocznie coś w głowie układał, wahał się, rozważał, nakoniec rzekł:

— Nie może być inaczej!

— Słucham, wasza miłość! — powtórzył Kiemlicz.

— Ni królowi, ni nikomu z dworskich nie pisnąć, ktom jest!... Zwę się Babinicz, a jedziem z Częstochowy. O kolubrynie i o Kuklinowskim możecie mówić... Ale nazwiska mego nie wspominać, żeby tam moich intencyj nawspak nie wzięto i za zdrajcę mnie nie poczytano, bom ja w zaślepieniu księciu wojewodzie wileńskiemu służył i jeszcze mu pomagał, o czem na dworze mogli słyszeć.

— Panie pułkowniku! Po tem, czego wasza miłość pod Częstochową dokonał...

— A kto da świadectwo, że to prawda, póki klasztor oblężony?

— Stanie się wedle rozkazu.

— Nadbieży czas, że prawda nawierzch wyjdzie, — rzekł jakby do siebie Kmicic, — ale pierwej musi się pan nasz miłosciwy sam przekonać... On też da mi później świadectwo!

Na tem urwała się rozmowa. Tymczasem uczynił się dzień zupełny. Stary Kiemlicz począł śpiewać godzinki, a Kosma i Damjan wtórowali mu basem. Droga była uciążliwa, bo mróz trzymał trzaskający, a przytem ustawicznie zatrzymywano jadących i wypytywano o nowiny, zwłaszcza zaś o to, czy Częstochowa broni się jeszcze. Kmicic odpowiadał, że się broni i obroni, lecz pytaniom nie było końca. Gościńce roiły się od podróżnych, gospody wszędzie

po drodze pozajmowane. Jedni chronili się w głąb kraju z pogranicznych ziem Rzeczypospolitej przed uciskiem szwedzkim, drudzy pomykali ku granicom po wieści z kraju; raz wraz spotykano szlachtę, która mając dość Szwedów, jechała tak, jak i Kmicic, służby wygnanemu panu ofiarować. Czasem trafiały się i poczty pańskie, czasem większe lub mniejsze oddziały żołnierzy, z tych wojsk, które bądźto dobrowolnie, bądź na mocy układów ze Szwedami przeszły granice, jak np. wojska pana kasztelana kijowskiego. Wieści z kraju już były ożywiły nadzieje tych „exulów" i wielu gotowało się do zbrojnego powrotu. W całym Śląsku, a zwłaszcza w księstwach raciborskiem i opolskiem, gotowało się jak w garnku; posłańcy latali z listami do króla i od króla do pana kasztelana kijowskiego, do prymasa, do pana kanclerza Korycińskiego, do pana Warszyckiego, kasztelana krakowskiego, pierwszego senatora Rzeczypospolitej, który ani na chwilę nie opuścił sprawy Jana Kazimierza.

Panowie ci, w porozumieniu z wielką królową, niezachwianą w nieszczęściu, porozumiewali się i ze sobą i z krajem i z przedniejszymi w nim ludźmi, o których wiedziano, że radziby do wierności prawemu panu powrócić. Swoją drogą słał gońców i pan marszałek koronny i hetmani i wojsko i szlachta, gotująca się do chwycenia za broń.

Była to wilja do powszechnej wojny, która w niektórych miejscach już wybuchła. Szwedzi tłumili te miejscowe porywy bądź orężem, bądź siekierą kata, lecz ogień zgaszony w jednem miejscu, natychmiast zapalał się w drugiem. Burza straszliwa zawisła nad głowami skandynawskich najezdników; ziemia sama, lubo pokryta śniegami, poczęła parzyć ich stopy; groźba i pomsta otaczały ich ze wszystkich stron, straszyły ich cienie własne.

Więc chodzili jak błędni. Niedawne pieśni triumfu zamarły im na ustach i sami pytali siebie z największem zdumieniem: — Jest-li to ten sam naród, który wczoraj jeszcze opuścił własnego pana, poddał się bez boju? — Jakże? panowie, szlachta, wojsko, niebywałym w dziejach przykładem

przeszli do zwycięzcy; miasta i zamki otwierały bramy; kraj był zajęty. Nigdy podbój nie kosztował mniej sił i krwi. Sami Szwedzi, dziwiąc się tej łatwości, z jaką zajęli potężną Rzeczpospolitą, nie mogli ukryć pogardy dla zwyciężonych, którzy za pierwszym połyskiem szwedzkiego miecza wyparli się króla, ojczyzny, byle życia i dostatków w spokoju zażywać, albo nowych w zamieszaniu nabyć. To, co w swoim czasie mówił cesarskiemu posłowi Lisoli Wrzeszczowicz, powtarzał sam król i wszyscy jenerałowie szwedzcy: — Niema w tym narodzie męstwa, niema stałości, niema ładu, niema wiary, ani patrjotyzmu! — muszą zginąć!

Zapomnieli, że ten naród ma jeszcze jedno uczucie, to właśnie, którego ziemskim wyrazem była Jasna Góra.

I w tem uczuciu było jego odrodzenie.

Więc huk dział, który odezwał się pod świętym przybytkiem, odezwał się zarazem we wszystkich sercach magnackich, szlacheckich, mieszczańskich, i chłopskich. Okrzyk zgrozy rozległ się od Karpat do Bałtyku i olbrzym rozbudził się z odrętwienia.

— To inny naród! — mówili ze zdumieniem jenerałowie szwedzcy.

I począwszy od Arfuida Wittemberga, a skończywszy na komendantach pojedyńczych zamków, wszyscy słali do bawiącego w Prusach Karola Gustawa wieści pełne przerażenia.

Ziemia usuwała im się z pod nóg; zamiast dawnych przyjaciół, spotykali wszędy wrogów; zamiast poddania się, opór; zamiast obawy, dziką i gotową na wszystko odwagę; zamiast miękkości, okrucieństwo; zamiast cierpliwości, zemstę.

A tymczasem z rąk do rąk przelatywał tysiącami w całej Rzeczypospolitej manifest Jana Kazimierza, który poprzednio, już ze Śląska wydany, zrazu nie budził echa. Teraz przeciwnie, widywano go po zamkach jeszcze niezajętych. Gdzie tylko nie ciężyła szwedzka ręka, tam szlachta zbierała się w kupy i kupki i biła się w piersi, słuchając wzniosłych

słów wygnanego króla, który wytykając błędy i grzechy, rozkazywał nie tracić nadziei i do ratunku upadłej Rzeczypospolitej się zrywać.

„Nie minął jednak czas (pisał Jan Kazimierz), chociaż tak już daleko postąpił nieprzyjaciel, abyśmy utraconych prowincyj i miast odzyskać nie mogli i Bogu powinnej chwały powrócić, sprofanowane kościoły krwią nieprzyjacielską nasycić, a wolności i prawa dawne w klubę zwyczajną i staropolskie postanowienie wprowadzić nie mogli; byle się tylko ta staropolska cnota i ona starożytnych przodków Uprzejmości i Wierności waszych ku Panu observantia i miłość, z jakowej się przed różnemi narodami nasz dziad Zygmunt Pierwszy szczycił, powróciła. Przystąpiła już tedy pierwszych występków odmiana ku cnocie. Komu Bóg i wiara Jego święta pierwsza nad wszystko dobro, przeciwko temu szwedzkiemu nieprzyjacielowi Uprzejmości i Wierności wasze powstańcie. Nie czekajcie wodzów i wojewód, albo takiego porządku, jaki w pospolitem prawie opisany. Już teraz między Uprzejmościami i Wiernościami waszemi nieprzyjaciel wszystkie te rzeczy pomieszał: ale jeden do drugiego, trzeci do dwu, czwarty do trzech, piąty do czterech i tak p e r c o n s e q u e n s, by też każdy i z własnymi poddanymi zgromadźcie się, a gdzie słuszna, na jaki opór zwiedźcie się. Tam sobie wodza obierzcie dopiero. Jedna do drugiej kupy wiążcie się i słusznie już z siebie wojsko uczyniwszy, wodza nad niem wiadomego obrawszy, osoby naszej poczekajcie, nie opuszczając okazji, gdyby się trafiła, do porażenia nieprzyjaciela. My, bylebyśmy o okazji i gotowości i skłonności ku nam Uprzejmości i Wierności waszych usłyszeli, zaraz natychmiast przybędziemy i zdrowie nasze tam położymy, gdzie zaszczycenie całości ojczyzny potrzebować będzie“.

Uniwersał ten odczytywano nawet w obozie Karola Gustawa, nawet po zamkach, szwedzkie załogi mających i wszędzie, gdzie się tylko polskie chorągwie znajdowały. Szlachta łzami oblewała każde słowo królewskie, dobrego

pana żałując i zaprzysięgała sobie na krzyżach, na wizerunek N. Panny i szkaplerzach, woli jego uczynić zadość. Żeby zaś gotowości swej złożyć dowód, póki zapał tlał w sercach, a łzy nie obeschły, siadano, nie czekając długo, tu i owdzie na koń i rzucano się jeszcze „za ciepła“ na Szwedów.

W ten sposób mniejsze oddziały szwedzkie topnieć i ginąć poczęły. Działo się to na Litwie, Żmudzi, Mazowszu, Wielko- i Małopolsce. Nieraz szlachta, zebrawszy się u sąsiada na chrzciny, imieniny, na wesele lub kulig, bez żadnych wojowniczych zamiarów, kończyła na tem zabawę, że podpiwszy, uderzała jak grom i wycinała w pień pobliską szwedzką komendę. Poczem kulig wśród pieśni i okrzyków, przybierając po drodze tych, którzy się „ochocić“ chcieli, jechał dalej, zmieniał się w tłum chciwy krwi, z tłumu w „partję“, która już stałą rozpoczynała wojnę. Poddani chłopi i czeladź całemi tłumami garnęli się do zabawy; inni donosili o pojedyńczych Szwedach lub pomniejszych oddziałach po wsiach nieostrożnie roztasowanych. I liczba „kuligów“ i „maszkar“ zwiększała się z dniem każdym. Wesołość i fantazja, właściwa narodowi, mieszały się do tych krwawych zabaw.

Chętnie przebierano się za Tatarów, których samo imię napełniało trwogą Szwedów, dziwne bowiem krążyły między nimi wieści i bajki o dzikości i straszliwem a okrutnem męstwie tych synów krymskich stepów, z którymi Skandynawowie nie spotkali się dotąd nigdy. Że zaś wiedziano powszechnie, iż chan w sto tysięcy, okrągło, ordy idzie w pomoc Janowi Kazimierzowi, a szlachta hałasowała, napadając na komendy, powstało stąd dziwne zmieszanie.

Pułkownicy i komendanci szwedzcy w wielu miejscach byli istotnie przekonani, że Tatarzy już nadeszli i cofali się nagwałt do większych fortec lub obozów, roznosząc wszędzie wieść fałszywą i trwogę. Tymczasem okolice, które pozbyły się w ten sposób nieprzyjaciela, mogły się zbroić i niesforne tłuszcze w rządniejsze wojsko zamieniać.

Lecz groźniejsze jeszcze dla Szwedów od kuligów szlacheckich i od samych Tatarów były ruchy chłopskie.

Oddawna, od pierwszego dnia oblężenia Częstochowy, poczęło wrzeć pomiędzy ludem i spokojni a cierpliwi dotąd oracze jęli tu i owdzie stawiać opór i tu i owdzie chwytać za kosy i cepy, a szlachcie pomagać. Bystrzejsi jenerałowie szwedzcy z największą obawą patrzyli na te chmury, które lada chwila mogły się zmienić w potop prawdziwy i pochłonąć bez ratunku najeźdźców.

Postrach wydawał im się najwłaściwszym środkiem, by zgnieść w zarodzie straszne niebezpieczeństwo. Karol Gustaw głaskał jeszcze i pochlebnemi słowy utrzymywał te chorągwie polskie, które za nim do Prus poszły. Nie szczędził też pochlebstw panu chorążemu Koniecpolskiemu, słynnemu regimentarzowi z pod Zbaraża. Ten stał przy jego boku z sześciu tysiącami niezrównanej jazdy, która przy pierwszem nieprzyjacielskiem starciu z elektorem taki postrach i zniszczenie rozniosła między Prusakami, że elektor zaniechawszy boju, co prędzej na układy się zgodził.

Słał król szwedzki także listy do hetmanów, do magnatów i szlachty, pełne łaski, obietnic i zachęcań, by mu wierności dochowali. Lecz jednocześnie wydał rozkazy swym jenerałom i komendantom niszczenia ogniem i mieczem wszelkiego oporu wewnątrz kraju, a zwłaszcza wycinania w pień kup chłopskich. Rozpoczął się tedy okres żelaznych rządów żołnierskich. Szwedzi porzucili pozory przyjaźni. Miecz, ogień, rabunek, ucisk, zastąpiły dawną udawaną życzliwość. Z zamków komenderowano potężne oddziały jazdy i piechoty w pościgu za kuligami. Równano z ziemią całe wsie, palono dwory, kościoły i plebanje. Jeńców szlachtę odawano w ręce katom; chłopom, wziętym w niewolę, obcinano prawe ręce i puszczano do domów.

Szczególnie srożyły się owe oddziały w Wielkopolsce, która jak najpierwsza się poddała, tak też najpierwsza podniosła się przeciw obcemu panowaniu. Komendant Stein rozkazał tam pewnego razu poucinać ręce przeszło trzystu chłopom, pochwyconym z bronią w ręku. Po miasteczkach pobudowano stałe szubienice i codzień ubierano je nowemi

ofiarami. Toż samo czynił Magnus de la Gardie na Litwie i Żmudzi, gdzie najprzód zaścianki, a za niemi chłopstwo broń chwyciło. Że zaś wogóle w zamieszaniu trudno było Szwedom odróżnić własnych obrońców od nieprzyjaciół, przeto nie szczędzono nikogo.

Lecz ogień podsycany krwią, zamiast gasnąć, wzmagał się coraz więcej i rozpoczęła się wojna, w której obu stronom nie chodziło już o same zwycięstwa, o zamki i miasta lub prowincje, ale o śmierć i życie. Okrucieństwo wzmagało nienawiść i poczęto nie walczyć, lecz tępić się wzajemnie bez miłosierdzia.

ROZDZIAŁ II.

Ta wojna wytępienia była dopiero w początku, gdy pan Kmicic wraz z trzema Kiemliczami dotarł po trudnej, ze względu na jego nadwerężone zdrowie, podróży do Głogowej. Przyjechali nocą. Miasto było przepełnione od wojska, panów, szlachty, sług królewskich i magnackich, a gospody tak pozajmowane, że stary Kiemlicz z największym trudem wystarał się o kwaterę dla pana Andrzeja, u powróżnika, mieszkającego już za miastem.

Dzień ten przeleżał pan Andrzej w bólu i w gorączce od oparzenia. Chwilami myślał, że przyjdzie mu ciężko, obłożnie zachorować. Ale żelazna natura przemogła. Następnej nocy uczyniło mu się lżej, a świtaniem ubrał się już i poszedł do farnego kościoła Bogu za cudowne swe ocalenie podziękować.

Szary i śnieżny zimowy ranek zaledwie rozproszył ciemności. Miasto jeszcze spało, ale przez drzwi kościoła widać już było światło w ołtarzu i dochodziły go głosy organów.

Kmicic wszedł do środka. Ksiądz przed ołtarzem odprawiał wotywę, w kościele mało jeszcze było modlących się. W ławkach klęczało kilkanaście postaci z twarzami ukrytemi w dłoniach, a oprócz nich ujrzał pan Andrzej, gdy oczy jego

oswoiły się z ciemnością, jakąś postać, leżącą krzyżem przed samemi stallami, na rozciągniętym na ziemi kobierczyku. Za nim klęczało dwóch wyrostków o rumianych i prawie anielskich, dziecinnych twarzach. Człowiek ten leżał bez ruchu i tylko z piersi, poruszanych ustawicznie ciężkiemi westchnieniami, można było poznać, że nie śpi, że modli się gorliwie i całą duszą. Kmicic również pogrążył się w modlitwie dziękczynnej; lecz po ukończonych pacierzach oczy jego mimowoli zwróciły się na leżącego krzyżem męża i nie mogły się już od niego oderwać, tak je coś przykuwało do niego. Westchnienia podobne do jęków, głośne w ciszy kościelnej, wstrząsały ciągle tę postać. Żółte blaski świec zapalonych przed ołtarzem, wraz ze światłem dziennem, bielejącem w szybach, wydobywały ją z mroku i czyniły coraz widniejszą.

Pan Andrzej zaraz domyślił się z ubioru, że to musi być ktoś znaczny, gdyż i wszyscy obecni, nie wyłączając księdza odprawiającego wotywę, spoglądali nań ze czcią i uszanowaniem. Nieznajomy przybrany był cały w czarny aksamit, podbity sobolami, tylko na ramionach miał odwinięty biały koronkowy kołnierz, z pod którego przeglądały złote ogniwa łańcucha; czarny z takiemiż piórami kapelusz leżał obok, jeden zaś z paziów, klęczących za kobierczykiem, trzymał rękawice i szmelcowaną na błękitno szpadę. Twarzy nieznajomego nie mógł pan Kmicic widzieć, gdyż była ukryta w fałdach kobierczyka, a przytem zasłaniały ją zupełnie rozproszone naokoło głowy loki nadzwyczaj obfitej peruki.

Pan Andrzej przysunął się do samej stalli, tak, aby gdy nieznajomy się podniesie, mógł dojrzeć jego twarz. Tymczasem wotywa miała się ku końcowi. Ksiądz śpiewał już P a t e r n o s t e r. Ludzie, którzy chcieli być na następnej mszy, napływali przez główne drzwi wchodowe. Kościół zapełnił się zwolna postaciami o podgolonych głowach, przybranemi w delje, w żołnierskie burki, w szuby i altembasowe kapoty. Uczyniło się dość ciasno. Wówczas Kmicic trącił w łokieć stojącego obok szlachcica i szepnął:

— Przebacz wasza mość, że go w nabożeństwie inkomoduję, ale ciekawość mocniejsza. Kto też to jest?

Tu wskazał oczyma na leżącego krzyżem pana.

— Chybaś waść zdaleka przyjechał, że nie wiesz, kto to jest? — odparł szlachcic.

— Pewnie, żem zdaleka przyjechał i dlatego pytam w nadziei, że gdy na kogo politycznego trafię, to mi nie poskąpi odpowiedzi.

— To jest król.

— Na Boga żywego! — zawołał Kmicic.

Lecz w tej chwili król się podniósł, bo ksiądz zaczynał właśnie czytać ewangelję.

Pan Andrzej ujrzał twarz wymizerowaną, żółtą i przezroczystą jak wosk kościelny. Oczy królewskie były wilgotne, a powieki zaczerwienione. Rzekłbyś, całe losy kraju odbiły się na tej szlachetnej twarzy, tyle w niej było bólu, cierpienia, troski. Noce bezsenne, rozdzielane między modlitwę a zmartwienie, zawody okrutne, tułactwo, opuszczenie, upokorzony majestat tego syna, prawnuka i wnuka potężnych królów, gorycz, którą tak obficie napawali go właśni poddani, niewdzięczność kraju, dla którego gotów był krew i życie poświęcić, wszystko to można było, jak w księdze, w tem obliczu wyczytać. A jednak biła z niego nietylko rezygnacja, zdobyta przez wiarę i modlitwę, nietylko majestat króla i Bożego pomazańca, ale taka dobroć wielka, niewyczerpana, iż widać było, że dość będzie największym odstępcom, najbardziej winnym, wyciągnąć tylko ręce do tego ojca, a ten ojciec przyjmie, przebaczy i krzywd własnych zapomni.

Kmicicowi na jego widok zdawało się, że ktoś mu żelazną dłonią ścisnął serce. Żal zawrzał w gorącej duszy junaka. Skrucha, litość i cześć oddech zaparły mu w gardle, poczucie winy niezmiernej podcięło mu kolana, aż drżeć począł na całem ciele i nagle nowe, nieznane uczucie powstało mu w piersi. Oto w jednej chwili pokochał tak ten bolesny majestat, że uczuł, iż nie ma nic droższego na ziemi

całej od tego ojca i pana, że gotów za niego poświęcić krew, życie, znieść torturę i wszystko w świecie. Chciałby się do tych nóg rzucić, kolana objąć i prosić o odpuszczenie win. Szlachcic, zuchwały warchoł, zamarł w nim w jednej chwili, a urodził się regalista, oddany duszą całą swemu królowi.

— To nasz pan! nasz pan nieszczęsny! — powtarzał sobie, jakby ustami chciał dać świadectwo temu, co widziały jego oczy, a czuło serce.

Tymczasem Jan Kazimierz po ewangelji klęknął znowu, ręce rozłożył, oczy wzniósł ku górze i pogrążył się w modlitwie. Ksiądz wreszcie odszedł, począł się ruch w kościele, król klęczał ciągle.

Aż ów szlachcic, którego Kmicic zaczepił, trącił teraz w bok pana Andrzeja.

— A coś waćpan za jeden? — spytał.

Kmicic nie odrazu zrozumiał pytanie i nie zaraz odpowiedział, tak dalece serce jego i umysł były osobą królewską zajęte.

— A coś waćpan za jeden? — powtórzył ów personat.

— Szlachcic, jako i waszmość! — odrzekł pan Andrzej, zbudziwszy się jakby ze snu.

— Jakże cię zowią?

— Jak mnie zowią? Zwę się Babinicz, a jestem z Litwy, z pod Witebska.

— A jam jest Ługowski, dworski królewski!... Proszę, to waćpan aż z Litwy, z pod Witebska jedziesz?

— Nie... Jadę z Częstochowy.

Pan Ługowski aż zaniemówił na chwilę ze zdziwienia.

— A jeśli tak, to bywajże waćpan, bywaj, bo nam nowin udzielisz! Mało już króla miłościwego nie umorzył frasunek, że przez trzy dni żadnej pewnej wieści nie miał. Jakżeto? Z pod chorągwi Zbrożka może, albo Kalińskiego, albo Kuklinowskiego? Z pod Częstochowy?

— Nie z pod Częstochowy, ale z samego klasztoru, wprost!

— Chyba waść żartujesz? Co tam? co słychać? Broniże się jeszcze Jasna Góra?

— I broni się i będzie broniła. Szwedzi już na odstąpieniu!

— Dlaboga! Król ozłoci waszmości! Z samego klasztoru, powiadasz, jedziesz?... Jakże cię to Szwedzi puścili?

— Jam ich o permisję nie prosił, ale wybaczaj waćpan, że w kościele obszerniejszej relacji dać nie mogę.

— Słusznie, słusznie — odparł pan Ługowski. — Bóg miłosierny!... Z nieba nam spadłeś!... W kościele nie przystoi... słusznie! Czekajże waćpan. Zaraz się król podniesie, śniadać przed sumą pojedzie... Dziś niedziela... Chodź waść, staniesz wraz ze mną przy drzwiach i wraz u wejścia przedstawię waćpana królowi... Chodź, chodź, bo niema czasu!

To rzekłszy, ruszył naprzód, a Kmicic za nim. Zaledwie ustawili się przy drzwiach, gdy ukazało się najprzód dwóch paziów, a za nimi wyszedł zwolna Jan Kazimierz.

— Miłościwy królu! — zakrzyknął pan Ługowski — są wieści z Częstochowy!

Woskowa twarz Jana Kazimierza ożywiła się nagle.

— Co? gdzie? kto jest? — spytał.

— Ten oto szlachcic! Powiada, że z samego klasztoru jedzie.

— Zali klasztor już zdobyty? — zakrzyknął król.

Wtem pan Andrzej rymnął jak długi do nóg pańskich.

Jan Kazimierz pochylił się i począł podnosić go za ramiona.

— Na potem, — wołał, — na potem!... Wstań waść, na Boga, wstań! mów prędzej... Klasztor zdobyty?

Kmicic zerwał się ze łzami w oczach i krzyknął z zapałem:

— Nie zdobyty, miłościwy panie i nie będzie! Szwedzi pobici! Największa armata wysadzona! Strach między nimi, głód, mizerja! O odstąpieniu myślą!...

— Chwała! chwała Tobie, Królowo Anielska i nasza! — rzekł król.

To rzekłszy, odwrócił się ku drzwiom kościelnym, zdjął kapelusz i nie wchodząc do środka, klęknął na śniegu przy drzwiach. Głowę oparł o ramę kamienną i pogrążył się w milczeniu. Po chwili łkanie poczęło nim wstrząsać.

Rozczulenie ogarnęło wszystkich. Pan Andrzej ryczał jak żubr.

Król pomodliwszy się i wypłakawszy, wstał uspokojony, z twarzą wiele pogodniejszą. Zaraz spytał Kmicica o nazwisko, a gdy ten powiedział mu swe przybrane miano, rzekł:

— Niechże cię pan Ługowski zaraz do naszej kwatery prowadzi. Nie zażyjemy rannego posiłku inaczej, jak słuchając o obronie!

I w kwadrans później pan Kmicic stanął w komnacie królewskiej przed dostojnem zebraniem. Król czekał tylko na królową, by zasiąść do rannej polewki; jakoż Marja Ludwika pojawiła się za chwilę. Jan Kazimierz, ledwie ją ujrzał, zaraz zakrzyknął:

— Częstochowa wytrzymała! Szwedzi ustępują! Oto jest pan Babinicz, który stamtąd przyjeżdża i tę wieść przynosi!

Czarne oczy królowej spoczęły badawczo na młodej twarzy junaka i widząc jej szczerość, rozjaśniły się radością; on zaś oddawszy niski ukłon, patrzył także na nią śmiele, jako prawda i uczciwość patrzeć umieją.

— Moc boska! — rzekła królowa — ciężar okrutny zdjąłeś nam waćpan z serca i da Bóg, że to będzie początek odmiany fortuny. Wprostże z pod Częstochowy jedziesz?

— Nie z pod Częstochowy, ale powiada, że z samego klasztoru, to jeden z obrońców! — zawołał król. — Złoty gość!... Bodaj tacy codzień przybywali; ale pozwólcieże mu przyjść do słowa... Opowiadaj, bracie, opowiadaj, jakeście się bronili i jak was ręka Boska piastowała?

— Pewnie, miłościwi państwo, że nic więcej, jeno opieka

boska i cuda Najświętszej Panny, na które codzień własnemi oczyma patrzyliśmy.

Tu pan Kmicic zabierał się już do opowiadania, gdy wtem coraz nowi dygnitarze zaczęli się schodzić. Przyszedł więc nuncjusz papieski, potem ksiądz prymas Leszczyński, za nim ksiądz Wydżga, złotousty kaznodzieja, który był kanclerzem królowej, a później biskupem warmińskim, potem zaś jeszcze prymasem. Wraz z nim wszedł kanclerz koronny, pan Koryciński i Francuz de Noyers, przyboczny królowej, za nim nadchodzili kolejno inni dygnitarze, którzy pana nie opuścili w nieszczęściu, ale woleli z nim gorzki wygnańczy chleb dzielić, niż wiarę zaprzysiężoną złamać.

Królowi zaś pilno było, więc odrywał się co chwila od posiłku i powtarzał:

— Słuchajcie wasze moście! słuchajcie, gość z Częstochowy! dobra wieść, słuchajcie!... Z samej Jasnej Góry!...

Na to dygnitarze spoglądali z ciekawością na Kmicica, stojącego jakoby przed sądem, lecz on, śmiały z natury i przywykły do obcowania z wielkimi, wcale się widokiem tylu znamienitych ludzi nie trwożył i gdy zasiedli wszyscy miejsca, począł o całem oblężeniu opowiadać.

Prawdę znać było w jego słowach, bo mówił jasno, dobitnie, jak żołnierz, który sam na wszystko patrzył, wszystkiego się dotknął, wszystko przebył. Mówił o księdzu Kordeckim, jak o proroku świętym, wychwalał pod niebiosa pana Zamoyskiego i pana Czarnieckiego, wysławiał innych ojców, nikogo, prócz siebie, nie pomijał; lecz całą obronę, bez ogródki Najświętszej Pannie. Jej łasce i cudom przypisywał.

Słuchali go w zdumieniu król i dygnitarze.

Ksiądz arcybiskup oczy załzawione do nieba wznosił, ksiądz Wydżga pośpiesznie wszystko nuncjuszowi tłumaczył, inni panowie za głowy się chwytali, inni modlili się lub bili w piersi.

Wreszcie, gdy Kmicic doszedł do ostatnich szturmów,

gdy począł opowiadać, jak Müller sprowadził ciężkie działa z Krakowa, a między niemi taką kolubrynę, której nietylko częstochowskie, ale żadne w świecie mury oprzeć się nie mogły — cisza uczyniła się, jak makiem siał i wszystkie oczy spoczęły na jego ustach.

Lecz pan Kmicic urwał nagle i począł oddychać szybko; jasne rumieńce wystąpiły mu na twarz, zmarszczył brwi, podniósł głowę i rzekł hardo:

— Teraz muszę mówić o sobie, choć wolałbym milczeć... A jeżeli coś powiem, co na pochwałę wypadnie, Bóg mi świadek, nie uczynię tego dla nagród, bo ich nie potrzebuję, gdyż największa nagroda dla mnie za majestat krew przelać...

— Mów śmiele, wierzym ci! — rzekł król. — Cóż owa kolubryna?...

— Tę kolubrynę... ja, wykradłszy się w nocy z fortecy, prochami w drzazgi rozsadziłem!

— Na miły Bóg! — zakrzyknął król.

Lecz po tym wykrzykniku nastała cisza, takie zdumienie ogarnęło słuchających. Wszyscy patrzyli jak w tęczę w junaka, który stał z iskrzącemi się oczyma, z rumieńcem na twarzy i z hardo podniesioną głową. A tyle w nim było w tej chwili jakiejś grozy i dzikiego męstwa, że każdemu przyszło mimowoli na myśl, iż taki człowiek mógł na podobny uczynek się zdobyć.

To też po chwili milczenia ksiądz prymas odezwał się:

— Patrzy na to ten człowiek!

— Jakżeś to uczynił? — zawołał król.

Kmicic opowiedział, jak było.

— Uszom się nie chce wierzyć! — rzekł pan kanclerz Koryciński.

— Mości panowie! — odezwał się z powagą król — nie wiedzieliśmy, kogo mamy przed sobą. Żywie jeszcze nadzieja, że nie zginęła ta Rzeczpospolita, póki takich kawalerów i obywateli wydaje.

— Ten może o sobie powiedzieć: „S i f r a c t u s

illabatur orbis, impavidum ferient ruinae!“ — rzekł ksiądz Wydżga, który lubił autorów przy każdej sposobności cytować.

— Prawie to niepodobne rzeczy — ozwał się znów kanclerz. — Powiedzże, panie kawalerze, jakim sposobem żywot uniosłeś z tego terminu i jak przez Szwedów się przedostałeś?

— Huk ogłuszył mnie — rzekł Kmicic — i dopiero nazajutrz znaleźli mnie Szwedzi przy okopie, jakoby bez duszy leżącego. Zaraz mnie tam pod sąd oddali i Müller skazał mnie na śmierć.

— Ty zaś uciekłeś?

— Niejaki Kuklinowski wyprosił mnie u Müllera, żeby sam mógł mnie zgładzić, bo miał przeciw mnie zawziętość okrutną...

— Znany to warchoł i zbój, słyszeliśmy tu o nim — rzekł kasztelan Krzywiński. — Jego pułk z Müllerem pod Częstochową stoi... Prawda!

— Ów Kuklinowski posłował wprzódy od Müllera do klasztoru i raz mnie prywatnie do zdrady namawiał, gdym go do bramy odprowadzał... Ja zaś trzasnąłem go w gębę i skopałem nogami... Za to urazę do mnie powziął.

— A to widzę z ognia i siarki szlachcic! — zawołał rozweselony król. — Takiemu w drogę nie wchodź!... Müller oddał cię tedy Kuklinowskiegu?

— Tak jest, miłościwy panie!... On zaś zamknął się ze mną w pustej stodółce z kilkoma ludźmi... Tam mnie do belki powrozami przywiązał i męczyć począł i ogniem boki palił.

— Na Boga żywego!

— Wtem go odwołano do Müllera, a tymczasem przyszło trzech szlachty, niejakich Kiemliczów, jego żołnierzy, którzy wpierw u mnie służyli. Ci pobili strażników i odwiązali mnie od belki.

— I uciekliście. Teraz rozumiem! — rzekł król.

— Nie, miłościwy panie. Zaczekaliśmy na powrót

Kuklinowskiego. Wówczas ja go kazałem do tej samej belki przywiązać i lepiej ogniem przypiekłem.

To rzekłszy pan Kmicic, podniecony wspomnieniem, zaczerwienił się na nowo i oczy błysły mu, jak wilkowi.

Lecz król, który łatwo od zmartwienia do wesołości, od powagi do żartu przechodził, począł bić dłonią, w stół i wołać ze śmiechem:

— Dobrze mu tak! dobrze mu tak! Nie zasłużył taki zdrajca na lepszy traktament!

— Zostawiłem go żywego, — odrzekł Kmicic, — lecz do rana musiał ostygnąć.

— To sztuka, co swego nie daruje! Więcej nam takich! — wołał król, zupełnie już rozbawiony. — Sam zaś z tymi żołnierzami tu przybyłeś? Jak ich zowią?

— Kiemlicze: jest ojciec i dwóch synów.

— M a t e r m e a d e d o m o K i e m l i c z ó w n a e s t. — rzekł z powagą ksiądz kanclerz królowej, Wydżga.

— To widać są Kiemlicze wielcy i mali, — odparł wesoło Kmicic, — a ci nietylko są mali, ale i w rzeczy hultaje, jeno żołnierze okrutni i mnie wierni.

Tymczasem kanclerz Koryciński szeptał coś od niejakiego czasu do ucha księdza arcybiskupa gnieźnieńskiego, wreszcie rzekł:

— Wielu tu przyjeżdża takich, którzy dla własnej chwalby, albo spodziewanej nagrody radzi kilimkiem rzucają. Ci wieści fałszywe i bałamutne przywożą, często i przez nieprzyjaciół namówieni.

Uwaga ta zmroziła wszystkich obecnych. Kmicica twarz pokryła się purpurą.

— Nie znam ja godności waszmość pana, — odrzekł, — która, jak tuszę, musi być znaczna... więc nie chcę jej ubliżyć, ale tak myślę, że niemasz takiej godności, którąby pozwalała szlachcicowi bez racji łgarstwo zadawać.

— Człowieku! do kanclerza wielkiego koronnego mówisz! — rzekł pan Ługowski.

Kmicic wybuchnął gniewem:

— Kto mi łgarstwo zadaje, choćby był kanclerzem, temu powiem: łatwiej łgarstwo zadawać, niż gardła nadstawiać, łatwiej pieczętować woskiem, niż krwią!

Lecz pan Koryciński nie rozgniewał się wcale, tylko odrzekł:

— Nie zadaję ci kłamstwa, panie kawalerze, ale jeżeli prawda, coś mówił, to powinieneś mieć bok spalony?

— Pójdźże wasza wielmożność gdzie na stronę, to ci go pokażę! — huknął Kmicic.

— Nie potrzeba, — rzekł król, — wierzym ci tak!

— Nie może być, miłościwy królu! — zakrzyknął pan Andrzej, — sam tego chcę, jak o łaskę o to proszę, żeby mnie tu nikt, choćby nie wiem jak dostojny, kolorystą nie czynił! Źleby mi się nagrodziła męka, miłościwe państwo! Nie chcę nagrody, chcę, żeby mi wierzono, niechże niewierni Tomasze dotkną ran moich!

— U mnie masz wiarę! — rzekł król.

— Sama prawda była w jego słowach, — dodała Marja Ludwika, — ja się na ludziach nie mylę.

Lecz Kmicic ręce złożył.

— Miłościwe państwo, pozwólcie! Niechże ktokolwiek idzie ze mną na stronę, bo ciężkoby mi tu było żyć w podejrzeniach.

— Ja pójdę, — rzekł pan Tyzenhauz, młody dworzanin królewski.

To rzekłszy, odprowadził Kmicica do drugiej komnaty, a po drodze mówił do niego:

— Nie dlatego idę, bym nie wierzył, bo wierzę, ale by z waszmością pogadać. My się gdzieś na Litwie widzieli... Nazwiska sobie nie mogę przypomnieć, bo być może, iżem waszmości wyrostkiem jeszcze widział i sam wtedy wyrostkiem byłem.

Kmicic odwrócił nieco twarz, by ukryć nagłe pomieszanie.

— Może na sejmiku jakim. Często mnie nieboszczyk

rodzic brał ze sobą, bym się praktyce publicznej przypatrywał.

— Może być... Twarz waćpańska pewno mi nieobca, chociażeś wtedy tej kresy nie miał. Patrz jednak waćpan, jako memoria fragilis est, toż mnie się przywiduje, że cię wtedy inaczej zwali?

— Bo lata pamięć mącą — odparł pan Andrzej.

Zaczem weszli do innej komnaty. Po chwili pan Tyzenhauz wrócił przed oblicze królewskie.

— Upieczon, miłościwy królu, jako na rożnie! — rzekł. — Cały bok zeszczętem przypalony!

Więc gdy zkolei i Kmicic wrócił, król wstał, ścisnął go za głowę i rzekł:

— Nigdybyśmy nie wątpili, że prawdę mówisz i zasługa twoja, ani ból darmo nie przeminie.

— Dłużnikami twymi jesteśmy — dodała królowa, wyciągając doń rękę.

Pan Andrzej przyklęknął na jedno kolano i ucałował ze czcią dłoń królowej, która go jeszcze pogładziła jako matka po głowie.

— Ale jużże się na pana kanclerza nie gniewaj — rzekł znowu król. — Po prawdzie, niemało tu było zdrajców, albo takich, którzy pletli trzy po trzy, a do urzędu kanclerskiego należy, żeby prawdę de publicis wydobyć.

— Coby tam mój chudopacholski gniew znaczył dla tak wielkiego człowieka — odpowiedział pan Andrzej. — I nie śmiałbym nawet mruczeć na zacnego senatora, który przykład wierności i miłości do ojczyzny wszystkim daje.

Kanclerz uśmiechnął się dobrotliwie i wyciągnął rękę.

— No, niechże będzie zgoda! Przymówiłeś mi też szpetnie o tym wosku, ale wiedz o tem, że Korycińscy często krwią, nie samym woskiem pieczętowali...

Król rozweselony był zupełnie.

— Udał nam się ten Babinicz! — rzekł do senatorów. — Tak nam do serca przypadł, jak mało kto... Już cię

też od boku naszego nie puścim i da Bóg, razem niezadługo do miłej ojczyzny powrócimy.

— O najjaśniejszy królu! — zakrzyknął w uniesieniu Kmicic — chociażem był w twierdzy zamknięty, wiem to od szlachty, od wojska, od tych nawet, co pod panem Zbrożkiem i Kalińskim służąc, Częstochowę oblegali, że wszyscy dnia i godziny twego powrotu wyglądają. Ukaż się tylko, miłościwy panie, a tego samego dnia cała Litwa, Korona i Ruś, jako jeden mąż przy tobie staną! Pójdzie szlachta, pójdzie nawet chłopstwo nikczemne przy panu swoim się oponować. Wojsko pod hetmanami ledwie już dysze, tak chce na Szwedów... Wiem i to, że pod Częstochowę przyjeżdżali od hetmańskich wojsk deputaci, żeby Zbrożka, Kalińskiego i Kuklinowskiego przeciw Szwedom ekscytować. Stań dziś, miłościwy panie, w granicach, a za miesiąc jednego Szweda już nie będzie, jeno przybądź, jeno się ukaż 'bośmy tam jako owce bez pasterza!...

Kmicicowi skry szły z oczu, gdy to mówił i tak wielki zapał go ogarnął, że klęknął na środku sali. Zapał jego udzielił się też samej nawet królowej, która nieustraszonej odwagi będąc, dawno króla do powrotu namawiała.

Więc zwróciwszy się teraz do Jana Kazimierza, rzekła z siłą i stanowczością:

— Głos całego narodu przez usta tego szlachcica słyszę!...

— Tak jest! tak jest! Miłościwa pani!... matko nasza!... zakrzyknął Kmicic.

Lecz kanclerza Korycińskiego i króla uderzyły niektóre słowa w tem, co mówił Kmicic.

— Zawsze — rzekł król — gotowiśmy ponieść w ofierze zdrowie i życie nasze i nie na co innego, jeno na poprawę poddanych naszych czekaliśmy aż dotąd.

— Ta poprawa już się spełniła — rzekła Marja Ludwika.

— Majestas infracta malis! — rzekł, spoglądając na nią z uwielbieniem ksiądz Wydżga.

— Ważne to są rzeczy, — przerwał ksiądz arcybiskup Leszczyński, — zali istotnie deputacje od wojsk hetmańskich przychodziły pod Częstochowę?

— Wiem to od moich ludzi, tychże Kiemliczów! — odparł pan Andrzej. — U Zbrożka i Kalińskiego wszyscy głośno o tem mówili, nic na Müllera i Szwedów nie uważając. Kiemlicze owi nie byli zamknięci, mieli ze światem relacje, z żołnierzami i szlachtą... Tych mogę przed obliczem majestatu i waszych dostojności postawić, aby sami opowiedzieli, jako w całym kraju wre jak w garnku. Hetmani z musu tylko do Szweda przystali, bo zły duch wojsko opętał, a teraz samo owo wojsko chce napowrót do powinności wrócić. Szlachtę i duchownych Szwedzi biją, rabują, przeciw wolności dawnej bluźnią, toż i dziwu niema, że każdy jeno pięści ściska i na szablę łakomie spogląda.

— Mieliśmy już i my od wojsk wiadomości, — rzekł król, — byli tu także tajni wysłańcy, którzy nam ochotę powszechną powrotu do dawnej wierności i czci oznajmiali...

— I to schodzi się z tem, co ów kawaler powiada — rzekł kanclerz. — A jeśli deputacje i między pułkami chodzą, to ważne jest, bo znaczy to, że owoc już dojrzał, że nasze starania nie zmarniały i robota gotowa, a zatem czas nadszedł...

— A Koniecpolski? — rzekł król — a tylu innych, którzy jeszcze przy boku najezdnika stoją, w oczy mu patrzą i o swej wierności zaręczają?

Na to umilkli wszyscy, a król zasępił się nagle, i jako, gdy słońce za chmurę zajdzie, mrok odrazu cały świat pokrywa, tak i jemu twarz pociemniała.

I po chwili tak mówić począł:

— Bóg patrzy w serca nasze, żeśmy choć dziś gotowi wyruszyć i że nie potencja szwedzka nas wstrzymuje, ale nieszczęsna zmienność naszego narodu, który jako Proteusz, coraz nową postać na się przyjmuje. Zali możemy zaufać, że to nawrócenie szczere, ochota nie zmyślona, gotowość nie zdradliwa? Zali możemy zawierzyć temu narodowi, który

tak niedawno nas opuścił i z tak lekkiem sercem z najezdnikiem się połączył przeciw własnemu królowi, przeciw własnej ojczyźnie, przeciw własnym wolnościom? Boleść ściska nam serce i wstyd nam za naszych poddanych! Gdzież dzieje podają podobne przykłady? Którenże król tyle doznał zdrad i nieżyczliwości, któren tak był opuszczony? Przypomnijcie sobie jeno uprzejmości wasze, iżeśmy wśród naszego wojska, wśród tych, którzy krew za nas winni byli przelać, bezpieczeństwa — i — zgroza powiedzieć! — życia nawet nie byli pewni. A jeśliśmy ojczyznę opuścili i tu schronienia szukać musieli, to nie z bojaźni przed owym szwedzkim nieprzyjacielem, ale, by własnych poddanych, własne dzieci, od straszliwego występku królobójstwa i ojcobójstwa uchronić.

— Miłościwy panie, — krzyknął Kmicic, — ciężko zawinił nasz naród, grzeszny jest i słusznie chłoszcze go ręka Boża, ale przecie, na rany Chrystusa! nie znalazł się w tym narodzie i da Bóg, po wieki nie znajdzie się taki, któryby rękę na świętą osobę pomazańca boskiego śmiał podnieść!

— Ty w to nie wierzysz, boś poczciwy, — odrzekł król, — ale mamy listy i dowody. Już to gorzko odpłacili nam się Radziwiłłowie za dobrodziejstwa, któremiśmy ich obsypali, a jednak Bogusława, choć zdrajcę, sumienie ruszyło i nietylko nie chciał do zamachu na nas ręki przyłożyć, ale pierwszy nam o nim doniósł.

— Do jakiego zamachu? — zawołał zdumiony Kmicic.

— Doniósł nam, — rzekł król, — iż znalazł się taki, który mu się za sto czerwonych złotych ofiarował porwać nas i żywego lub umarłego Szwedom dostawić.

Dreszcz przeszedł całe zgromadzenie na te słowa królewskie, a pan Kmicic zaledwie zdołał wyjąknąć pytanie:

— Kto to był taki?... kto to był?...

— Niejaki Kmicic — odrzekł król.

Fala krwi uderzyła nagle panu Andrzejowi do głowy, w oczach mu pociemniało, rękoma schwycił się za czupryne i strasznym, obłąkanym głosem zakrzyknął:

— To łgarstwo! Książę Bogusław łże jak pies! Miłościwy królu, panie mój! nie wierz temu zdrajcy; umyślnie on to uczynił, by wroga zhańbić, a ciebie przerazić, królu mój, panie!... to zdrajca!... Kmicicby nie ważył się na to...

Tu nagle zakręcił się pan Andrzej na miejscu. Siły jego sterane oblężeniem, podcięte wybuchem prochów w kolubrynie i męką zadaną przez Kuklinowskiego, opuściły go zupełnie — i runął bez przytomności do nóg królewskich.

Podniesiono go i medyk królewski począł go cucić w przyległej izbie. Lecz w zgromadzeniu dygnitarzy nie umiano sobie wytłumaczyć, czemu słowa królewskie podobnie straszne uczyniły na młodym szlachcicu wrażenie.

— Albo tak poczciwy, że sama abominacja z nóg go zwaliła, albo jaki tego Kmicica krewny — rzekł pan kasztelan krakowski.

— Trzeba się będzie tego dopytać — odpowiedział kanclerz Koryciński — Oni tam wszyscy sobie na Litwie krewni, jako zresztą i u nas.

Na to pan Tyzenhauz:

— Miłościwy panie! Niech mnie Bóg broni, żebym chciał co złego o tym szlachcicu mówić — ale... nie trzeba jeszcze zbytecznie ufać... Że służył w Częstochowie, to pewno; bok ma spalony, czegoby w żadnym razie mnisi nie uczynili, bo oni jako słudzy Bozi wszelką klemencję nawet dla jeńców i zdrajców mieć muszą; ale jedno mi wciąż po głowie chodzi i ufność do niego psuje... Owo ja go kiedyś na Litwie spotkałem... wyrostkiem jeszcze, na sejmiku, czy na kuligu... nie pomnę...

— I co z tego? — rzekł król.

— I on... ciągle mi się widzi... że nie nazywał się Babinicz.

— Nie powiadaj byle czego! — rzekł król — młody jesteś i nieuważny, w głowie łacno ci się mogło pomieszać. Babinicz, czy nie Babinicz, czemu ja jemu nie mam ufać? Szczerość i prawdę ma na gębie wypisane, a serce widać złote. Sobiebym chyba nie ufał, gdybym takiemu żołnierzowi

nie miał ufać, któren krew za nas i ojczyznę przelewał.

— Więcej on na ufność zasługuje, aniżeli list księcia Bogusława, — rzekła nagle królowa — i polecam to uwadze waszych dostojności, że w tym liście może nie być i słowa prawdy. Siła mogło zależeć Radziwiłłom birżańskim, żebyśmy zgoła na duchu upadli, a łacno przypuścić, że książę Bogusław chciał przytem jakowego wroga swego pogrążyć i sobie furtkę otwartą w razie odmiany fortuny zostawić.

— Gdybym nie przywykł do tego, — rzekł prymas, — że z ust miłościwej królowej jejmości sama mądrość wychodzi, zdumiewałbym się nad bystrością tych słów, najbieglejszego statysty godnych.

— „...curasque gerens, animosque viriles...“ — przerwał zcicha ksiądz Wydżga.

Podniesiona temi słowy królowa, wstała z krzesła, i tak mówić poczęła:

— Nie o Radziwiłłów birżańskich mi chodzi, bo ci, jako heretycy, łacnie podszeptów nieprzyjaciela rodu ludzkiego usłuchali; ani też o list księcia Bogusława, prywatę może zacierający... Ale najbardziej mnie bolą desperackie słowa króla, pana i małżonka mojego przeciw temu narodowi wyrzeczone. Któż bowiem go oszczędzi, jeśli go własny król potępia? A przecie, gdy rozejrzę się po świecie, próżno pytam, gdzie jest taki drugi naród, w którymby chwała Boga starożytnej szczerości trybem trwała i pomnażała się coraz bardziej... Próżno patrzę, gdzie drugi naród, w którym tak otwarty kandor żyje; gdzie państwo, w któremby o tak piekielnych bluźnierstwach, subtelnych zbrodniach i nigdy nieprzejednanych zawziętościach, jakich pełne są obce kroniki, nigdy nikt nie słyszał... Niechże mi pokażą ludzie, w dziejach świata biegli, inne królestwo, gdzieby wszyscy królowie własną spokojną śmiercią umierali. Niemasz tu nożów i trucizn, niemasz protektorów, jako u Angielczyków... Prawda, mój panie, zawinił ten naród ciężko, zgrzeszył przez swawolę i lekkość... Ale któryż to jest naród nigdy nie błądzący i gdzie jest taki, któryby tak prędko winę

swą uznał, pokutę i poprawę rozpoczął? Oto już się obejrzeli. już przychodzą, bijąc się w piersi, do twego majestatu... już krew przelać, życie oddać, fortuny poświęcić dla ciebie gotowi... A ty zali ich odepchniesz? zali żałującym nie przebaczysz, poprawionym i pokutującym nie zaufasz?... dzieciom, które zbłądziły, ojcowskiego afektu nie wrócisz?... Zaufaj im, panie, bo oto tęsknią już za swą krwią jagiellońską i za ojcowskiemi rządami twemi... Jedź między nich... Ja, ja niewiasta, nie lękam się zdrady, bo widzę miłość, bo widzę żal za grzechy i restaurację tego królestwa, na które cię po ojcu i bracie powołano. Ani mi się też podobna rzecz zdawa, by Bóg miał zgubić tak znaczną Rzeczpospolitą, w której światło prawdziwej wiary płonie. Do krótkiego czasu ściągnęła boska sprawiedliwość rózgę swoją na ukaranie, nie na zgubienie dziatek swoich, a zaś wkrótce potem utuli ich i pocieszy ojcowska tegoż niebieskiego Pana dobroć. Lecz ty nie gardź niemi, królu i powierzyć się ich synowskiej dyskrecji nie lękaj, bo tylko tym sposobem złe w dobre, zmartwienia w pociechy, klęski w triumfy zmienić się mogą.

To rzekłszy, siadła królowa jeszcze z ogniem w źrenicach i falującą piersią; wszyscy spoglądali na nią z uwielbieniem, a ksiądz kanclerz Wydżga zaczął mówić echowym głosem:

— Nulla sors longa est, dolor et voluptas.
Invicens cedunt.
Ima permutat brevis hora summis...

Lecz nikt go nie słuchał; bo zapał bohaterskiej pani udzielił się wszystkim sercom. Sam król zerwał się z rumieńcem na pożółkłej twarzy i zakrzyknął:

— Nie straciłem jeszcze królestwa, skoro mam taką królowę!... Niechże się stanie jej wola, bo w natchnieniu proroczem mówiła. Im prędzej wyruszę i stanę inter regna, tem będzie lepiej!...

Na to ozwał się z powagą prymas:

— Nie chcę ja woli miłościwych państwa moich negować, ani od przedsięwzięcia odwodzić, w którem jest hazard, ale może być i zbawienie. Wszelako za roztropną rzecz uważałbym jeszcze raz w Opolu, gdzie większość senatorów przebywa, zebrać się i tam konceptów zebranych posłuchać, które jeszcze lepiej i obszerniej sprawę wywieść i rozważyć mogą.

— Zatem do Opola! — zakrzyknął król — a potem w drogę i co Bóg da!

— Bóg da powrót szczęśliwy i zwycięstwo! — rzekła królowa.

— Amen! — rzekł prymas.

ROZDZIAŁ III.

Pan Andrzej ciskał się jak ranny żbik w swej gospodzie. Piekielna zemsta Bogusława Radziwiłła przywiodła go niemal do szaleństwa. Niedość, że ów książę wyrwał się z jego rąk, pobił mu ludzi, jego samego niemal życia nie zbawił, nadto taką go okrył sromotą, pod jaką nietylko nikt z jego rodu, ale żaden Polak od początku świata nie jęczał.

To też były chwile, że Kmicic chciał się wyrzec wszystkiego, sławy, która się przed nim otwierała, służby królewskiej, a lecieć i mścić się na tym magnacie, któregoby pragnął pożreć na surowo.

Lecz z drugiej strony, mimo całej wściekłości i wichru w głowie, przychodziło mu na myśl, że póki książę żyw, zemsta nie uciecze, a najlepsza sposobność, jedyna droga zadać mu kłam i całą bezecność oskarżenia najaw wywieść, to właśnie służba królewska. w niej bowiem mógł światu okazać, że nietylko na świętą osobę ręki podnosić nie zamierzał, ale że pomiędzy wszystką szlachtą Korony i Litwy nie mógłby król wierniejszego sługi nad Kmicica znaleźć.

Zgrzytał jednak zębami, kipiał jak war, szarpał na sobie odzież i długo, długo nie mógł się uspokoić. Lubował

się myślą o zemście. Widział znów księcia w swoich rękach; przysięgał sobie na pamięć rodzica, iż musi go dostać, choćby go za to śmierć i męki czekały. I jakkolwiek książę Bogusław potężny był pan, którego nietylko zemsta prostego szlachcica, ale i królewska, niełatwo mogła dosięgnąć, przecie, gdyby tę niepohamowaną duszę znał lepiej, nie byłby sypiał spokojnie i nieraz zadrżałby przed jego ślubami.

A przecie nie wiedział jeszcze pan Andrzej, że książę nietylko okrył go sromotą i nietylko sławę mu wydarł.

Tymczasem król, który odrazu polubił niezmiernie młodego junaka, przysłał po niego pana Ługowskiego tego samego dnia, a nazajutrz kazał mu ze sobą jechać do Opola, gdzie na walnem zebraniu senatorów miano obradować nad powrotem króla do kraju. Jakoż było nad czem obradować: oto pan marszałek koronny nadesłał znów drugi list, donoszący, że wszystko w kraju do powszechnej wojny gotowe i naglący pilnie do powrotu. Prócz tego rozeszła się wieść o jakimś związku szlachty i wojska, na obronę króla i ojczyzny, o którym istotnie oddawna w kraju myślano, ale który, jak się potem pokazało, zawarty został pod imieniem konfederacji tyszowieckiej później nieco.

Narazie jednak wszystkie umysły były nadzwyczaj temi wieściami zajęte i zaraz po mszy solennej udano się na tajemną obradę, na którą i Kmicic, za przyczyną królewską, jako przywożący wieści z Częstochowy, dopuszczony został.

Poczęto więc roztrząsać, czy powrót zaraz ma nastąpić, czy go lepiej odłożyć aż do tej chwili, w której wojska nietylko chęcią, ale i czynem opuszczą Szweda.

Jan Kazimierz położył koniec tym rozprawom, rzekłszy:

— Nie o powrocie wasze dostojnoście radźcie, ani o tem, jeżeli nie lepiej zwłóczyć jeszcze, bo jam się już o tem z Bogiem i Najświętszą Panną naradzał... Zatem oświadczam waszym dostojnościom, że co bądź ma nas spotkać, w tych dniach nieodmiennie osobą naszą wyruszamy... Wasze dostojnoście zaś wysilajcie jeno koncepty i rad nie skąpcie, jak najbezpieczniej i najsłuszniej powrót uskutecznić.

Rozmaite więc były zdania. Jedni mówili, aby nie ufać zbytnio panu marszałkowi koronnemu, który raz już wahanie i nieposłuszeństwo okazał, gdy korony, zamiast cesarzowi do przechowania, według rozkazu królewskiego oddać, do Lubowli uwiózł. — Wielka (mówili) jest pycha i ambicja tego pana, a gdy jeszcze osobę królewską w swym zamku mieć będzie, kto wie, co pocznie, czego za swe usługi nie zażąda i czy całej władzy w ręce swe uchwycić nie zechce, aby nad wszystkimi górować i nietylko całego kraju, ale i majestatu być protektorem.

Ci tedy radzili, aby król, poczekawszy na odstąpienie Szwedów, do Częstochowy się udał, jako do miejsca, z którego łaska i odrodzenie spłynęły na kraj. Lecz inni odmienne wygłaszali zdania.

— Jeszczeć Szwedzi stoją pod Częstochową, a choć jej za łaską Bożą nie zdobędą, przecie dróg wolnych niema. Tamte okolice wszystkie w rękach szwedzkich. Stoi nieprzyjaciel w Krzepicach, w Wieluniu, w Krakowie, nad granicą także znaczne siły są rozłożone. A w górach, na węgierskiej rubieży, gdzie Lubowla jest położona, niemasz innych wojsk, prócz wojsk marszałka i Szwedzi nigdy tam nie zapuszczali się dotąd, nie mając na to dość ludzi, ani odwagi. Z Lubowli bliżej na Ruś, która od zajęcia nieprzyjacielskiego wolna, do Lwowa, który nie przestał być królowi wierny i do Tatarów, którzy wedle wiadomości w pomoc idąc, tam właśnie na rezolucję królewską czekają.

— Quod attinet pana marszałka (mówił biskup krakowski) ambicja jego już tem nasycona będzie, iż pierwszy króla w swojem starostwie spiskiem przyjmie i pierwszy opieką go otoczy. Władza przy królu pozostanie, a pana marszałka sama nadzieja tak wielkich przysług zadowolni; jeżeli zaś zechce wiernością nad wszystkimi górować, to czyli wierność jego z ambicji, czy też z miłości ku panu i ojczyźnie wypłynie, majestat znaczne korzyści stąd odniesie.

To zdanie zacnego i doświadczonego biskupa wydało się

najsłuszniejszem; uchwalono więc, że król przez góry do Lubowli, a stamtąd do Lwowa lub gdzieby kazały okoliczności, wyruszy.

Obradowano także i nad dniem powrotu, ale wojewoda łęczycki, który właśnie od cesarza był wrócił, do którego w poselstwie o pomoc był wysyłany, uczynił uwagę, że lepiej jest terminu ścisłego nie wyznaczać i samemu królowi decyzję zostawić, a to dlatego, aby wieść się nie rozeszła i nieprzyjaciele nie zostali przestrzeżeni. Stanęło tylko na tem, że król wyruszy w trzysta koni wybranej dragonji, pod wodzą pana Tyzenhauza, który choć młody, miał już reputację wielkiego żołnierza.

Lecz niemal ważniejsza jeszcze była druga część obrad, na której z powszechną zgodą zawotowano, iż po przybyciu do kraju cała władza i kierunek wojny przejdzie w ręce króla, któremu szlachta, wojsko i hetmani we wszystkiem posłuszni być mają. Mówiono też o przeszłości i przytaczano powody tych nagłych nieszczęść, które, jako potop, w tak krótkim czasie cały kraj zalały. I sam prymas nie inną tego podawał przyczynę, jak nierząd, brak posłuchu i zbytnie sponiewieranie władzy i majestatu królewskiego.

Słuchano go w głębokiem milczeniu, bo każdy rozumiał, że tu o losy Rzeczypospolitej chodzi i o wielkie, niebywałe dotąd w niej zmiany, któreby mogły jej dawną potęgę przywrócić, a których zwłaszcza oddawna pragnęła mądra i miłująca przybraną ojczyznę królowa.

Płynęły więc z ust dostojnego księcia Kościoła słowa jak grzmoty, a w słuchaczach dusze otwierały się prawdzie, jako kwiaty otwierają się słońcu.

— Nie przeciw starodawnym wolnościom się oponuję, — mówił prymas, — ale przeciw onej swawoli, która własnemi rękoma, własną ojczyznę zarzyna... Zaiste, zapomniano już w tym kraju różnicy między wolnością i swawolą i oto, jak zbytnia rozkosz boleścią, tak wyuzdana wolność niewolą się zakończyła. Do jakiegoż obłędu doszliście

obywatele tej prześwietnej Rzeczypospolitej, iż ten tylko między wami za obrońcę wolności uchodzi, który hałasy czyni, sejmy rwie i majestatowi się przeciwi, nie wtedy, gdy trzeba, ale wtedy, gdy temuż majestatowi o zbawienie ojczyzny chodzi? W skarbie naszym dno skrzyni widać, żołnierz niepłatny, u nieprzyjaciela lafy szuka; sejmy, jedyny fundament tej Rzeczypospolitej, na niczem się rozchodzą, bo jeden swawolnik, jeden zły obywatel, dla prywaty swej, rady pomieszać może. Jakaż to wolność, która jednemu przeciw wszystkim oponować pozwala?... Zali ta wolność dla jednego, nie jest niewolą dla wszystkich? I gdzieżeśmy to doszli w zażywaniu tej wolności, jakież to ona smakowite fructa wydała?... A oto, jeden słaby nieprzyjaciel, nad którym przodkowie nasi tyle świetnych wiktoryj odnieśli, teraz s i c u t f u l g u r e x i t a b o c c i d e n t e e t p o r e t u s q u e a d o r i e n t e m. Nikt mu się nie oparł zdrajcy heretycy mu pomogli i wszystko posiadł, wiarę prześladuje, kościoły hańbi i gdy mu o wolnościach waszych prawicie, on miecz wam pokazuje!... Oto, na co wam wyszły wasze sejmiki, wasze wetowanie, wasza swawola, wasze konfundowanie na każdym kroku majestatu!... Króla, przyrodzonego obrońcę ojczyzny, najprzód uczyniliście bezsilnym, a potem zasię narzekaliście, iż was nie broni!... Nie chcieliście swojego rządu, a teraz nieprzyjaciel wami rządzi... I kto, pytam, może z tego upadku nas ratować, kto dawny blask tej Rzeczypospolitej przywrócić, jeśli nie ten, który tyle zdrowia i wczasu już poświęcił, gdy ten kraj nieszczęsna domowa z kozaki szarpała wojna; który na takowe niebezpieczeństwa poświęconą swą osobę podawał jakich żaden monarcha w naszych czasach nie doznał; który pod Zborowem, pod Beresteczkiem i pod Żwańcem, jak prosty żołnierz walczył, nad stan swój królewski trudy i niewygody ponosząc... Jemu to teraz się powierzmy, jemu, Rzymian starożytnych przykładem, dyktaturę w ręce oddajmy, sami zaś radźmy, jak w przyszłości ojczyznę tę od wewnętrznego nieprzyjaciela, od rozpusty, swawoli, nieładu

i bezkarności ratować, a powagę rządu i majestatu należytą przywrócić!...

Tak przemawiał prymas, a nieszczęście i ostatnich czasów doświadczenie do tego stopnia przerodziły słuchaczów, że nikt nie protestował, wszyscy bowiem widzieli jasno, że albo władza królewska musi być wzmocniona, albo Rzeczpospolita zginie niechybnie. Rozpoczęły się więc różne deliberacje, jak najlepiej rady księdza prymasa do skutku przywieść, a królestwo słuchali ich chciwie i z radością, głównie królowa, która oddawna i usilnie nad wprowadzeniem ładu do Rzeczpospolitej pracowała.

Wracał więc król do Głogowej wesół i zadowolony, tam zaś, zwoławszy do swej komnaty kilku zaufanych oficerów, a między nimi i Kmicica, rzekł im:

— Pilno mi już i pali mnie pobyt w tej ziemi, chciałbym choć jutro wyruszyć, przeto wezwałem waszmościów, ażebyście, jako ludzie wojskowi i doświadczeni, prędko sposoby obmyślili. Szkoda nam czasu tracić, skoro nasza obecność znacznie wojnę powszechną przyśpieszyć może.

— Pewnie, — rzekł pan Ługowski, — jeśli taka waszej kr. mości wola, to i poco zwłóczyć? Im prędzej, tem lepiej!

— Póki się rzecz nie rozgłosi i nieprzyjaciel baczności nie podwoi — dodał pułkownik Wolf.

— Nieprzyjaciel już się ma na baczności i szlaki poobsadzał, ile mógł — rzekł Kmicic.

— Jakto? — spytał król.

— Miłościwy panie, zamierzony powrót waszej królewskiej mości dla Szwedów nie nowina! Ledwie nie codzień rozchodzi się wieść po całej Rzeczypospolitej, żeś wasza królewska mość już w drodze, albo już i n t e r r e g n a. Dlatego trzeba największą ostrożność zachować i cichaczem wąwozami się przemknąć, bo na drogach czyhają Duglasowe podjazdy.

— Najlepsza ostrożność, — rzekł, patrząc na Kmicica pan Tyzenhauz, — to trzysta wiernych szabel, a skoro mnie pan miłościwy komendę nad niemi powierza, to go przepro-

wadzę w zdrowiu. choćby po brzuchach Duglasowych podjazdów.

— Przeprowadzisz waszmość pan, jeśli również trzysta, a dajmy na to sześćset, albo i tysiąc ludzi napotkasz, ale jak trafisz na większą siłę w zasadzce czyhającą, to co się stanie?

— Powiedziałem: trzysta, — odparł Tyzenhauz, — bo się o trzystu mówiło. Jeśli to jednak mało, to się o pięćset i więcej można postarać.

— Niechże Bóg broni! Im większa kupa, tem o niej głośniej! — rzekł Kmicic.

— Ba! Myślę przecie, że pan marszałek koronny wyskoczy nam ze swemi chorągwiami na spotkanie? — wtrącił król.

— Pan marszałek nie wyskoczy, — odpowiedział Kmicic, — bo dnia i godziny nie będzie wiedział, a choćby wiedział, to mogą w drodze zwłoki zajść, jako zwyczajnie, trudno wszystko przewidzieć...

— Żołnierz to mówi, żołnierz prawdziwy! — rzekł król. — Widać waszmości wojna nieobca.

Kmicic uśmiechnął się, bo wspomniał o swoich przeciw Chowańskiemu podchodach. Któż lepiej od niego znał się na takich sprawach! Komu słuszniej możnaby przeprowadzenie króla powierzyć?

Ale pan Tyzenhauz widocznie innego od królewskiego był zdania, bo zmarszczył brwi i rzekł z przekąsem do Kmicica:

— Czekamy tedy doświadczonej rady waścinej?

Kmicic poczuł niechęć w pytaniu, więc utkwił źrenice w Tyzenhauzie i odrzekł:

— Moje zdanie jest, że im mniejsza kupa będzie, tem łatwiej się przemknie.

— Więc jak ma być?

— Miłościwy panie! — rzekł Kmicic. — Wolna waszej kr. mości wola uczynić, jak zechce, ale mnie rozum tak uczy: niech pan Tyzenhauz najprzód z dragonją ruszy,

głosząc umyślnie, że króla prowadzi. aby na siebie ściągnąć nieprzyjaciół. Jego rzecz tak się wywijać, aby z matni wyjść cało. A my w niewielkiej kupie z osobą waszej kr. mości w dzień, albo we dwa za nim ruszymy i gdy baczność nieprzyjaciela w inną zwróci się stronę, łatwo nam będzie przedostać się aż do Lubowli.

Król począł klaskać w ręce w uniesieniu.

— Bóg nam zesłał tego żołnierza! — wołał. — Salomon mądrzejby nie poradził! Całkiem votum za tem zdaniem daję i nie ma inaczej być! Będą króla między dragonami łapać, a król im pod nosem przejedzie. Dlaboga, nie może być nic lepszego!

— Mości królu! to krotochwila!... — zawołał Tyzenhauz.

Żołnierska krotochwila! — odrzekł król. — Wreszcie niech będzie, co chce, od tego nie odstąpię!

Kmicicowi oczy jarzyły się od radości, że jego zdanie przemogło, lecz Tyzenhauz porwał się z siedzenia.

— Miłościwy panie! — rzekł — zrzekam się komendy nad dragonami. Niech ich kto inny prowadzi!

— A to czemu? — spytał król.

— Bo jeśli bez obrony, miłościwy panie, pójdziesz, wydany na igrzysko fortuny, na wszystkie zgubne terminy, jakie się przygodzić mogą, to i ja chcę przy twej osobie być, piersi za ciebie nadstawić i polec w potrzebie.

— Dziękujem za szczerą intencję, — odrzekł Jan Kazimierz, — ale uspokójże się, bo właśnie w taki sposób, jak radzi Babinicz, najmniej narażeni będziemy.

— Co radzi pan... Babinicz, czy jak się tam nazywa, niech bierze na własną odpowiedzialność! Może mu zależy co na tem, byś wasza kr. mość bez obrony w górach się zabłąkał... Ja Boga i tu obecnych towarzyszów na świadki biorę, żem z duszy odradzał!

Zaledwie skończył mówić, gdy i Kmicic porwał się i stanąwszy panu Tyzenhauzowi twarzą w twarz, zapytał:

— Co waćpan rozumiesz przez te słowa?

Lecz Tyzenhauz zmierzył go dumnie oczyma od stóp do głowy.

— Nie sięgaj do mnie głową, mopanku, bo nie dosięgniesz!

— A na to Kmicic już z błyskawicami w oczach:

— Niewiadomo, komu to byłoby za wysoko, gdyby...

— Gdyby co? — spytał, patrząc na niego bystro Tyzenhauz.

— Sięgałem do wyższych, niż waszmość!

Tyzenhauz rozśmiał się.

— A gdzieś ich waszmość szukał?

— Zamilknijcie — rzekł król, zmarszczywszy brwi. — Nie rozpoczynać mi tutaj swarów!...

Jan Kazimierz czynił wrażenie takiej powagi na wszystkich otaczających, że obaj młodzi umilkli i zmieszali się, wspomniawszy, że to w obecności królewskiej wymknęły im się słowa tak nieskładne.

Król zaś rzekł:

— Nad tego kawalera, który kolubrynę wysadził i ze szwedzkich rąk się wydostał, nikt nie ma prawa się wynosić, choćby ojciec jego w zaścianku mieszkał, co, jak widzę, nie jest, bo ptaka z pierza, a krew z uczynków poznać łatwo. Zaniechajcie do siebie urazy. (Tu król zwrócił się do Tyzenhauza.) Ty chcesz, to przy osobie naszej zostań. Tego nam ci odmówić się nie godzi. Dragonów Wolf albo Denhoff poprowadzi. Ale i Babinicz zostanie i za jego radą pójdziemy, bo nam do serca przypadła.

— Umywam ręce! — rzekł Tyzenhauz.

— Zachowajcie tylko waszmościowie tajemnicę. Dragoni niech dziś wyjdą do Raciborza... i wraz puścić jak najszerzej wieść, że i my znajdujemy się między nimi... A na potem czuwajcie, bo nie wiecie dnia ani godziny... Tyzenhauz! idź, wydaj rozkaz kapitanowi dragonji.

Tyzenhauz wyszedł, ręce łamiąc z gniewu i żalu, za nim rozeszli się inni oficerowie.

Tego samego dnia gruchnęła wieść po całej Głogowej,

że majestat króla Jana Kazimierza wyruszył już do granic Rzeczypospolitej. Wielu nawet znacznych senatorów myślało, że wyjazd istotnie miał miejsce. Gońcy, umyślnie rozesłani, powieźli nowinę do Opola i ku szlakom granicznym.

Tyzenhauz, chociaż oświadczył, że umywa ręce, nie dał jednak za wygraną; że zaś, jako rękodajny królewski, miał przystęp w każdej chwili do osoby monarchy ułatwiony, tego samego więc dnia, już po wyruszeniu dragonów, stanął przed obliczem Jana Kazimierza, a raczej obojga królestwa, bo i Marja Ludwika była obecna.

— Przyszedłem po rozkazy, — rzekł, — kiedy wyruszamy?

— Pojutrze dodnia — rzekł król.

— Siła ludzi ma jechać?

— Pojedziesz ty, Babinicz, Ługowski, z żołnierzy. Pan kasztelan sandomierski rusza także ze mną; prosiłem go, by jak najmniej ludzi brał z sobą, ale bez kilkunastu się nie obejdzie; pewne to i doświadczone szable. Nadto jego świątobliwość nuncjusz chce także mi towarzyszyć, którego obecność doda powagi sprawie i wszystkich wiernych prawdziwemu Kościołowi poruszy. Nie waha się przeto swej poświęcanej osoby na hazard wyprawić. Ty pilnuj, aby nie było nad 40 koni, bo tak Babinicz radził.

— Miłościwy panie! — rzekł Tyzenhauz.

— A czego jeszcze chcesz?

— Na kolanach o jedną łaskę błagam. Stało się już .. dragoni wyszli... pojedziem bez obrony... i pierwszy podjazd z kilkudziesięciu koni może nas ogarnąć. Niechże wasza kr. mość przychyli się do błagania sługi swego, na którego wierność Bóg patrzy i niech nie ufa ze wszystkiem temu szlachcicowi. Obrotny to człek, skoro się potrafił w tak krótkim czasie wkraść do serca i łaski waszej kr. mości, ale...

— Zali już mu zazdrościsz? — przerwał król.

— Nie zazdroszczę mu, miłościwy panie, nie chcę nawet o zdradę go stanowczo posądzać, ale przysiągłbym, że nie nazywa się Babinicz... Czemu tedy prawdziwe na-

zwisko ukrywa? Czemu jakoś mu niesporo mówić, co robił przed oblężeniem Częstochowy? Czemu zwłaszcza tak napierał na to, by dragoni najprzód wyszli i by wasza kr. mość bez eskorty jechała?

Król zamyślił się nieco i począł swoim zwyczajem usta raz po raz nadymać.

— Gdyby chodziło o jakowąś zmowę ze Szwedami, — rzekł wreszcie, — co znaczy trzysta dragonów! Jakaż to siła i jaka zasłona?... Potrzebowałby tylko ów Babinicz dać znać Szwedom, by z kilkaset piechoty po drogach zasadzili, to i tak ujęliby nas jako w sieci. Ale się jeno zastanów, czy tu o zdradzie może być mowa? Musiałby najprzód wiedzieć termin i mieć czas do ostrzeżenia Szwedów w Krakowie, a jakże to być może, skoro pojutrze ruszamy? Nie mógł i tego odgadnąć, że pójdziem za jego racjami, bo mogliśmy tak samo pójść za twemi, albo innych... Z początku było przecie postanowione, że razem z dragonami ruszymy, więc gdyby chciał się ze Szwedami umawiać, to właśnie takie osobne ruszenie pomieszałoby mu szyki, gdyż musiałby znowu gońców wysyłać i ostrzegać. Wszystko to są niezbite racje. A przytem nie upierał się on wcale przy swojem zdaniu, jak mówisz, jeno tak gadał, jako i inni, co mu się najlepszem wydało. Nie, nie! Szczerość patrzy z oczu tego szlachcica, a spalony bok świadczy, że gotów i na mękę nie uważać.

— Jego królewska mość ma słuszność, — rzekła nagle królowa, — to są niezbite racje, a rada była i jest dobra.

Tyzenhauz wiedział z doświadczenia, że gdy królowa zdanie swe wyrzecze, to próżnoby od niego do króla apelować, tak ufał Jan Kazimierz jej bystrości i rozumowi. Chodziło też teraz młodemu panu o to tylko, by król potrzebne ostrożności zachował.

— Nie moja rzecz — odpowiedział — miłościwemu państwu negować. Jeśli jednak mamy pojutrze wyruszyć, niechże ów Babinicz nie wie o tem, aż w godzinę wyjazdu.

— To może być! — odparł król.

— A w drodze już ja sam będę go miał na oku i. broń Boże przygody. nie ujdzie żyw z moich rąk!

— Nie będzie potrzeby — rzekła królowa. — Słuchaj waszmość: króla od złej przygody w drodze i od zdrad i od sideł nieprzyjacielskich nie waszmość będziesz strzegł, nie Babinicz. ani dragoni. ani moce ziemskie. ale Opatrzność Boża, której oko ustawicznie na pasterzów narodów i pomazańców Bożych jest zwrócone. Ona to go będzie pilnować. Ona go uchroni i szczęśliwie doprowadzi, a w razie potrzeby zeszle mu taką pomoc, jakiej się nawet nie domyślacie. wy, którzy w ziemską tylko moc wierzycie.

— Najjaśniejsza pani! — odrzekł Tyzenhauz — wierzę i ja, że bez woli Bożej nikomu włos z głowy nie spadnie, a że przez troskliwość o królewską osobę zdrajców się boję, to nie grzech.

Marja Ludwika uśmiechnęła się łaskawie.

— Ale zbyt śpiesznie posądzasz i hańbę na cały naród przez to rzucasz, w którym. jako ten sam Babinicz mówił. nie znalazł się jeszcze taki, coby przeciw własnemu królowi dłoń podniósł... Niechże ci to nie będzie dziwno, że po takiem opuszczeniu, po takiem złamaniu przysięgi i wiary, jakiej obojeśmy z miłościwym królem doświadczyli. ja przecie mówię. że na tak straszny występek niktby się nie odważył, nawet z tych, którzy dziś jeszcze Szwedom służą.

— A list księcia Bogusława, miłościwa pani?

— List nieprawdę mówi! — rzekła stanowczo królowa. — Jeśli jest jaki człowiek w Rzeczypospolitej gotowy zdradzić nawet króla, to może właśnie jeden książę koniuszy, bo on jeno z nazwiska do tego narodu należy.

— Krótko mówiąc, nie posądzaj Babinicza, — rzekł król. — gdyż i co do jego nazwiska musiało ci się w głowie podwoić. Możnaby go zresztą wybadać, ale jak mu tu i powiedzieć?... Jak go spytać: „Jeśli nie zwiesz się Babinicz, to jak się zwiesz?“ Srodze może uczciwego człeka zaboleć takie pytanie, a głowę stawię. że on uczciwy.

— Za taką cenę nie chciałbym się, miłościwy panie, o jego uczciwości przekonywać.

— Dobrze, już dobrze! Wdzięczni ci jesteśmy za troskliwość. Jutrzejszy dzień na modlitwę i pokutę, a pojutrze w drogę! w drogę!

Tyzenhauz cofnął się z westchnieniem i tegoż jeszcze dnia rozpoczął w największej tajemnicy przygotowania do odjazdu. Nawet dygnitarze, którzy mieli towarzyszyć królowi, nie wszyscy byli ostrzeżeni o terminie. Służbie powiedziano tylko, żeby konie miała gotowe, bo lada dzień wyruszą z panami do Raciborza.

Król cały następny dzień nie pokazywał się nigdzie, nawet i w kościele, ale zato u siebie w mieszkaniu do nocy krzyżem przeleżał, poszcząc i Króla królów błagając o wspomożenie, nie dla siebie, ale dla Rzeczypospolitej.

Marja Ludwika wraz z pannami trwała także na modlitwie.

Następnie noc pokrzepiła siły strudzonych i gdy w ciemnościach jeszcze dzwon głogowskiego kościoła ozwał się na jutrznię, wybiła godzina rozstania.

ROZDZIAŁ IV.

Przez Raciborz przejechano, koniom tylko popasłszy. Nikt króla nie poznał, nikt na orszak nie zwrócił zbytniej uwagi, bo wszyscy byli zajęci niedawnem przejściem dragonów, między którymi, wedle powszechnego mniemania, monarcha polski miał się znajdować. Orszak ten jednak wynosił około pięćdziesięciu koni, gdyż królowi towarzyszyło kilku dygnitarzy, pięciu samych biskupów, a pomiędzy innymi i nuncjusz odważył się dzielić z nim trudy niebezpiecznej wyprawy. Droga jednak w granicach cesarstwa nie przedstawiała żadnego niebezpieczeństwa. W Oderbergu, niedaleko ujścia Olszy do Odry, wjechano w granice Morawy.

Dzień był chmurny i śnieg walił tak gęsto, że na kilka-

naście kroków nie było można dojrzeć drogi przed sobą. Ale król był wesół i pełen dobrej myśli. bo zdarzył się znak, który wszyscy za najpomyślniejszą poczytywali wróżbę, a którego współcześni historycy nie omieszkali nawet w kronikach zapisać. Oto przy samem wyruszeniu króla z Głogowy, pojawiła się przed koniem biała całkiem ptaszyna i poczęła krążyć, wzbijać się chwilami w górę, chwilami zniżać nad samą głową monarszą, kwiląc przytem i świegocąc radośnie. Wspominano. że podobny ptak, ale czarny. kręcił się nad królem, gdy w swoim czasie z Warszawy przed Szwedami ustępował.

Owa zaś biała, całkiem wielkością i kształtem była do jaskółki podobna. co obudziło tem większy podziw, że zima była głęboka i jaskółki nie myślały jeszcze o powrocie. Uradowali się jednak wszyscy, król zaś przez pierwsze dnie o niczem innem nie mówił i najpomyślniejszą sobie przyszłość obiecywał. Również zaraz z początku drogi okazało się, jak dobrą była rada Kmicica, aby jechać osobno.

Wszędzie na Morawie opowiadano o niedawnym przejeździe króla polskiego. Niektórzy twierdzili, że widzieli go na własne oczy, całego w zbroi, z mieczem w ręku i koroną na głowie. Różne też już chodziły wieści o sile, jaką ze sobą prowadził i wogóle przesadzano do bajecznych rozmiarów liczbę dragonów. Byli i tacy, którzy widzieli z dziesięć tysięcy, iż się końca szeregów, koni, ludzi. chorągwi i znaków doczekać nie mogli.

— Pewnie — mówiono — Szwedzi zaskoczą im drogę, ale czy poradzą takowej potędze, niewiadomo.

— A co? — pytał Tyzenhauza król. — nie miał Babinicz racji?

— Jeszcześmy nie stanęli w Lubowli, miłościwy panie — odpowiadał młody magnat.

Babinicz zaś kontent był z siebie i z podróży. Wraz z trzema Kiemliczami trzymał się zwykle naprzód przed orszakiem królewskim, rozpatrując drogę; czasem jechał ze wszystkimi, zabawiając króla opowiadaniem pojedyńczych

wypadków z oblężenia Częstochowy, których Janowi Kazimierzowi nigdy nie było dosyć. I z każdą niemal godziną przypadał lepiej królowi do serca ów junak, wesół, dziarski, do młodego orła podobny. Czas schodził monarsze to na modlitwie, to na pobożnych rozmyślaniach o życiu wiekuistem, to na rozmowach o wojnie przyszłej i pomocy, spodziewanej od cesarza, to wreszcie na przypatrywaniu się zabawom rycerskim, któremi towarzyszący żołnierze starali się czas podróży skrócić. Miał to bowiem w swej naturze Jan Kazimierz, że umysł jego łatwo przechodził od powagi do pustoty niemal i od ciężkiej pracy do rozrywek, którym, gdy przyszła na niego taka chwila, oddawał się duszą całą, jakby żadna troska, żadne zmartwienie nie obciążało go nigdy.

Popisywali się tedy żołnierze, czem który umiał; młodzi Kiemlicze, Kosma i Damjan, bawili króla swemi ogromnemi i niezgrabnemi postawami i łamaniem podków, jako trzcin, on zaś kazał im za każdą po talarze dawać, chociaż w sakwach dość było pusto, bo wszystkie pieniądze, nawet klejnoty i „parafanały“ królowej poszły na wojsko.

Pan Andrzej popisywał się rzucaniem ciężkiego obuszka, który tak silnie w górę puszczał, że prawie go widać nie było, a on nadlatywał koniem i chwytał go wlot za rękojeść. Król na ów widok aż w ręce klaskał.

— Widziałem, — mówił, — jako to pan Słuszka, brat pani podkanclerzyny, czynił, ale i on nie miotał przez pół tak wysoko.

— U nas to we zwyczaju na Litwie, — odpowiadał pan Andrzej, — a gdy się człek z dzieciństwa wprawia, to i do biegłości dojdzie.

— Skądże to masz tę kresę przez gębę! — spytał pewnego razu król, pokazując na bliznę Kmicica. — Dobrze ci ktoś szablą przejechał.

— To nie od szabli, miłościwy panie, jeno od kuli. Strzelono do mnie, lufę mi do gęby przyłożywszy.

— Nieprzyjaciel czyli swój?

— Swój, ale nieprzyjaciel, którego do porachunku jeszcze wezwę i póki się to nie stanie, mówić mi się o tem nie godzi.

— Takiżeś to zawzięty?

— Nie mam ja żadnej zawziętości, miłościwy panie, bo oto na łbie głębszą jeszcze szczerbę od szabli noszę, którą szczerbą mało dusza ze mnie nie uszła, ale że mi ją zacny człowiek uczynił, przeto urazy do niego nie żywię.

To rzekłszy Kmicic, zdjął czapkę i ukazał królowi głęboką bróździę, której białawe brzegi widne były doskonale.

— Nie wstyd mi tej rany, — rzekł, — bo mi ją zadał taki mistrz, jak niemasz drugiego w Rzeczypospolitej.

— Którenże to jest taki mistrz?

— Pan Wołodyjowski.

— Dlaboga! Toż ja go znam. Cudów on pod Zbarażem dokazywał. A potem byłem na weselu towarzysza jego Skrzetuskiego, który mi pierwszy z oblężonego Zbaraża wieści przywiózł. Wielcy to kawalerowie! A był z nimi i trzeci; tego całe wojsko sławiło, jako największego rycerza. Gruby szlachcic, a tak krotochwilny, żeśmy na weselu mało boków od śmiechu nie pozrywali.

— To pan Zagłoba, zgaduję! — rzekł Kmicic, — człek to nietylko mężny, ale dziwnych fortelów pełen.

— Cóż oni teraz czynią, nie wiesz?

— Wołodyjowski u księcia wojewody wileńskiego dragonami dowodził.

Król zasępił się.

— I razem z księciem wojewodą Szwedom teraz służy?

— On? Szwedom? On jest przy panu Sapieże. Sam widziałem, jak po zdradzie księcia wojewody buławę mu pod nogi cisnął.

— O, to godny żołnierz! — odrzekł król. — Od pana Sapiehy mieliśmy wiadomości z Tykocina, w którym księcia wojewodę obległ. Niech mu Bóg szczęści! Gdyby wszyscy byli do niego podobni, jużby ów nieprzyjaciel szwedzki pożałował swojej imprezy.

Tu Tyzenhauz, który słyszał całą rozmowę. spytał
— Toś waść był w Kiejdanach u Radziwiłła?
Kmicic zmieszał się nieco i zaczął podrzucać swój obuszek.

— Byłem — odrzekł.

— Daj pokój obuszkowi — mówił dalej pan Tyzenhauz. — A cóżeś to porabiał na książęcym dworze?

— Gościem byłem — odrzekł niecierpliwie Kmicic — i książęcy chleb jadłem. póki mi nie obrzydł po zdradzie.

— A czemuś to z innymi zacnymi żołnierzami do pana Sapiehy nie poszedł?

— Bom sobie ślub do Częstochowy uczynił, co tem łatwiej waszmość zrozumiesz, gdy ci powiem, że nasza Ostra Brama była przez septentrionów zajęta.

Pan Tyzenhauz począł głową kręcić i cmokać, aż to zwróciło uwagę króla, tak, że i sam począł patrzeć badawczej na Kmicica.

Ten zaś zniecierpliwiony zwrócił się do Tyzenhauza i rzekł:

— Mój mości panie! Czemu to ja się waćpana nie wypytuję, gdzieś przebywał i coś robił?

— Wypytuj waść — odrzekł Tyzenhauz. — Ja nie mam nic do ukrywania.

— Ja też nie stoję przed sądem. a jeśli stanę kiedy, to nie waść będziesz moim sędzią. Zaniechaj mnie tedy, abym zaś cierpliwości nie stracił.

To rzekłszy, wyrzucił obuch tak szparko, że aż zmalał na wysokości, król oczy za nim podniósł i w tej chwili nie myślał już o niczem innem, jak tylko o tem, czy Babinicz uchwyci go wlot, czy nie uchwyci...

Babinicz spiął konia, skoczył i uchwycił.

Lecz tego samego wieczora Tyzenhauz rzekł do króla:

— Miłościwy panie, coraz mniej mi się ten szlachcic podoba!...

— A mnie coraz więcej! — rzekł, wydymając usta król.

— Słyszałem dziś, jak jeden z jego ludzi nazwał go

pułkownikiem, a on tylko spojrzał groźnie i zaraz tamtego skonfundował. W tem coś jest!

— I mnie się czasem widzi, — rzekł król, — że on nie chce wszystkiego gadać, ale to jego sprawa.

— Nie, miłościwy panie, — zawołał gwałtownie Tyzenhauz, — to nie jego sprawa, to sprawa nasza i całej Rzeczypospolitej... Bo jeśli to jaki przedawczyk, który zgubę waszej kr. mości, albo niewolę gotuje, to zginą razem z w. kr. mością wszyscy ci, którzy w tej chwili oręż podnoszą, zginie cała Rzeczpospolita, którą ty jeden, miłościwy panie, ratować możesz.

— To go jutro sam wypytam.

— Bogdajbym był fałszywym prorokiem, ale jemu nic dobrego z oczu nie patrzy. Nadto on szparki, nadto śmiały, zbyt wielki rezolut, a tacy ludzie na wszystko się ważą.

Król zafrasował się.

Nazajutrz skoro dzień, gdy ruszono w drogę, kiwnął na Kmicica, by zbliżył się ku niemu.

— Gdzieś ty był pułkownikiem? — spytał król nagle.

Nastała chwila milczenia.

Kmicic walczył sam ze sobą; paliła go chęć zeskoczyć z konia, upaść do nóg królewskich i raz zrzucić z siebie ten ciężar, który dźwigał, raz powiedzieć całą prawdę.

Lecz ze zgrozą pomyślał znowu, jak straszne wrażenie musi uczynić to nazwisko: Kmicic, zwłaszcza po liście księcia Bogusława Radziwiłła.

Jakże on, niegdyś prawa ręka księcia wojewody wileńskiego, on, który przewagę jego utrzymał, do rozbicia nieposłusznych chorągwi dopomógł, w zdradzie sekundował; jakże on, posądzony i oskarżony o najstraszniejszą zbrodnię zamachu na wolność królewską, zdoła teraz przekonać króla, biskupów i senatorów, że się poprawił, że się przerodził i krwią za swe winy odpokutował?... Czem zdoła swych szczerych intencyj dowieść, jakie dowody, prócz gołych słów może złożyć?...

Dawne winy ścigały go ciągle i nieubłaganie jako psy zażarte ścigają zwierza w kniei.

Więc postanowił zamilczeć.

Ale uczuł jednocześnie niewypowiedziany wstręt i obrzydzenie do wykrętów. Zali miałby temu panu, tak ze wszystkich sił duszy kochanemu, rzucać piasek w oczy i wymyślonemi historjami go zwodzić?

Czuł, że do tego zbraknie mu sił.

Więc po chwili tak mówić począł:

— Miłościwy królu! Przyjdzie czas, może niezadługo, że będę mógł waszej kr. mości całą duszę jako księdzu na spowiedzi otworzyć... Ale chcę, żeby pierwej za mnie, za moją szczerą intencję, za wierność do majestatu uczynki jakowe, nie gołe słowa zaręczyły. Grzeszyłem, miłościwy panie, grzeszyłem przeciw tobie i ojczyźnie, a za mało mam jeszcze pokuty, więc takiej służby szukam, w którejby poprawę łatwo znaleźć... Kto wreszcie nie grzeszył? Kto nie potrzebuje bić się w piersi w całej tej Rzeczypospolitej? Być to może, żem ciężej zawinił od innych, alem się też i pierwej obejrzał... Nie pytaj, miłościwy panie, o nic, póki cię teraźniejsza służba o mnie nie przekona; nie pytaj, bo nie mogę nic powiedzieć, aby sobie drogi zbawienia nie zamknąć, bo Bóg mi świadek i Najświętsza Panna Królowa nasza, żem tego nie zmyślił, iż ostatnią kroplę krwi gotowym za ciebie oddać...

Tu oczy pana Andrzeja zwilgotniały, a taka szczerość i żal roświeciły mu twarz, że oblicze silniej jeszcze od słów go broniło.

— Bóg patrzy na intencje moje — mówił dalej — i na sądzie mi je policzy... Ale jeśli mi, miłościwy panie, nie ufasz, to mnie wypędź, to oddal mnie od osoby swojej. Pojadę za śladem twoim, opodal, aby w jakiej ciężkiej chwili przybyć, choć i bez zawołania i głowę położyć za ciebie. A wówczas, miłościwy panie uwierzysz, żem nie zdrajca, ale jeden z takich sług, jakich nie masz, miłościwy panie, wielu, nawet między tymi, którzy na innych podejrzenia rzucają.

— Ja ci i dziś wierzę — rzekł król. — Zostań po staremu przy osobie naszej, bo nie zdrada tak przemawia.

— Dziękuję waszej królewskiej mości! — rzekł Kmicic. I powstrzymawszy nieco konia, wycofał się między ostatnie szeregi orszaku.

Lecz Tyzenhauz nie ograniczył się na udzieleniu swych podejrzeń samemu tylko królowi. skutkiem czego wszyscy poczęli zezem na Kmicica spoglądać. Głośniejsze rozmowy ustawały. gdy się zbliżył, a poczynały się szepty. Śledzono każdy jego ruch, rozważano każde słowo. Spostrzegł to pan Andrzej i uczyniło mu się źle między tymi ludźmi.

Nawet król, chociaż nie odebrał mu zaufania. nie miał już dla niego tak wesołego, jak dawniej oblicza. Więc młody junak stracił fantazję, sposępniał, żal i gorycz opanowały mu serce. Dawniej na przedzie, między pierwszymi, zwykł był toczyć koniem. teraz wlókł się o kilkaset kroków za kawalkatą. z głową spuszczoną i ponuremi myślami w głowie.

Aż wreszcie zabielały przed jeźdźcami Karpaty. Śniegi leżały na ich skłonach. chmury rozkładały swe ociężałe cielska na szczytach. a gdy wieczór zdarzył się pogodny, wówczas przy zachodzie przywdziewały owe góry szaty płomienne i blaski szły od nich okrutne, póki nie zgasły w mrokach cały świat obejmujących. Patrzył więc Kmicic na owe cuda natury, których dotąd nigdy jeszcze w życiu nie widział i choć wielce stroskany. o troskach z podziwu zapominał.

Z każdym dniem olbrzymy owe stawały się większe, potężniejsze. Aż wreszcie dojechał do nich orszak królewski i zapuścił się w wąwozy, które nagle jakoby bramy otworzyły się przed nim.

Granica musi być już niedaleko — rzekł ze wzruszeniem król.

Wtem dostrzeżono wózek. zaprzężony w jednego konia, a w wózku człeka. Królewscy ludzie zatrzymali go zaraz.

— Człeku, — spytał Tyzenhauz, — a czy my to już w Polsce?

— Tam on za tą skałą i za rzeczką cesarska granica, a wy już na królewskiej ziemi stoicie.

— Którędy zaś do Żywca?

— Prosto tędy do drogi się dostaniecie.

I góral zaciął szkapinę, Tyzenhauz zaś skoczył do stojącego opodal orszaku:

— Miłościwy panie, — zakrzyknął z uniesieniem, — stanąłeś już inter regna, bo oto twoje od onej rzeczułki królestwo!

Król nie odrzekł nic, skinął tylko, by mu konia potrzymano, sam zaś zsiadł i rzucił się na kolana, podniósłszy oczy i ręce w górę.

Na ten widok zsiedli wszyscy i poszli za jego przykładem; ów król zaś, tułacz, padł po chwili krzyżem w śnieg i począł całować tę ziemię tak ukochaną, a tak niewdzięczną, która w chwili klęski, schronienia jego królewskiej głowie odmówiła.

Nastała cisza i tylko westchnienia ją mąciły.

Wieczór był mroźny, pogodny, góry i szczyty pobliskich jodeł płonęły purpurą, a dalsze w ciemne już poczęły się ubierać fiolety, lecz droga, na której leżal król, mieniła się niby czerwona i złota wstęga; blaski te padały na króla, biskupów i dygnitarzy.

Wtem ze szczytów wstał wiatr i niosąc na skrzydłach skry śnieżne, zleciał do doliny. Więc jodły pobliskie poczęły pochylać pokryte okiścią czuby i kłaniać się panu i szumieć gwarno a radośnie, jakby śpiewały oną dawną pieśń:

— Witajże nam, witaj, miły hospodynie!...

Mrok już nasycał powietrze, gdy orszak królewski ruszył dalej. Za wąwozem roztoczyła się szersza dolina, której drugi koniec gubił się w oddaleniu. Blaski gasły naokoło, tylko w jednem miejscu niebo świeciło się jeszcze czerwono.

Król począł odmawiać: Ave Maria, za nim inni w skupieniu ducha powtarzali pobożne słowa.

Ziemia rodzima, dawno nie widziana, góry pokrywające się nocą, gasnące zorze, modlitwy, wszystko to nastroiło

uroczyście serca i umysły, więc po ukończonych modlitwach jechali w milczeniu, król, dygnitarze i rycerze.

Następnie noc zapadła, jeno we wschodniej stronie niebo świeciło się coraz czerwieniej.

— Pojedziem ku tym zorzom, — rzekł wreszcie król, — dziw, że jeszcze świecą.

Wtem przycwałował Kmicic.

— Miłościwy panie! to pożar! — zakrzyknął.

Zarzymali się wszyscy.

— Jakżeto? — pytał król — mnie się widzi, że to zorze!...

— Pożar, pożar! Ja się nie mylę! — wołał pan Kmicic.

I istotnie ze wszystkich towarzyszów królewskich, on znał się na tem najlepiej.

Wreszcie nie było można dłużej wątpić, gdyż ponad ową mniemaną zorzą podniosły się jakby chmury czerwone i kłębiły się, jaśniejąc i ciemniejąc naprzemian.

— To chyba Żywiec się pali! — zawołał król. — Nieprzyjaciel może tam grasować!

Nie skończył jeszcze, gdy do uszu patrzących doleciał gwar ludzki, parskanie koni i kilkanaście ciemnych postaci zamajaczało przed orszakiem.

— Stój! stój! — począł wołać Tyzenhauz.

Postacie owe zatrzymały się, jakby niepewne, co dalej mają czynić.

— Ludzie! kto wy? — pytano dalej z orszaku.

— To swoi! — ozwało się kilka głosów. — Swoi! My z Żywca gardła unosim; Szwedzi Żywiec palą i ludzi mordują!

— Stójcie! na Boga!... co gadacie?... Skąd oni się tam wzięli?

— Oni, panoczku, na naszego króla czatowali. Siła ich, siła! Niechże go Matka Boska ma w Swej opiece!...

Tyzenhauz stracił na chwilę głowę.

— Ot, co jechać w małej kupie! — krzyknął na Kmicica — bogdaj cię za takową radę zabito!

Lecz Jan Kazimierz począł sam wypytywać uciekających:

— A gdzie król? — spytał.

— Król poszedł w góry z wielkiem wojskiem i dwa dni temu przez Żywiec przejeżdżał, ale oni go naścigli i tam się gdzieś wedle Suchej bili... Nie wiemy, czy go dostali, czy nie, ale dziś pod wieczór do Żywca wrócili i palą, mordują...

— Jedźcie z Bogiem ludzie! — rzekł Jan Kazimierz.

Uciekający przemknęli szybko.

— Ot, coby nas było spotkało, gdybyśmy z dragonami jechali! — zawołał Kmicic.

— Miłościwy królu! — ozwał się ksiądz biskup Gębicki — nieprzyjaciel przed nami... Co nam uczynić?

Wszyscy otoczyli króla naokoło, jakby go chcieli osobami swemi od nagłego niebezpieczeństwa zasłonić, lecz on spoglądał na łunę, która odbijała się w jego źrenicach i milczał; nikt też pierwszy nie wyrywał się ze zdaniem, tak ciężko było coś dobrego poradzić.

— Gdym wyjeżdżał z ojczyzny, świeciła mi łuna, — rzekł wreszcie Jan Kazimierz, — gdy wjeżdżam, druga mi świeci...

I znowu nastało milczenie, tylko dłuższe jeszcze, niż poprzednio.

— Kto ma jakową radę? — spytał nakoniec ksiądz Gębicki.

Wtem zabrzmiał głos Tyzenhauza, pełen goryczy i urągania:

— Kto się nie wahał osoby pańskiej na szwank wystawić, kto namawiał, by król bez straży jechał, ten niech teraz rady udzieli!

W tej chwili jeden jeździec wysunął się z koła; był to Kmicic.

— Dobrze! — rzekł.

I podniósłszy się w strzemionach, krzyknął, zwróciwszy się ku stojącej opodal czeladzi:

— Kiemlicze, za mną!

To rzekłszy, puścił konia w cwał, a za nim trzech

jeźdźców pomknęło co tchu w piersiach końskich.

Krzyk rozpaczy wydobył się z piersi pana Tyzenhauza.

— To zmowa! — rzekł — zdrajcy znać dadzą! Mości królu, ratuj się, póki czas, bo i wąwóz wkrótce nieprzyjaciel zamknie! Mości królu, ratuj się! nazad! nazad!

— Wracajmy, wracajmy! — zawołali jednogłośnie biskupi i dygnitarze.

Lecz Jan Kazimierz zniecierpliwił się, z ócz poczęły iść mu błyskawice, nagle wydobył szpadę z pochwy i zawołał:

— Nie daj Bóg, abym z własnej ziemi drugi raz miał uchodzić! Niech się stanie, co ma być, dosyć mi tego!

I spiął konia ostrogami, by ruszyć naprzód, lecz sam nuncjusz pochwycił za lejce.

— Wasza kr. mość, — rzekł z powagą, — losy ojczyzny i Kościoła katolickiego dźwigasz na sobie, więc ci nie wolno osoby swej narażać!

— Nie wolno! — powtórzyli biskupi.

— Nie wrócę na Śląsk, tak mi dopomóż święty krzyż!— odpowiedział Jan Kazimierz.

— Miłościwy panie! wysłuchaj próśb twych poddanych! — rzekł, składając ręce, kasztelan sandomierski. — Jeżeli żadną miarą nie chcesz do cesarskich krajów się nakłonić, to nawróćmy przynajmniej z tego miejsca i ku granicy węgierskiej się skierujmy, albo przejdźmy nazad ów wąwóz, aby nam powrotu nie przecięto. Tak czekać będziem. W razie nadejścia nieprzyjaciela, w koniach ratunek zostanie, ale przynajmniej nas jako w pułapce nie zamkną.

— Niechże i tak będzie — rzekł łagodniej król. — Nie odrzucam ja rozumnej rady, ale na tułactwo drugi raz nie pójdę. Jeśli tędy nie można się będzie przedostać, to indziej się przedostaniem. Wszelako tak myślę, że waszmościowie napróżno się strachacie. Skoro ci Szwedzi nas między dragonami szukali, jako ludzie z Żywca mówili, to właśnie dowód, że o nas nie wiedzą i że zdrady ani zmowy nijakiej nie było. Weźcie waszmościowie to na rozum,

jesteście ludzie doświadczeni. Nie zaczepialiby ci Szwedzi dragonów, nie wystrzeliliby do nich ni razu, gdyby mieli wiadomość, że za dragonami jedziemy. Uspokójcie się, waszmościowie! Babinicz ze swymi pojechał po wieści i pewnie niebawem powróci.

To rzekłszy, król nawrócił konia ku wąwozowi, za nim towarzysze. Zatrzymali się tam, gdzie im pierwszy przejezdny góral samą granicę wskazywał.

Upłynął kwadrans, poczem pół godziny i godzina.

— Czy uważacie wasze dostojności, — ozwał się nagle wojewoda łęczycki, — iż łuna zmniejsza się?

— Gaśnie, gaśnie prawie w oczach! — odrzekło kilka głosów.

— To dobry znak! — zauważył król.

— Pojadę ja naprzód z kilkunastoma ludźmi — ozwał się Tyzenhauz. — O staję stąd staniemy i gdyby Szwedzi nadciągali, to ich zatrzymamy na sobie, dopóki nie polegniem. W każdym razie będzie czas o bezpieczeństwie osoby pańskiej pomyśleć.

— Trzymaj się kupy, zakazuję ci jechać! — rzekł król.

A na to Tyzenhauz:

— Miłościwy panie! każesz mnie później za nieposłuszeństwo rozstrzelać, ale teraz pojadę, bo tu o ciebie chodzi!

I skrzyknąwszy kilkunastu żołnierzy, którym można było zaufać w każdej potrzebie, ruszył naprzód.

Stanęli u drugiego wyjścia wąwozu w dolinę — i stali cicho z gotowemi rusznicami, nadstawiając uszu na każdy szelest.

Długi czas trwało milczenie, nakoniec doleciał ich chrzęst śniegu tratowanego kopytami.

— Jadą! — szepnął jeden z żołnierzy.

— Nie żadna to kupa, kilka tylko koni słychać — odpowiedział drugi. — Pan Babinicz wraca!

Tymczasem nadjeżdżający zbliżyli się w ciemnościach na kilkadziesiąt kroków.

— Werdo? — zakrzyknął Tyzenhauz.

— Swoi! nie strzelać tam! — zabrzmiał głos Kmicica.

W tejże chwili on sam pojawił się przed Tyzenhauzem i nie poznawszy go w ciemności, spytał:

— A gdzie król?

— Tam, opadal, za wąwozem! — odrzekł uspokojony Tyzenhauz.

— Kto mówi, bo nie można rozeznać?

— Tyzenhauz! A co to takiego wielkiego wieziesz waszmość przed sobą?

To rzekłszy, ukazał na jakiś ciemny kształt, zwieszający się przed Kmicicem na przodku kulbaki.

Lecz pan Andrzej nie odpowiedział nic i przejechał mimo. Dotarłszy do orszaku królewskiego, rozeznał osobę króla, bo za wąwozem daleko było jaśniej i zawołał:

— Miłościwy panie, wolna droga!

— Niemasz już w Żywcu Szwedów?

— Odciągnęli ku Wadowicom. To był niemiecki oddział najemny. Ot, zresztą jest tu jeden, sam go, miłościwy panie, wybadaj!

I nagle pan Andrzej cisnął na ziemię z kulbaki ów kształt, który trzymał przed sobą, aż jęk rozległ się w ciszy nocnej.

— Co to jest? — pytał zdumiony król.

— To? Rajtar!

— Na miły Bóg! Toś i języka przywiózł. Jakżeto? powiadaj!

— Miłościwy panie! Gdy wilk nocą za stadem owiec idzie, łatwo mu jedną sztukę porwać, a zresztą, żeby prawdę rzec, to mi taka sprawa nie pierwszyzna.

Król ręce do głowy podniósł.

— Ale to żołnierz ten Babinicz, niech go kule biją. Imajnujcie waszmościowie... Widzę, że mając takich sług, mogę choćby w środek Szwedów jechać!

Tymczasem otoczyli wszyscy rajtara, który jednak nie podnosił się z ziemi.

— Pytaj go, miłościwy panie, — odpowiedział nie bez

pewnej chełpliwości w głosie Kmicic, — choć nie wiem, czy będzie mógł odpowiadać, bo trochę przyduszon, a niemasz tu, czemby go przypiec.

— Wlejcie mu gorzałki w gardło — rzekł król.

I istotnie lepiej to lekarstwo pomogło od przypiekania, bo rajtar wkrótce odzyskał siły i głos. A wówczas pan Kmicic, przyłożywszy mu sztych do gardła, kazał opowiadać całą prawdę.

Zeznał tedy ów jeniec, że należy do regimentu pułkownika Irlehorna, że mieli wiadomość o przejeździe króla z dragonami, więc napadli na nich koło Suchej, ale wziąwszy wstręt należyty, musieli się cofnąć do Żywca, skąd pociągnęli do Wadowic i Krakowa, bo takie mieli rozkazy.

— Zali w górach niema innych oddziałów szwedzkich? — pytał po niemiecku Kmicic, pociskając nieco silniej gardło rajtara.

— Może są jakowe: — odpowiedział przerywanym głosem rajtar — jenerał Duglas porozsyłał podjazdy, ale się wszystkie cofają, bo chłopstwo w wąwozach na nie napada.

— A w pobliżu Żywca wyście jedni byli?

— My jedni.

— I wiecie, że król polski już przejechał?

— Przejechał z tymi dragonami, którzy się o nas w Suchej obtarli. Wielu go widziało.

— Czemuście go nie ścigali?

— Baliśmy się górali.

Tu Kmicic ozwał się znów po polsku:

— Miłościwy panie! Droga wolna, a i nocleg w Żywcu się znajdzie, bo jeno część osady spalona...

Lecz nieufny Tyzenhauz rozmawiał przez ten czas z panem kasztelanem wojnickim i tak mówił:

— Albo to jest żołnierz wielki i szczery jak złoto, albo zdrajca kuty na cztery nogi... Zważ wasza dostojność, że to wszystko może być symulowane, od wzięcia tego rajtara aż do jego zeznań. A jeśli to umyślne? Jeśli Szwedzi siedzą

przyczajeni w Żywcu? Jeśli król pojedzie i wpadnie jako w matnię?...

— Bezpieczniej się przekonać — odrzekł kasztelan wojnicki.

Więc pan Tyzenhauz zwrócił się do króla i rzekł głośno:

— Pozwól, miościwy panie, żebym ja najprzód do Żywca ruszył i przekonał się, czyli to prawda, co ów kawaler i ów rajtar powiadają.

— Niechże tak będzie! Pozwól, miłościwy panie, niech jedzie! — zawołał Kmicic.

— Jedź, — rzekł król, — ale i my ruszymy nieco naprzód, bo zimno.

Pan Tyzenhauz ruszył z kopyta, a orszak królewski jął posuwać się za nim zwolna. Król odzyskał dobry humor i wesołość i po niejakim czasie rzekł do Kmicica:

— Ale to z tobą możnaby jako z sokołem na Szwedów polować, bo z góry uderzasz!

— Tak to i było — odrzekł pan Andrzej. — Jak wasza królewska mość zechce zapolować, to sokół zawsze gotów!

— Powiadaj, jakżeś go ucapił?

— To nietrudno, miłościwy panie! Zwyczajnie gdy pułk idzie, zawsze kilkunastu ludzi ztyłu się wlecze, a ten się na pół stajania został. Podjechałem za nim; on myślał, że swój, nie strzegł się i nim się opamiętał, jużem go porwał, gębę mu przydusiwszy, ażeby nie krzyczał.

— Mówiłeś, że ci to nie pierwszyzna. Zaliżeś to już kiedy pierwej praktykował?

Kmicic rozśmiał się.

— Oj, oj! miłościwy panie! praktykowałem i to i co lepszego. Niech wasza królewska mość jeno rozkaże, a znowu skoczę, dognam ich, bo konie mają zdrożone i jeszcze jednego ucapię i Kiemliczom moim każę ucapić.

Czas jakiś jechali w milczeniu, nagle tętent konia rozległ się i nadleciał Tyzenhauz.

— Mości królu! — rzekł — droga wolna i nocleg zamówiony.

— A nie mówiłem?! — zawołał Jan Kazimierz. — Niepotrzebnieście się waszmościowie troskali... Jedźmy teraz, bo nam się spoczynek należy!

Wszyscy ruszyli rysią, raźno, wesoło i w godzinę później zasnął utrudzony król bezpiecznym snem na własnej ziemi.

Tegoż wieczora pan Tyżenhauz zbliżył się do Kmicica.

— Wybacz waszmość, — rzekł, — z miłości to do pana cię podejrzywałem.

Lecz Kmicic umknął mu ręki.

— O, nie może być! — odrzekł. — Zdrajcą i przedawczykiem mnie czyniłeś...

— Byłbym i więcej uczynił, bo byłbym waści w łeb strzelił, — rzekł Tyzenhauz, — ale gdym się przekonał, żeś zacny człowiek i króla miłujesz, rękę ci wyciągnąłem. Chcesz, przyjmij — nie chcesz, nie przyjmuj... Wolałbym z tobą jeno w przywiązaniu do osoby pańskiej emulować... Ale i innej emulacji się nie przestraszę.

— Tak waszmość myślisz?... Hm! może masz i słuszność, ale mi na waćpana mruczno.

— To przestań mruczeć... Tęgi z waszmości żołnierz! No! a dawaj-no gęby, byśmy się w nienawiści spać nie układli.

— Niechże tak będzie! — rzekł Kmicic.

I padli sobie w objęcia.

ROZDZIAŁ V.

Orszak królewski późną nocą dotarł do Żywca i prawie nie zwrócił uwagi w miasteczku, przerażonem niedawnym napadem szwedzkiego oddziału. Król nie zajeżdżał do zamku, który poprzednio już był spustoszony od Szwedów, a w części spalony, ale stanął w plebanji. Tam Kmicic rozpuścił wiadomość, iż to poseł cesarski ze Śląska udaje się do Krakowa.

Jakoż nazajutrz wyruszyli ku Wadowicom i dopiero znacznie za miastem skręcili do Suchej. Stamtąd przez Krzeczonów mieli jechać do Jordanowa, stamtąd do Nowego Targu i gdyby się okazało, że niema podjazdów szwedzkich pod Czorsztynem, to do Czorsztyna, gdyby zaś były, to skręcić mieli do Węgier i węgierską ziemią ciągnąć aż do Lubowli. Spodziewał się też król, że pan marszałek w. koronny, który rozporządzał tak znacznemi siłami, jakich nie miał niejeden książę panujący, poubezpiecza drogi i sam naprzeciw panu wyskoczy. Mogło mu pomieszać szyki tylko to, że nie wiedział, którędy król ciągnie; ale przecież między góralami nie brakło wiernych ludzi, gotowych zanieść panu marszałkowi umówione słowa. Nie potrzeba im było nawet tajemnicy powierzać, bo szli chętnie, skoro im powiedziano, że o służbę królewską idzie. Był to bowiem lud duszą i sercem królowi oddany, chociaż ubogi i pół jeszcze dziki, mało, albo wcale uprawą niewdzięcznej roli się nie trudniący, żyjący z chowu bydła, pobożny i nienawidzący heretyków. Oni to pierwsi, gdy rozeszła się wieść o wzięciu Krakowa, a zwłaszcza o oblężeniu Częstochowy, do której pobożne pielgrzymki odprawiać zwykli, porwali za toporzyska swoich siekier i ruszyli się z gór. Jenerał Duglas, znakomity wojownik, opatrzony w działa i strzelby, rozproszył ich wprawdzie z łatwością w równinach, na których bić się nie przywykli; natomiast Szwedzi z największemi tylko ostrożnościami zapuszczali się we właściwe ich siedziby, w których dosięgnąć ich było niepodobna, a ponieść klęskę łatwo. Zginęło też kilka pomniejszych oddziałów, które się nieopatrznie w labirynt gór zapędziły.

I teraz wieść o przejeździe króla z wojskiem uczyniła już swoje, wszyscy bowiem jak jeden mąż zerwali się, by go bronić i towarzyszyć mu ze swemi „ciupagami“, choćby na kraj świata. Mógł Jan Kazimierz, gdyby tylko odkrył, kto jest, otoczyć się w jednej chwili tysiącami półdzikich „gazdów“, lecz on słusznie mniemał, że w takim razie wieść rozebrzmiałaby wnet, razem z wichrami, po całej okolicy

i że Szwedzi mogliby także wysłać znaczne wojska na jego spotkanie, więc wolał ciągnąć niepoznany, nawet od górali.

Znajdowano jednak wszędy pewnych przewodników, którym dość było powiedzieć, że prowadzą biskupów i panów, pragnących się szwedzkiej ręki uchronić. Prowadzili ich więc wśród śniegów, skał, wirchów i przełęczy, sobie tylko znanemi „pyrciami“, przez miejsca tak niedostępne, że — rzekłbyś — i ptak nie mógłby przez nie przelecieć.

Nieraz król i dostojnicy mieli chmury pod nogami, a jeżeli chmur nie było, to wzrok ich leciał w bezbrzeżną, białemi śniegami okrytą przestrzeń, która tak wydawała się szeroką, jak kraj cały szeroki; nieraz zapuszczali się w gardziele górskie, ciemne prawie, śniegami przysłonięte, w których chyba tylko zwierz dziki mógł mieć legowiska. Lecz omijano dostępne dla nieprzyjaciela miejsca, skracano drogę i bywało, że osada jaka, do której ledwie za pół dnia spodziewano się dostać, pojawiała się nagle pod nogami, w niej spoczynek czekał i gościnność, choć w kurnej chacie, w zadymionej świetlicy.

Król był ciągle wesół, innym odwagi do znoszenia nadzwyczajnych trudów dodawał i uręczał, że takiemi drogami się przebierając, pewno równie szczęśliwie, jak niespodzianie do Lubowli się dostaną.

— Pan marszałek ani się spodziewa, kiedy mu na kark spadniem! — powtarzał ciągle.

A nuncjusz odpowiadał:

— Czemże był powrót Ksenofonta w porównaniu z tą naszą podróżą w chmurach?

— Im wyżej się wzniesiem, tem szwedzka fortuna upadnie niżej — twierdził król.

Tymczasem dojechano do Nowego Targu. Zdawało się, że wszelkie niebezpieczeństwo minęło; jednakże górale twierdzili, że jakieś obce wojska kręcą się wedle Czorsztyna i po okolicy. Król przypuszczał, iż może to być niemiecka rajtarja pana marszałka koronnego, której miał dwa pułki, albo że jego własnych dragonów, wysłanych przodem, po-

czytano za nieprzyjacielskie podjazdy. Więc gdy i w Czorsztynie była załoga biskupa krakowskiego, podzieliły się zdania w królewskim orszaku: jedni chcieli jechać traktem do Czorsztyna, a stamtąd ciągnąć samą granicą do ziemi spiskiej; inni radzili zaraz wykręcić do Węgier, które tu klinem aż pod Nowy Targ dochodziły i znowu przedzierać się przez wirchy i wąwozy, biorąc wszędy przewodników, najniebezpieczniejsze przejścia znających.

To ostatnie zdanie przemogło, albowiem w tèn sposób spotkanie się ze Szwedami stawało się prawie niepodobnem i zresztą króla bawiła ta „orłowa" droga przez przepaści i przez chmury.

Wyruszono więc z Nowego Targu nieco na zachód i południe, zostawiając po prawej ręce Biały Dunajec. Początkowa droga szła okolicą dosyć otwartą i rozległą, lecz w miarę jak postępowano naprzód, góry poczęły się zbiegać, doliny zacieśniać. Jechano drogami, po których konie ledwie mogły postępować. Czasem trzeba było zsiadać i w ręku je prowadzić, a i to nieraz jeszcze opierały się, tuląc uszy i wyciągając otwarte, dymiące nozdrza ku przepaściom, z których głębi śmierć zdawała się wyglądać.

Górale, przywykli do urwisk, uznawali często za dobre takie drogi, na których nieobyłym ludziom szumiało i kręciło się w głowach. Wjechali nakoniec w jakąś szczelinę skalną długą i prostą, a tak wąską, że zaledwie trzech ludzi mogło jechać wedle siebie.

Wąwóz to był jakoby korytarz niezmierny. Dwie wysokie skały zamykały go z prawej i lewej strony. Gdzie niegdzie jednak krawędzie ich rozchylały się, tworząc mniej strome pochyłości pokryte zaspami śniegu, na zrębach obramowane czarnym borem. Wichry wywiały natomiast śnieg z dna wąwozu i kopyta końskie szczękały wszędy po kamienistym podkładzie. Lecz w tej chwili wiatr nie wiał i cisza panowała tak głucha, że aż w uszach dzwoniąca. Tylko w górze, kędy między lesistemi krawędziami widniał błękitny pas nieba,

przelatywało od czasu do czasu czarne ptastwo, łopocąc skrzydłami i kracząc.

Orszak królewski stanął dla wypoczynku. Z koni podnosiły się kłęby pary, a i ludzie byli pomęczeni.

— Czy to Polska, czy Węgry? — spytał po chwili przewodnika król.

— To jeszcze Polska.

— A czemu nie wykręciliśmy zaraz do Węgier?

— Bo nie można. On wąwóz zakręci się opodal, potem będzie siklawa. za siklawą pyrć do traktu idzie. Tam nawrócimy, przejdziem jeszcze jeden wąwóz i dopiero będzie węgierska strona.

— To widzę, że lepiej było odrazu traktem jechać — rzekł król.

— Cichajcie!... — odpowiedział nagle góral.

I przyskoczywszy do skały, przyłożył do niej ucho.

Wszyscy utkwili w niego oczy. a jemu twarz zmieniła się w jednej chwili i rzekł:

— Za zakrętem wojsko idzie od potoku!... Dlaboga! czy nie Szwedy?!

— Gdzie? jak? co?... — poczęto pytać ze wszystkich stron. — Nic nie słychać!...

— Bo tam śnieg leży. Na rany boskie! Już są blisko!... Zaraz się ukażą!...

— Może pana marszałka ludzie? — rzekł król.

Kmicic w tej chwili ruszył koniem.

— Pojadę zobaczyć! — rzekł.

Kiemlicze ruszyli zaraz za nim, jak psy myśliwe za łowcem. lecz ledwie posunęli się z miejsca, gdy zakręt gardzieli, o sto kroków przed nimi leżący, zaciemnił się od ludzi i koni.

Kmicic spojrzał... i dusza zatrzęsła się w nim z przerażenia.

Byli to Szwedzi.

Ukazali się tak blisko, że cofać się było niepodobna, zwłaszcza, iż orszak królewski miał konie pomęczone. Pozo-

stawało tylko przebić się lub zginąć, albo pójść w niewolę. Zrozumiał to w jednej chwili nieustraszony król, więc chwycił za rękojeść szpady!

— Osłonić króla i nazad! — krzyknął Kmicic.

Tyzenhauz z dwudziestu ludźmi w mgnieniu oka wysunął się na czoło. lecz Kmicic zamiast złączyć się z nimi, ruszył drobnym kłusem przeciw Szwedom.

Miał zaś na sobie szwedzki strój, ten sam, w któren przebrał się, wychodząc z klasztoru, więc owi Szwedzi teraz nie pomiarkowali, co to za jeden. Widząc dążącego przeciw sobie w takim stroju jeźdźca, prawdopodobnie poczytali cały orszak królewski za jakiś własny podjazd, bo nie przyśpieszyli kroku, tylko kapitan dowodzący wysunął się przed pierwszą trójkę.

— A co za ludzie? — spytał po szwedzku, patrząc na groźną i bladą twarz zbliżającego się junaka.

Kmicic najechał nań tak blisko, że prawie trącili się kolanami i nie odrzekłszy ni słowa, wypalił mu w samo ucho z pistoletu.

Okrzyk zgrozy wyrwał się z piersi rajtarów, ale potężniej jeszcze zabrzmiał głos pana Andrzeja:

— Bij!

I jako skała oderwana od opoki, tocząc się w przepaść druzgoce wszystko w biegu, tak i on runął na pierwszy szereg, niosąc śmierć i zniszczenie. Dwaj młodzi Kiemlicze, podobni do dwóch niedźwiedzi, skoczyli za nim w zamęt. Stukot szabel o pancerze i hełmy rozległ się, jak huk młotów, a wnet zawtórowały mu wrzaski i jęk.

Przerażonym Szwedom zdawało się w pierwszej chwili, że to trzech wielkoludów napadło ich w dzikim parowie górskim. Pierwsze trójki cofnęły się zmieszane przed strasznym mężem, a gdy ostatnie wydobywały się dopiero z poza zakrętu, środek stłoczył się i zwichrzył. Konie poczęły gryźć się i wierzgać. Żołnierze z dalszych trójek nie mogli strzelać, nie mogli iść na ratunek przodowym, którzy ginęli bez ratunku pod ciosami trzech olbrzymów. Próżno

się złożą, próżno sztychów nadstawią, tamci łamia szable, przewracają ludzi i konie. Kmicic zdarł konia, że aż kopyta jego zwisły nad głowami rajtarskich rumaków, sam zaś szalał, siekł, bódł. Krew zbroczyła mu twarz, z oczu szedł ogień, wszystkie myśli w nim zgasły, została tylko jedna, że zginie, lecz Szwedów musi zatrzymać. Ta myśl przerodziła się w dzikie jakieś uniesienie, więc siły jego potroiły się, ruchy stały się podobne do ruchów rysia: wściekłe, jak błyskawica szybkie. I nadludzkiemi ciosami szabli kruszył ludzi, jak piorun kruszy młode drzewa; dwaj Kiemlicze młodzi szli tuż, a stary stojąc nieco ztyłu, co chwila wsuwał rapier między synów, tak szybko, jak wąż żądło wysuwa i wyciągał krwawy.

Tymczasem koło króla powstał rozruch. Nuncjusz, jako pod Żywcem, tak i teraz trzymał za cugle jego konia z drugiej strony chwycił je biskup krakowski i ze wszystkich sił cofali wtył rumaka, król zaś parł go ostrogami aż dzianet dęba stawał.

— Puszczajcie!... wołał król. — Na Boga! Przejedziem przez nieprzyjaciół!

— Panie, myśl o ojczyźnie! — wołał biskup krakowski.

I król nie mógł wydrzeć się z ich rąk, zwłaszcza, że od przodu zatarasował mu drogę młody Tyzenhauz ze wszystkimi ludźmi. Nie szedł on w pomoc Kmicicowi, poświęcił go, pragnął tylko króla ratować.

— Na mękę Pana naszego! — krzyknął z rozpaczą — tamci zaraz polegną!... Miłościwy panie, ratuj się, póki czas! Ja ich tu jeszcze zatrzymam!

Lecz upór królewski, gdy go raz rozdrażniono, nie liczył się z niczem i z nikim. Jan Kazimierz wsparł jeszcze silniej rumaka ostrogami i zamiast cofać się, posuwał się naprzód.

A czas płynął i każda chwila dłużej mogła zgubę za sobą pociągnąć.

— Zginę na mojej ziemi!... Puszczajcie! — wołał król.

Szczęściem, przeciw Kmicicowi i Kiemliczom, dla

ciasnoty miejsca, mała tylko liczba mogła odrazu działać, skutkiem czego mogli się trzymać dłużej. Lecz zwolna i ich siły poczęły się wyczerpywać. Kilkakroć rapiery szwedzkie dotknęły się ciała Kmicica i krew jęła z niego uchodzić. Oczy przesłaniały mu się jakby mgłą. Dech ustawał w piersiach. Uczuł zbliżanie się śmierci, więc pragnął tylko życie sprzedać drogo. — Jeszcze choć jednego! — powtarzał sobie i puszczał płytkie żelazo na głowę lub ramię najbliższego rajtara i znów zwracał się ku innemu; Szwedom wszelako po pierwszej chwili zamieszania i strachu, wstyd widocznie uczyniło się, że czterech mężów zdołało ich zatrzymać tak długo i natarli z furją; wnet samym ciężarem ludzi i koni zepchnęli ich wtył i spychali coraz silniej i szybciej.

Wtem koń Kmicica padł i fala zakryła jeźdźca.

Kiemlicze rzucali się jeszcze czas jakiś, podobni do pływaków, którzy widząc, że toną, usiłują jak najdłużej głowy nad powierzchnią roztoczy morskiej utrzymać, lecz wkrótce zapadli i oni...

Wówczas Szwedzi jak wicher ruszyli ku orszakowi królewskiemu.

Tyzenhauz zaś ze swymi ludźmi skoczył ku nim i uderzyli się tak, że aż łoskot rozległ się po górach.

Lecz cóż znaczyła ta nowa tyzenhauzowska garstka przeciw potężnemu podjazdowi, blisko trzysta koni liczącemu!

Nie było już wątpliwości, że dla króla i jego orszaku musi nieubłaganie wybić fatalna godzina zguby lub niewoli.

Jan Kazimierz woląc widocznie pierwszą od drugiej, wyswobodził nakoniec lejce z rąk trzymających je biskupów i posunął się szybko za Tyzenhauzem.

Nagle stanął jak wryty.

Stało się coś nadzwyczajnego. Patrzącym wydało się, że same góry przychodzą w pomoc prawemu królowi i panu.

Oto nagle krawędzie wąwozu zadrgały, jak gdyby ziemia wzruszyła się z posad, jak gdyby bór rosnący wgórze chciał

wziąć udział w walce i pnie drzewne, bryły śniegu, lodu, kamienie i okruchy skał jęły toczyć się ze straszliwym trzaskiem i łoskotem na zaciśnięte na dnie szeregi szwedzkie; jednocześnie nieludzkie wycie rozległo się po obu stronach parowu.

Na dole zaś, w szeregach, wszczął się zamęt, ludzką wyobraźnię przechodzący. Szwedom zdało się, że góry runęły i zsypują się na nich. Powstały krzyki, lament druzgotanych mężów, rozpaczliwe wołania o pomoc, kwik koński, zgrzyt i straszlliwy dźwięk skalnych obłamów o pancerze.

Nakoniec ludzie i konie utworzyli jedną kupę kłębiącą się konwulsyjnie, gniotącą, pełną jęków, rozpaczliwą, straszną.

A kamienie i złamy skał miażdżyły ją ciągle, tocząc się nieubłaganie na bezkształtne już masy ciał końskich i ludzkich.

— Górale! górale! — zaczęto krzyczeć w orszaku królewskim.

— Ciupagami psubratów! — ozwały się głosy na górze.

I w tej chwili po obu krawędziach skalistych ukazały się długowłose, głowy, przybrane w krągłe skórzane kapelusze, za niemi wychyliły się ciała i kilkaset dziwnych postaci poczęło spuszczać się wdół po pochyłościach śnieżnych.

Ciemne i białe gunie, unoszące się nad ramionami, nadawały im pozór jakichś strasznych ptaków drapieżnych. Zsunęli się w mgnieniu oka; świst siekierek zawtórował złowrogo ich dzikim okrzykom i jękom dobijanych Szwedów. Sam król chciał rzeź powstrzymać; niektórzy rajtarowie, żywi jeszcze, błagali o ratunek. Nic nie pomogło, nic nie wstrzymało mściwych siekier i w kwadrans później nie było już ani jednego żywego Szweda w parowie.

Potem krwawi górale poczęli się sypać ku orszakowi królewskiemu.

Nuncjusz ze zdumieniem patrzył na tych nieznanych sobie ludzi, rosłych, silnych, pokrytych częścią w skóry

owcze, ubroczonych krwią i potrząsających dymiącemi jeszcze siekierkami.

Lecz oni na widok biskupów poodkrywali głowy. Wielu poklękało w śniegu.

Biskup krakowski podniósł załzawioną twarz ku niebu.

— Oto pomoc Boska, oto Opatrzność, która czuwa nad majestatem!

Następnie zwrócił się do górali i rzekł:

— Ludzie, coście za jedni?

— Tutejsi! — odpowiedziano z tłumu.

— Czy wiecie, komuście przyszli w pomoc?... Oto król i pan wasz, któregoście uratowali!

Na te słowa krzyk uczynił się w tłumie: — Król! król! Jezusie, Marjo, król! — Wierni górale poczęli się cisnąć do pana i tłoczyć. Z płaczem opadli go zewsząd, z płaczem całowali jego nogi, strzemiona, nawet kopyta jego konia. Zapanowało takie uniesienie, taki krzyk i szlochanie, że aż biskupi z obawy o osobę królewską musieli zbytni zapał hamować.

Król zaś stał wśród wiernego ludu, jak pasterz wśród owiec i łzy wielkie, jasne jak perły, spływały mu po twarzy.

Poczem oblicze jego rozjaśniło się, jakby jakaś przemiana spełniła się nagle w jego duszy, jakby nowa wielka myśl, z nieba rodem, zaświeciła mu w głowie i skinął ręką, że chce mówić a gdy uciszyło się, rzekł podniesionym głosem, tak, iż słyszał go tłum cały:

— Boże, któryś mnie przez ręce prostego ludu wybawił, przysięgam Ci na mękę i śmierć Syna Twego, że i jemu ojcem odtąd będę!

— Amen — powtórzyli biskupi.

I czas jakiś trwało uroczyste milczenie, potem zaś nowa radość wybuchła. Poczęto wypytywać górali, skąd się wzięli w wąwozach i jakim sposobem tak w porę dla ratunku królowi się znaleźli?

Okazało się, że znaczne podjazdy szwedzkie kręciły się koło Czorsztyna i nie dobywając samego zamku, zdawały się

szukać kogoś i czekać. Górale słyszeli także o bitwie, którą podjazdy te stoczyły z jakiemś wojskiem, między którem miał się i sam król znajdować. Wówczas to postanowili wciągnąć Szwedów w zasadzki i nasławszy im fałszywych przewodników, umyślnie zwabili ich do tego parowu.

— Widzieliśmy, — mówili górale, — jako onych czterech rycerzy uderzyło na tych psiajuchów, chcieliśmy im iść w pomoc, ale baliśmy się spłoszyć za wcześnie psubratów.

Tu król porwał się za głowę.

— Matko jedynego Syna! — krzyknął — szukać mi Babinicza! Niechaj mu choć pogrzeb wyprawimy!... I tego to człowieka za zdrajcę poczytano, który pierwszy krew za nas wylał!

— Zawiniłem, miłościwy panie! — ozwał się Tyzenhauz.

— Szukać go, szukać! — wołał król. — Nie odjadę stąd, póki mu w twarz nie spojrzę i nie pożegnam.

Skoczyli więc żołnierze wraz z góralami na miejsce pierwszej walki i wkrótce z pod stosu trupów końskich i ludzkich wydobyli pana Andrzeja. Twarz jego była blada, cała zabryzgana krwią, której grube sople zakrzepły mu na wąsach; oczy miał przymknięte; pancerz powyginany od razów mieczów i kopyt końskich. Ale ten pancerz właśnie uchronił go od zmiażdżenia i żołnierzowi, który go podniósł, wydawało się, że usłyszał cichy jęk:

— Dlaboga! Żyw! — zakrzyknął.

— Zdjąć mu pancerz! — wołali inni.

Wnet przecięto rzemienie.

Kmicic odetchnął głębiej.

— Dycha! dycha! Żyw! — powtórzyło kilka głosów.

On zaś leżał czas jakiś nieruchomie, poczem otworzył oczy. Wówczas jeden z żołnierzy wlał mu do ust nieco gorzałki, inni zaś podnieśli go pod ramiona.

W tej chwili nadjechał pędem sam król, do którego uszu doszedł okrzyk, powtarzany przez wszystkie usta.

Żołnierze przywlekli przed niego pana Andrzeja, który

ciężył im ku ziemi i leciał przez ręce. Jednakże na widok króla przytomność wróciła mu na chwilę, uśmiech prawie dziecinny przebłysnął mu na twarzy, a blade jego wargi wyszeptały wyraźnie:

— Mój pan, mój król żywie... wolny...

I łzy błysły mu w źrenicach.

— Babinicz, Babinicz! Czem cię nagrodzę!? — wołał król.

— Jam nie Ba-bi-nicz, jam Kmi-cic! — szepnął rycerz.

To rzekłszy, zwisł jak martwy na rękach żołnierzy.

ROZDZIAŁ VI.

Ponieważ górale zapewnili, że na drodze do Czorsztyna o żadnych innych oddziałach szwedzkich nie słychać, orszak królewski wykręcił więc ku temu zamkowi i wkrótce znalazł się na trakcie, po którym podróż była łatwiejsza i mniej nużąca. Jechali wśród pieśni góralskich i okrzyków: — Król jedzie! Król jedzie! — a po drodze łączyły się z nimi coraz nowe kupy ludu, zbrojnego w cepy, kosy, widły i strzelby, tak, że Jan Kazimierz stanął wkrótce na czele znacznego oddziału ludzi niewyćwiczonych wprawdzie, ale gotowych w każdej chwili iść z nim choćby na Kraków i krew przelać za swego pana. Pod Czorsztynem przeszło już tysiąc „gazdów“ i półdzikich juhasów otaczało króla.

Aż też zaczęła napływać i szlachta z pod Nowego i Starego Sącza. Ci donieśli, że tegoż ranka pułk polski pod wodzą Woyniłłowicza zbił przy samem mieście Nowym Sączu znaczny podjazd szwedzki, z którego wszyscy niemal ludzie zginęli lub potopili się w Kamiennej i w Dunajcu.

Jakoż okazało się to prawdą, gdyż wkrótce na trakcie zamigotały proporczyki, zaczem sam Woyniłłowicz z pułkiem wojewody bracławskiego nadjechał.

Radośnie król powitał znakomitego, a zdawna sobie znajomego rycerza i wśród ogólnego zapału ludu i wojska

jechał z nim dalej na Spisz. Tymczasem skoczyli co tchu w koniach jezdni dać naprzód znać panu marszałkowi, że król się zbliża, aby był gotów na przyjęcie.

Wesoło i gwarno szła dalsza podróż. Napływały coraz nowe tłumy. Nuncjusz, który z obawą o własne i królewskie losy ze Śląska wyjechał, którą obawę początek podróży jeszcze powiększył, nie posiadał się teraz z radości, bo już był pewien, że przyszłość niezawodnie zwycięstwo królowi, a z nim i Kościołowi nad heretykami przyniesie. Biskupi podzielali jego radość, dygnitarze świeccy twierdzili, że cały naród od Karpat do Bałtyku, tak samo jak owe tłumy, za broń chwyci. Woyniłłowicz zaś zapewniał, że po większej części już się to stało.

I opowiadał, co w kraju słychać, jaki postrach padł na Szwedów, jak już nie śmią się w mniejszej liczbie z murów wychylać, jak nawet mniejsze zameczki opuszczają i palą, do potężniejszych chroniąc się fortec.

— Wojsko jedną ręką w piersi się bije, a drugą Szwedów bić zaczyna — mówił. — Wilczkowski, który nad husarskim pułkiem waszej kr. mości porucznikuje, podziękował już Szwedom za służbę, a to w ten sposób, że ich pod Zakrzewem, w komendzie pułkownika Attenberga będących, napadł i siła naciął, ledwie nie wszystkich zniósł... Ja z pomocą bożą z Nowego Sącza ich wyparłem i Bóg dał znaczną wiktorję, bo nie wiem, czy jeden żywy wyszedł... Pan Felicjan Kochowski z piechotą nawojowską mocno mi dopomógł i tak się im przynajmniej za owych dragonów, dwa dni temu poszarpanych, odpłaciło.

— Za jakich dragonów? — spytał król.

— A za tych, których wasza kr. mość ze Śląska przed sobą wysłał. Szwedzi znienacka ich napadli i chociaż rozproszyć nie zdołali, bo się okrutnie bronili, przecie szkodę uczynili w nich znaczną... A myśmy mało nie pomarli z desperacji, bośmy myśleli, że się wasza kr. mość osobą własną między tymi ludźmi znajduje i baliśmy się, żeby jakowa zła przygoda majestatu nie spotkała. Bóg to natchnął waszą kr.

mość do wysłania przodem dragonji. Zaraz się o niej Szwedzi zwiedzieli i wszędy drogi pozajmowali.

— Słyszysz, Tyzenhauz? — pytał król. — Żołnierz to doświadczony mówi.

— Słyszę, miłościwy panie, — odparł młody magnat.

Król zwrócił się do Woyniłłowicza.

— A co więcej? Co więcej? Powiadaj!

— Co wiem, pewnie tego nie ukryję. W Wielkopolsce Żegocki i Kulesza dokazują. Pan Warszycki Lindorma z zamku pileckiego wysadził. Danków się obronił. Lanckorona w naszych ręku, a na Podlasiu pan Sapieha pod Tykocinem codzień w siłę rośnie. Gorzeją już Szwedzi w zamku, a z nimi razem zgorzeje i książę wojewoda wileński. Co do hetmanów, ci się już z pod Sandomierza w Lubelskie ruszyli, jawnie tam okazując, że z nieprzyjacielem zrywają. Jest tam z nimi i wojewoda czernihowski, a z okolicy ciągnie ku nim kto żyw i kto szablę w garści utrzymać może. Powiadają, że się tam ma jakiś związek przeciwko Szwedom formować, w czem i pana Sapiehy jest ręka i pana kasztelana kijowskiego.

— To kasztelan kijowski także teraz w Lubelskiem?

— Tak jest, wasza królewska mość! Ale on dziś tu, jutro tam... Mam i ja do niego ciągnąć, ale gdzie go szukać, tego nie wiem.

— Głośno o nim będzie, — rzekł król, — nie będziesz potrzebował o drogę pytać.

— Tak i ja myślę, miłościwy panie — odrzekł Woyniłłowicz.

Na podobnych rozmowach schodziła droga. Tymczasem niebo wypogodziło się zupełnie, tak że błękitu nie plamiła żadna chmurka; śniegi lśniły się w promieniach słońca. Góry spiskie roztaczały się wspaniale i wesoło przed jadącymi i sama natura zdawała się do pana uśmiechać.

— Miła ojczyzno! — rzekł król — bodajem ci mógł spokój przywrócić, nim kości moje w tej ziemi spoczną!

Wjechali na wysokie wzgórze, z którego widok otwarty był i daleki, bo z drugiej strony obszerna stała u stóp jego

nizina. Tam ujrzeli wdole i w wielkiem oddaleniu poruszające się jakieś mrowisko ludzkie.

— Wojska pana marszałka idą! — zawołał Woyniłłowicz.

— Jeżeli nie Szwedzi? — rzekł król.

— Nie, miłościwy panie! Szwedzi nie mogliby od Węgier z południa ciągnąć. Widzę już husarskie proporczyki.

Jakoż po chwili, z sinawej oddali wysunął się las włóczni, barwne proporce chwiały się jakby kwiaty wiatrem poruszane; powyżej groty lśniły się nakształt płomyków. Słońce grało na pancerzach i hełmach.

Tłumy towarzyszące królowi wydały okrzyk radosny; dosłyszano go zdala, bo masa koni, jeźdźców, chorągwi, buńczuków, proporczyków, poczęła poruszać się szybciej, widocznie tam ruszono z kopyta, bo pułki stawały się coraz wyraźniejsze i rosły w oczach z niepojętą szybkością.

— Ostańmy tu, na tem wzgórzu! Tu pana marszałka czekać będziem — rzekł król.

Orszak zatrzymał się; jadący naprzeciw pędzili jeszcze szybciej.

Chwilami zakrywały ich przed oczyma skręty drogi lub maluśkie pagórki i skały, rozsiane po nizinie, lecz wnet znowu ukazywali się oczom, jako wąż o skórze grającej barwami, przepysznej. Nakoniec dotarli o ćwierć stai od wzgórza i zwolnili pędu. Oko mogło ich już doskonale objąć i nacieszyć się nimi. Szła więc najprzód chorągiew husarska, pana marszałka własna, bardzo okryta i tak wspaniała, że każdy król mógłby się podobnem wojskiem poszczycić. Służyła w tej chorągwi sama szlachta górska: ludzie dobrani, chłop w chłopa, pancerze na nich z jasnej blachy, mosiądzem nabijane, ryngrafy z Najświętszą Panną Częstochowską, hełmy krągłe z żelaznemi nausznikami, grzebieniaste na wierzchu, u ramion skrzydła sępie i orle, na plecach skóry tygrysie i lamparcie, u starszyzny wilcze, wedle obyczaju.

Las z zielonych z czarnem proporczyków chwiał się nad nimi; przodem jechał porucznik Wiktor, za nim kapela

janczarska z dzwonkami, litaurami, kotłami i piszczałkami, dalej ściana piersi końskich i ludzkich w żelazo zakutych.

Rozpływało się na ten widok wspaniały serce królewskie. Wraz za husarją następował znak lekki, jeszcze liczniejszy, z gołemi szablami w ręku i łukami na plecach; potem trzy sotnie semenów, barwnych jak mak kwitnący, zbrojnych w spisy i samopały; potem dwieście dragonji w czerwonych koletach; potem poczty panów różnych, już w Lubowli bawiących, czeladź strojna jak na wesele, trabanci, hajducy, pujucy, Węgrzynkowie i janczarowie, do służby przy osobach pańskich przeznaczeni.

A mieniło się to jak tęcza, a najeżdżało gwarnie i szumno, wśród rżenia koni, chrzęstu zbroi, huku kotłów, warczenia bębnów, dźwiękania litaurów i krzyków tak gromkich, iż zdawało się, że śnieg od nich z gór opadnie. Wkońcu za wojskami widać było karety i kolasy, w których widocznie jechali świeccy i duchowni dygnitarze.

Następnie wojska ustawiły się w dwa szeregi wzdłuż drogi, a zaś w środku ukazał się na biaym jak mleko koniu sam pan marszałek koronny, Jerzy Lubomirski. Leciał on jak wicher ową ulicą, a za nim dwóch masztalerzy, kapiących od złota. Dojechawszy do wzgórza, zeskoczył z konia i rzuciwszy lejce jednemu z masztalerzów, sam szedł piechotą na wzgórze, ku stojącemu tam królowi.

Czapkę zdjął i zasadziwszy ją na rękojeść szabli, szedł z gołą głową podpierając się obuszkiem, całym perłami krytym. Ubrany był po polsku, w stroju wojennym; na piersiach miał pancerz ze złotej blachy, gęsto po brzegach kamieniami wysadzany, a polerowany tak, iż zdawało się, że słońce na piersiach niesie; przez lewe ramię zwieszała mu się delja barwy ciemnej, przechodzącej w fiolet purpury z weneckiego aksamitu. Trzymał ją pod szyją sznur zaczepiony o agrafy brylantowe, któremi cała delja była naszyta; również brylantowe trzęsienie chwiało mu się u czapki, a one klejnoty migotały jako skry różnokolorowe naokół całej jego postaci i oczy ćmił, takie od niego biły blaski.

Był to mąż w sile wieku, postawy wspaniałej. Głowę miał podgoloną, czuprynę dość rzadką, siwiejącą, w kosmy na czole ułożoną, wąs czarny jak skrzydło kruka, w cienkich końcach po obu stronach ust opadający. Wyniosłe czoło i rzymski nos dodawały piękności jego obliczu, lecz szpeciły je cokolwiek zbyt wypukłe policzki i oczy małe, czerwoną obwódką okolone. Wielka powaga, ale przytem niesłychana pycha i próżność malowały się w tej twarzy. Zgadłeś łatwo, że ów magnat chciał wiecznie zwracać na się oczy całego kraju, ba! całej Europy. Jakoż tak i było w istocie.

Gdzie tylko Jerzy Lubomirski nie zdołał zająć najwybitniejszego miejsca, gdzie mógł tylko dzielić się z innymi sławą i zasługą, tam rozdrażniona jego duma gotowa była położyć się wpoprzek i popsuć, złamać wszelkie zabiegi, choćby o zbawienie ojczyzny chodziło.

Był to wódz szczęśliwy i biegły, ale i pod tym względem przewyższali go inni niezmiernie, a wogóle zdolności jego, lubo niepospolite, nie szły w parze z ambicją i chęcią znaczenia. Stąd wieczny niepokój wrzał w jego duszy, stąd wyrodziła się podejrzliwość, zazdrość, które później doprowadziły go do tego, że dla Rzeczypospolitej stał się nawet od strasznego Janusza Radziwiłła zgubniejszym. Czarny duch, który mieszkał w Januszu, był zarazem i wielki, nie cofał się przed nikim i przed niczem; Janusz pragnął korony i świadomie szedł do niej przez groby i ruinę ojczyzny. Lubomirski byłby ją przyjął, gdyby ręce szlacheckie włożyły mu ją na głowę, ale mniejszą duszę mając, jasno i wyraźnie jej pożądać nie śmiał. Radziwiłł był jednym z takich mężów, których niepowodzenie do rzędu zbrodniarzy strąca, powodzenie do rzędu półbogów wynosi; Lubomirski był to wielki warchoł, który prace dla zbawienia ojczyzny, w imię swej podrażnionej pychy, popsuć był zawsze gotów, nic wzamian zbudować, nawet siebie wynieść nie śmiał, nie umiał; Radziwiłł zmarł winniejszym, Lubomirski szkodliwszym.

Lecz wówczas, gdy w złocie, aksamitach i klejnotach szedł przeciw królowi, duma jego nasyconą była dostatecznie.

On to przecie pierwszy z magnatów przyjmował swego króla na swojej ziemi; on go pierwszy brał niejako w opiekę, on go na tron zburzony miał prowadzić, on nieprzyjaciela wyżenąć, od niego król i kraj wszystkiego oczekiwali, na niego wszystkie oczy były zwrócone. Więc gdy zgadzało się z jego miłością własną, a nawet pochlebiało jej, wierność i służby okazywać, gotów był istotnie na ofiary i poświęcenia, gotów był nawet miarę w objawach czci i wierności przebrać. Jakoż doszedłszy do wpół wzgórza, na którem stał król, zerwał czapkę z rękojeści i począł kłaniając się, śnieg jej brylantowem trzęsieniem zamiatać.

Król ruszył koniem nieco ku dołowi, następnie zatrzymał go, aby zsiąść dla powitania. Widząc to pan marszałek, skoczył, strzemienia swemi dostojnemi rękoma potrzymać i w tej chwili szarpnąwszy za delję, zerwał ją z pleców i za przykładem angielskiego dworaka, rzucił pod nogi królewskie.

Rozrzewniony król otworzył mu ramiona i chwycił go jak brata w objęcia.

Przez chwilę nic obaj nie mogli przemówić, lecz na ten wspaniały widok zawrzało jednym głosem wojsko, szlachta, lud i tysiące czapek wyleciało w powietrze, huknęły wszystkie muszkiety, samopały i piszczele, działa z Lubowli ozwały się dalekim basem, aż zatrzęsły się góry, zbudziły wszystkie echa i poczęły biegać wokół, obijać się o ciemne ściany borów, o skały i urwiska i lecieć z wieścią do dalszych gór, dalszych skał...

— Panie marszałku. — rzekł król, — tobie restaurację królestwa będziem zawdzięczać!

— Miłościwy panie! — odpowiedział Lubomirski — fortunę moją, życie, krew, wszystko składam u nóg waszej kr. mości!

— Vivat! Vivat Joannes Casimirus rex!... — grzmiały okrzyki.

— Niech żyje król, ojciec nasz! — wołali górale.

Tymczasem panowie, jadący z królem, otoczyli mar-

szałka, lecz on nie odstępował osoby pańskiej. Po pierwszych powitaniach król znowu siadł na koń, a pan marszałek, nie chcąc znać granic w gościnności i czci dla majestatu, chwycił za lejce i sam idąc pieszo, prowadził króla wśród szeregu wojsk i głuszących okrzyków, aż do pozłocistej, zaprzężonej w ośm tarantów karety, do której majestat pański siadł wraz z nuncjuszem papieskim Widonem.

Biskupi i dygnitarze pomieścili się w następnych, poczem ruszono zwolna ku Lubowli. Pan marszałek jechał przy oknie królewskiej karety, pyszny i rad z siebie, jakby go już ojcem ojczyzny okrzyknięto.

Po dwóch bokach szły gęsto wojska, śpiewając pieśń brzmiącą w następnych słowach:

Sieczże Szwedów, siecz,
Wyostrzywszy miecz.

Bijże Szwedów, bij,
Wziąwszy tęgi kij.

Walże Szwedów, wal,
Wbijaj ich na pal.

Męczże Szwedów, męcz,
I jak możesz, dręcz.

Łupże Szwedów łup,
I ze skóry złup.

Tnijże Szwedów, tnij,
To ich będzie mniej.

Topże Szwedów, top,
Jeśliś dobry chłop *).

Niestety, wśród powszechnej radości i uniesienia, nie przewidywał nikt, że później, tę samą pieśń, zmieniwszy

*) Pieśń tę p. t. „Przydumek panom Francuzom“ śpiewano pod Mątwami.

Szwedów na Francuzów, będą śpiewały też same wojska Lubomirskiego. zbuntowane przeciw swemu prawowitemu królowi i panu.

Ale teraz było jeszcze do tego daleko. W Lubowli huczały działa na powitanie. aż wieże i blanki pokryły się dymem, dzwony biły jakby na pożar. Dziedziniec, na którym wysiadł król, krużganek i schody zamkowe wysłane były suknem czerwonem. W wazach z Włoch sprowadzonych paliły się wschodnie aromaty. Większą część skarbów Lubomirskich. kredensów złotych i srebrnych, makat, kobierców, gobelinów misternie flamandzkiemi rękoma tkanych, statui, zegarów, szaf klejnotami zdobnych, biur perłową macicą i bursztynem wykładanych, sprowadzono już wcześniej do Lubowli. aby je uchronić przed drapieżnością szwedzką; teraz zaś wszystko to było rozstawione, rozwieszone, ćmiło oczy i zmieniało ów zamek w jakąś czarodziejską rezydencję. I pan marszałek umyślnie roztoczył taki, sułtana godny przepych, aby okazać królowi, że chociaż wraca jako wygnaniec, bez pieniędzy, bez wojska nie posiadając prawie szat do zmiany, przecie jest panem potężnym, mając sług tak potężnych i równie wiernych. Zrozumiał ową intencję król i serce wezbrało mu wdzięcznością, co chwila więc brał marszałka w ramiona, ściskał go za głowę, a dziękował. Nuncjusz, lubo przepychów zwyczajny, zdumiewał się głośno nad tem, co widział i słyszano go, jak mówił do hrabiego Apotyngen. że dotąd nie miał pojęcia o potędze króla polskiego i że widzi, iż poprzednie klęski były tylko chwilową odmianą fortuny, która wprędce zmienić się musi.

Do uczty, która po wypoczynku nastąpiła, król zasiadł na wywyższeniu, a pan marszałek sam mu usługiwał, nie pozwalając nikomu się zastąpić. Po prawicy króla wziął miejsce nuncjusz Widon, po lewicy książę prymas Leszczyński, dalej po obu stronach dygnitarze duchowni i świeccy, jako ksiądz biskup krakowski, poznański, ksiądz arcybiskup lwowski. dalej łucki, przemyski, chełmiński, ksiądz archidiakon krakowski, dalej pieczętarze koronni i wojewodowie,

których ośmiu się zebrało i kasztelani i referendarze, a z oficerów zasiadł do uczty pan Woyniłłowicz, pan Wiktor, pan Stabkowski i pan Baldwin Szurski, lekkiego znaku imienia Lubomirskich przywódca.

W drugiej sali stół był zastawiony dla szlachty pomniejszej, a obszerny cekhauz dla ludu prostego, wszyscy bowiem mieli się w dzień przybycia pańskiego weselić.

A przy wszystkich stołach nie było o niczem innem rozmowy, tylko o powrocie króla, o strasznych przygodach, które w drodze zaszły i w których ręka Boża króla broniła. Sam Jan Kazimierz począł mówić o bitwie w wąwozie i wysławiać owego kawalera, który pierwszy impet szwedzki powstrzymał.

— A jakże mu tam? — pytał pana marszałka.

— Medyk go nie odstępuje i za żywot jego ręczy, a przytem i panny z fraucymeru wzięły go w opiekę i pewnie duszy jego wyjść z ciała nie pozwolą, bo ciało młode, gładkie! — odpowiedział wesoło marszałek.

— Chwała Bogu! — zawołał król. — Słyszałem ja z ust jego coś, czego waszmościom nie powtórzę, bo mi się samemu zdaje, żem się przesłyszał, albo że on w delirium tak mówił, ale jeśli się to pokaże, dopiero waszmościowie będziecie się zdumiewać.

— Byle nic takiego nie było, — rzekł, — coby waszą kr. mość zasępić mogło?

— Zgoła nic takiego! — rzekł król — owszem ucieszyło nas to niepomiernie, bo się okazuje, że ci nawet, których za największych nieprzyjaciół mieliśmy rację uważać, krew w przygodzie za nas przelać gotowi.

— Miłościwy panie! — zakrzyknął pan marszałek — czas poprawy nadszedł, ale pod tym dachem wasza kr. mość między takimi się znajduje, którzy nigdy nawet i myślą przeciw jej majestatowi nie zgrzeszyli.

— Prawda, prawda! — odpowiedział król — a wy, panie marszałku, w pierwszym rzędzie!

— Sługam lichy waszej kr. mości!

Przy stole zwolna począł powstawać gwar coraz większy. Nastąpiły rozmowy o konjunkturach politycznych, o spodziewanej dotąd napróżno pomocy cesarza niemieckiego, o posiłkach tatarskich i przyszłej wojnie ze Szwedami. Nowa nastąpiła radość, gdy pan marszałek oświadczył, iż wysłany przez niego umyślnie poseł do chana, powrócił właśnie przed paroma dniami i sprawdził, że czterdzieści tysięcy ordy stoi w gotowości, a może być i sto, jak tylko król zjedzie do Lwowa i układ z chanem zawrze. Tenże sam poseł doniósł. że i kozactwo pod grozą Tatarów nawróciło się do posłuszeństwa.

— O wszystkiem myśleliście, panie marszałku, — rzekł król, — tak, jak i my sami lepiejbyśmy nie myśleli!

Wtem porwał za kielich i zawołał:

— Zdrowie pana marszałka koronnego. naszego gospodarza i przyjaciela!

— Nie może być, miłościwy panie! — krzyknął marszałek — niczyje tu zdrowie nie może być pierwej pite od zdrowia waszej kr. mości!

Wszyscy powstrzymali do pół już wzniesione puhary, zaś Lubomirski rozradowany, spotniały, skinął na swego własnego marszałka-kredencerza.

Na ten znak skoczyła służba, rojąca się po sali i poczęła rozlewać na nowo małmazję, czerpaną złoconemi konwiami ze szczero-srebrnej beczki. Ochota zaraz uczyniła się jeszcze większa i wszyscy czekali tylko na toast pana marszałka.

Mistrz-kredencerz przyniósł tymczasem dwa puhary z weneckiego kryształu, roboty tak cudnej, że za ósmy cud świata mogły uchodzić. Kryształ ich drążony i polerowany do cienka może przez lata całe, rzucał iście diamentowe blaski; nad oprawą pracowali mistrze włoscy. Podstawy były ze złota, rzeźbionego w drobne figurki, przedstawiające wjazd zwycięskiego wodza na Kapitol. Jechał więc wódz w rydwanie złocistym, po drodze moszczonej perełkami. Za nim szli jeńcy ze skrępowanemi rękoma; król jakiś w zawoju

z jednego szmaragda uczynionym, dalej ciągnęli legjoniści ze znakami i orłami. Przeszło pięćdziesiąt figurek mieściło się na każdej podstawie, drobniutkich, wzrostem na orzech laskowy, ale wyrobionych tak cudnie, że rysy twarzy i uczucia każdej mogłeś odgadnąć, dumę zwycięzców i pognębienie zwyciężonych. Łączyły podstawę z kielichem filigrany złote, jako włosy cienkie, powyginane dziwnym kunsztem w liście winne, grona i rozmaite kwiaty. Owe filigrany wiły się naokoło kryształu, łącząc się wgórze w jedno koło, rąbek puharu stanowiące, kamieniami o siedmiu kolorach sadzone.

Podał więc mistrz-kredencerz jeden taki puhar królowi, drugi panu marszałkowi, oba napełnione małmazją. Wówczas powstali wszyscy ze swych miejsc a pan marszałek wzniósł puhar i krzyknął, ile mu głosu w piersiach starczyło:

— Vivat Joannes Casimirus rex!

— Vivat! vivat! vivat!

W tej chwili znów huknęły działa, aż ściany zamkowe się zatrzęsły. Szlachta ucztująca w drugiej sali wpadła z kielichami; chciał pan marszałek perorować, nie było sposobu, bo słowa ginęły w ustawicznym krzyku: — Vivat! vivat! vivat!

Marszałka taka opanowała radość, takie uniesienie, że aż dzikość błysnęła mu w oczach i wychyliwszy swój kielich, krzyknął tak, że nawet wśród powszechnego rozgardjaszu było go słychać:

— Ego ultimus!...

To rzekłszy, palnął się owym bez ceny kielichem w głowę, aż kryształ rozprysnął się w setne okruchy, które z dźwiękiem upadły na podłogę, a skronie magnata krwią się oblały.

Zdumieli się wszyscy, król zaś rzekł:

— Panie marszałku, szkoda nam nie kielicha, ale głowy... Siła nam na niej zależy!

— Za nic mi skarby i klejnoty! — zawołał marszałek — gdy mam honor waszą kr. mość w domu moim przyjmować. Vivat Joannes Casimirus rex!

Tu kredencerz podał mu drugi kielich.

— Vivat! vivat! vivat! — brzmiało ciągle i bezustanku. Dźwięk rozbijanego szkła mieszał się z okrzykami. Tylko biskupi nie poszli śladem marszałka, bo powaga duchowna broniła.

Lecz nuncjusz papieski, nieświadom owego zwyczaju tłuczenia szkła o głowy, pochylił się do siedzącego obok księdza biskupa poznańskiego i rzekł:

— Dlaboga! zdumienie mnie ogarnia... Toż w skarbie waszym pustki a za taki jeden kielich możnaby dwa słuszne regimenty wojska wystawić i utrzymać!

— Tak u nas zawsze, — odrzekł, kiwając głową ksiądz biskup poznański, — kiedy ochota w sercach wzbierze, to i miary w niczem niemasz.

Jakoż ochota coraz była większa. Przy końcu uczty jaskrawa łuna uderzyła w okna zamku.

— Co to jest? — spytał król.

— Miłościwy panie! Proszę na widowisko! — rzekł marszałek.

I chwiejąc się nieco, prowadził pana do okna. Tam cudny widok uderzył ich oczy. Dziedziniec oświecony był jak w dzień. Kilkadziesiąt beczek ze smołą rzucało jasnożółte blaski na bruk, wyprzątnięty ze śniegu i wysypany igłami świerków górskich. Gdzie niegdzie paliły się i kufy okowity, rzucające światło błękitne; do niektórych sól wsypywano, by świeciły czerwono.

Rozpoczęło się widowisko: najprzód ścinali rycerze głowy tureckie, gonili do pierścienia i ze sobą na ostre; potem psy liptowskie zażerały niedźwiedzia; potem góral jeden, rodzaj górskiego Samsona, rzucał kamieniem młyńskim i takowy w powietrzu chwytał. Północ położyła koniec tym zabawom.

Tak wystąpił pan marszałek koronny, chociaż Szwedzi byli jeszcze w kraju.

ROZDZIAŁ VII.

Wśród uczt i wśród natłoku zjeżdżających się coraz nowych dygnitarzy, szlachty i rycerstwa, nie zapomniał jednak dobry król o swym wiernym słudze, który w wąwozie górskim tak śmiele na miecze szwedzkie pierś nadstawił i na drugi dzień po przybyciu do Lubowli odwiedził rannego pana Andrzeja. Zastał go przytomnym i niemal wesołym, choć bladym, jak śmierć, gdyż szczęśliwym trafem młody junak żadnej ciężkiej rany nie otrzymał i tylko krwi z niego dużo uszło.

Na widok pana podniósł się nawet Kmicic na łożu i usiadł, a choć król począł nalegać, by się położył znowu, przecie nie chciał tego uczynić.

— Miłościwy panie, — rzekł, — za parę dni już i na koń siędę i z waszą królewską mością, za łaskawem pozwoleniem, dalej pojadę, gdyż sam to czuję, że mi nic nie jest.

— Musieli cię przecie okrutnie poszczerbić... Jakoż to niesłychana rzecz, ażeby jeden na tylu uderzał.

— Nieraz mi się już to trafiało, bo tak mniemam, że w złym razie szabla i rezolucja to grunt... Ej, miłościwy panie! jużby tych szczerb, które na mojej skórze przyschły i na wołowej nie zliczyć. Takie moje szczęście!

— Na szczęście nie narzekaj, bo widać leziesz naoślep tam, gdzie nietylko szczerby, ale i śmierć rozdają. Od jakże to dawna wojenny proceder praktykujesz? Gdzieś się przedtem popisywał?

Przelotny rumieniec zabarwił bladą twarz pana Kmicica.

— Miłościwy panie! Jam to przecie Chowańskiego podchodził, gdy wszyscy już ręce opuścili i cena na moją głowę była naznaczona.

— Słuchaj-no, — rzekł nagle król, — powiedziałeś mi dziwne słowo w owym wąwozie, alem myślał, że cię delirium chwyciło i rozum ci się pomieszał. Teraz znów mówisz, żeś to ty Chowańskiego podchodził. Ktoś ty jest? Zaliś ty na-

prawdę nie Babinicz? Wiadomo nam kto Chowańskiego podchodził!

Nastała chwila milczenia; wreszcie młody rycerz podniósł wynędzniałą twarz i rzekł:

— Tak jest, miłościwy panie!... Nie delirium przeze mnie mówi, jeno prawda; jam to Chowańskiego szarpał, od której wojny imię moje w całej Rzeczypospolitej zasłynęło... Jam jest Andrzej Kmicic, chorąży orszański...

Tu pan Kmicic przymknął oczy i bladł coraz więcej, lecz gdy król milczał zdumiony, tak dalej mówić począł:

— Jam, miłościwy panie, ów banit, przez Boga i ludzkie sądy potępion za zabójstwa i swawolę, jam to Radziwiłłowi służył i wraz z nim ciebie, miłościwy panie i ojczyznę zdradził, a teraz rapierami skłuty, końskiemi kopytami stratowan, podnieść się niemocen, biję się w piersi, powtarzam: „Mea culpa! mea culpa!“ i miłosierdzia twego ojcowskiego błagam... Przebacz mi, panie, bom sam własne dawne uczynki przeklął i z tej piekielnej drogi dawno nawrócił.

I łzy puściły się z oczu rycerza, a drżącemi rękoma począł szukać dłoni królewskiej. Jan Kazimierz zaś dłoni wprawdzie nie cofnął, lecz sposępniał i rzekł:

— Kto w tym kraju koronę nosi, niewyczerpaną winien mieć przebaczenia gotowość, przeto i tobie, zwłaszcza, żeś w Jasnej Górze i nam w drodze wiernie służył, a piersi nadstawiał, gotowiśmy winy odpuścić...

— Więc odpuść, miłościwy panie!... Skróć moją mękę!

— Jednego tylko nie możem ci zapomnieć, żeś wbrew cnocie tego narodu, podniesieniem ręki na majestat dotąd nieskalanej, ofiarował się księciu Bogusławowi porwać nas i żywych lub umarłych w szwedzkie ręce wydać!

Kmicic, choć przed chwilą sam mówił, że podnieść się niemocen, zerwał się z łoża, chwycił wiszący nad niem krucyfiks i z wypiekami na twarzy, z oczyma płonącemi gorączką, dysząc szybko, tak mówić począł:

— Na zbawienie duszy rodzica mego i mojej matki, na te rany Ukrzyżowanego, to nieprawda!... Jeśli do tego

grzechu się poczuwam, niech Bóg mnie zaraz nagłą śmiercią i wiecznym ogniem ukarze. Panie mój, jeśli mi nie wierzysz, to zedrę owe bandaże, niech się krew moja wyleje, której reszty Szwedzi nie wypuścili. Nigdym się nie ofiarował. Nigdy taka myśl w głowie mojej nie postała... Za królestwa świata tego nie byłbym nigdy podobnego uczynku się dopuścił... Amen! na tym krzyżu, amen, amen!

I cały począł się trząść z uniesienia i gorączki.

— Więc książę zmyślił? — zapytał zdumiony król — dlaczego? poco?

— Tak, miłościwy panie, zmyślił... To jego pomsta piekielna na mnie za to, com mu uczynił.

— Cóżeś mu uczynił?

— Porwałem go z pośród jego dworu, z pośród wszystkiego wojska i chciałem związanego do nóg waszej kr. mości rzucić.

Król przeciągnął dłonią po czole.

— Dziw, dziw! — rzekł — wierzę ci, ale nie pojmuję. Jakżeto? Januszowi służyłeś, a Bogusława porywałeś, któren mniej zawinił i chciałeś go związanego do mnie przywozić?...

Kmicic chciał odpowiedzieć, lecz król spostrzegł w tej chwili bladość jego i zmęczenie, więc rzekł:

— Odpocznij, a później mów wszystko od początku. Wierzym ci, oto nasza ręka!

Kmicic przycisnął ją do ust i przez jakiś czas milczał, bo mu tchu brakło, patrzył tylko w oblicze pana z niezmierną miłością, lecz wreszcie zebrał siły i tak mówić począł:

— Opowiem wszystko od początku. Wojowałem z Chowańskim, ale i swoim byłem ciężki. W części musiałem ludzi krzywdzić i co mi było potrzeba brać, w części czyniłem to ze swawoli, bo się krew burzyła we mnie... Kompanjonów miałem, godną szlachtę, ale nie lepszych ode mnie... Tu i owdzie kogoś się usiekło, tu i owdzie z dymem puściło... tu i owdzie batożkami po śniegu pognało... Wszczęły się

hałasy. Gdzie jeszcze nieprzyjaciel nie dosięgnął, tam do sądów się udawano. Przegrywałem zaocznie. Wyroki zapadały jeden po drugim, alem sobie z tego nic nie robił, jeszcze diabeł mi pochlebiał i szeptał, żeby pana Łaszcza przewyższyć, któren wyrokami ferezję sobie podbić kazał, a przecie sławion był i dotąd imię jego sławne.

— Bo pokutował i umarł pobożnie — zauważył król.

Kmicic spocząwszy nieco, tak dalej mówił:

— Tymczasem pan pułkownik Billewicz — wielki to ród na Żmudzi ci Billewicze — wyzuł znikomą postawę i na lepszy świat się przeniósł, a mnie wioskę i córkę zapisał. Nie dbam o wioskę, bo w ustawicznych podchodach pod nieprzyjaciela niemało się złupiło i nietylko, żem zagarniętą przez inkursję nieprzyjacielską fortunę restaurował, alem jej i przysporzył. Mam jeszcze w Częstochowie z tego tyle, że i dwie takie wioski mógłbym kupić i nikogo o chleb nie potrzebuję prosić... Gdy jednak partja mi się sterała, pojechałem na zimowe leże w laudańską stronę. Tam dziewka nieboga tak mi do serca przywarła, żem o świecie bożym zapomniał. Cnota i uczciwość jest w tej pannie taka, że mi wstyd było wobec niej dawniejszych uczynków. Ona też do grzechu wrodzoną abominację mając, poczęła nastawać, abym dawny żywot porzucił, hałasy uciszył, krzywdy nagrodził i poczciwie żyć począł...

— I poszedłeś za jej radą?

— Gdzie tam, miłościwy panie! Chciałem, coprawda, Bóg widzi, chciałem... Ale stare grzechy człowieka ścigają. Najprzód mi w Upicie żołnierzy poszarpano, za com miasto z dymem puścił...

— Na Boga! Toż to kryminał! — rzekł król.

— Nic to jeszcze, miłościwy panie! Potem mi kompanjonów, godnych kawalerów, chociaż swawolników, laudańska szlachta wysiekła. Nie mogłem nie pomścić, więcem tej samej nocy zaścianek Butrymów napadł i ogniem i mieczem zabójstwo ukarałem... Ale mnie pobito, bo ich tam kupa szaraków siedzi. Musiałem się kryć. Dziewka już i pa-

trzeć na mnie nie chciała, bo owi szaraczkowie byli jej ojcami i opiekunami, testamentem postanowionymi. A mnie serce tak do niej ciągnęło, że choć ty łbem tłucz! Nie mogąc bez niej żyć, zebrałem nową partję i zbrojną ręką ją wziąłem.

— Bogdaj cię!... I Tatar inaczej w zaloty nie chodzi!

— Hultajska to była sprawa, przyznaję. To też mnie Bóg przez ręce pana Wołodyjowskiego pokarał, który zebrawszy ową szlachtę, dziewkę mi wydarł, a samego usiekł, tak, że ledwiem tam duszy nie wypuścił. Stokroćby to lepiej było dla mnie, bo nie byłbym się z Radziwiłłem sprzągł ku zgubie majestatu i ojczyzny. Ale jak mogło być inaczej? Wszczął się nowy proces... Kryminał, gardłowa sprawa. Sam już nie wiedziałem co czynić, gdy nagle wojewoda wileński przyszedł mi z pomocą.

— On cię osłonił?

— On mi list zapowiedni przez tegoż pana Wołodyjowskiego przysłał, a przez to pod inkwizycję hetmańską poszedłem i sądów mogłem się nie bać. Chwyciłem się tedy wojewody, jako deski zbawienia. Wnet postawiłem na nogi chorągiew z samych zabijaków, na całą Litwę znanych. Lepszej we wszystkiem wojsku nie było... Poprowadziłem ją do Kiejdan. Tam Radziwiłł jak syna mnie przyjął, pokrewieństwo przez Kiszków przypomniał i osłonić obiecał. Miał już swoje widoki... Trzeba mu było rezolutów na wszystko gotowych, a ja, prostak, jako na lep lazłem. Nim jego zamysły wyszły nawierzch, kazał mi na krucyfiksie poprzysiąc, że go nie opuszczę w żadnym terminie. Myśląc, że o wojnę ze Szwedami, albo z septentrionami chodzi, przysiągłem chętnie. Aż nastała owa uczta straszna, na której ugodę kiejdańską podpisano. Zdrada okazała się jawnie. Inni pułkownicy buławy hetmanowi pod nogi ciskali, a mnie przysięga, jako psa łańcuch, trzymała i nie mogłem go odstąpić...

— Alboż nie przysięgli na wierność nam ci wszyscy, którzy nas potem odstąpili?... — rzekł ze smutkiem król.

— Ja też, choć buławy nie rzuciłem, nie chciałem w zdradzie rąk maczać. Com wycierpiał, miłościwy panie, Bóg jeden wie. Wiłem się z boleści, jakby mnie żywym ogniem spalono, bo i dziewka moja, chociaż już po owym rapcie traktat między nami stanął, teraz mnie zdrajcą okrzyknęła, jako plugawym gadem pogardziła... A jam przysiągł, jam przysiągł nie opuszczać Radziwiłła... O! ona, miłościwy panie, choć niewiasta, rozumem męża zawstydzi, a w wierności dla waszej kr. mości nikomu nie da się wyprzedzić!

— Boże jej błogosław! — rzekł król. — Za to ją kocham!

— Ona myślała, że mnie na partyzanta majestatu i ojczyzny przerobi, a gdy nanic poszła ta robota, wtedy tak się na mnie zawzięła, że ile było dawniej afektu, tyle nienawiści powstało. Tymczasem Radziwiłł zawołał mnie przed siebie i jął przekonywać. Wyłuszczył mi jako dwa a dwa cztery, że dobrze uczynił, że w ten tylko sposób mógł ojczyznę upadającą ratować. Nawet i nie potrafię powtórzyć jego racyj, tak były wielkie, taką szczęśliwość ojczyźnie obiecywały! Stokroć mędrszego byłby przekonał, a cóż dopiero mnie, prostaka, żołnierza, on, taki statysta! To mówię waszej królewskiej mości, żem się go chwycił obu rękoma i sercem, bom myślał, że wszyscy ślepi, tylko on jeden prawdę widzi, wszyscy grzeszni, jeno on jeden zacny. I byłbym za niego w ogień skoczył, jako teraz za waszą królewską mość, bo ni przez pół służyć, ni przez pół miłować nie umiem...

— Widzę, że to tak jest! — zauważył Jan Kazimierz.

— Posługi oddałem mu znaczne, — mówił ponuro Kmicic — i to mogę rzec, że gdyby nie ja, toby i owa zdrada żadnych fruktów jadowitych wydać nie mogła, bo jego własne wojsko na szablachby go rozniosło. Już się do tego miało. Już szli dragoni i węgierskie piechoty i lekkie znaki, już jego Szkotów na szable brali, gdym ja skoczył z mymi ludźmi i starłem ich w mgnieniu oka. Ale zostały inne chorągwie na konsystencjach stojące. I te znosiłem. Jeden pan Wołodyjowski z więzienia się wydobył i swoich laudańskich

ludzi na Podlasie cudem i nadludzką rezolucją wywiódł, aby się z panem Sapiehą połączyć. Niedobitkowie zebrali się tam w znacznej liczbie, ale co przedtem dobrych żołnierzów zginęło za moją przyczyną — Bóg jeden zliczy. Jako na spowiedzi prawdę wyznaję... Pan Wołodyjowski w przejściu na Podlasie samego mnie pochwycił i żywić nie chciał. Ledwiem z jego rąk wyszedł, za przyczyną listów, które przy mnie znaleźli, a z których okazało się, że gdy jeszcze był w więzieniu i gdy książę chciał go rozstrzelać, tom ja za nim instancję natarczywie wnosił. Puścił mnie tedy wolno, ja zaś wróciłem do Radziwiłła i służyłem dalej. Ale już mi gorzko było, już się dusza we mnie na niektóre uczynki księcia wzdrygała, bo niemasz w nim ani wiary, ani uczciwości, ani sumienia, a ze słowa własnego tyle sobie robi, ile król szwedzki. Począłem mu tedy skakać do oczu. On też burzył się przeciw mej zuchwałości. Nakoniec mnie z listami wyprawił...

— Dziw, jak ważne rzeczy mówisz — rzekł król. — Przynajmniej raz wiemy od naocznego świadka, który *pars magna fuit*, jak się to tam odbyło...

— Prawda, że *pars magna fui* — odpowiedział Kmicic. — Ruszyłem z listami ochotnie, bom już nie mógł na miejscu usiedzieć. W Pilwiszkach napotkałem księcia Bogusława. Bodaj go Bóg wydał w moje ręce, do czego wszystkich sił przyłożę, aby go za oną potwarz pomsta moja nie minęła! Nietylko, żem mu się z niczem nie ofiarował, miłościwy panie, nietylko to jest łgarstwo bezecne, alem się właśnie tam nawrócił, nagą całą bezecność tych heretyków ujrzawszy.

— Powiadaj żywo, jak to było, bo nam tu przedstawiano, jakoby książę Bogusław z musu jeno bratu sekundował.

— On, miłościwy panie? On gorszy od Janusza, a w czyjej się głowie najprzód zdrada wylęgła? Czy nie on pierwszy księcia hetmana skusił, koronę mu ukazując? Bóg to na sądzie rozstrzygnie. Tamten przynajmniej symulował i *bono publico* się zasłaniał, Bogusław zaś, wziąwszy

mnie za arcyszelmę, całą duszę mi odkrył. Strach powtarzać, co mi rzekł... „Rzeczpospolitą waszą (powiada) djabli muszą wziąć, ale to postaw czerwonego sukna, my zaś nietylko do ratunku ręki nie przyłożym, lecz jeszcze ciągnąć będziem, by nam się najwięcej w garści zostało... Litwa nam (powiada) musi zostać, a po bracie Januszu ja czapkę wielkoksiążęcą wdzieję, z jego się córką ożeniwszy.“

Król zasłonił sobie oczy.

— Męko Pana naszego! — rzekł. — Radziwiłłowie, Radziejowski, Opaliński... Jakże się nie miało stać, co się stało... Korony im było trzeba, choćby rozerwać to, co Bóg złączył...

— Zdrętwiałem i ja, miłościwy panie! Wodęm na łeb lał, by nie oszaleć. Ale się dusza zmieniła we mnie w jednej chwili, jakoby w nią piorun trzasł... Sam się roboty własnej przeląkłem. Nie wiedziałem co czynić... Czy Bogusława, czy siebie nożem pchnąć?... Ryczałem jak dziki zwierz, bo w taką matnię mnie zapędzono!... Już nie służby dalszej u Radziwiłłów, lecz pomsty pragnąłem... Bóg nagle dał mi myśl: poszedłem z kilku ludźmi do kwatery księcia Bogusława, wywiodłem go za miasto, porwałem za łeb i do konfederatów chciałem wieźć, by się do nich i do służby waszej kr. mości wkupić za cenę jego głowy.

— Wszystko ci przebaczam! — krzyknął król — bo cię obłąkali, aleś im wypłacił! Jeden Kmicic mógł się na to zdobyć, nikt więcej. Wszystko ci za to przebaczam i z serca odpuszczam, jeno powiadaj żywo, bo mnie ciekawość pali: wyrwał się?...

— Przy pierwszej stacji wyrwał mi krócicę z za pasa... i w gębę strzelił... Ot! ta blizna... Ludzi moich pobił sam jeden i uszedł... Rycerz to znamienity... trudno przeczyć; ale się spotkamy jeszcze, choćby to miała być ostatnia moja godzina!...

Tu Kmicic jął szarpać kołdrę, którą był okryty, lecz król przerwał prędko:

— I przez zemstę wymyślił na ciebie ów list?

— I przez zemstę przysłał ten list. Z rany się w lesie podgoiłem, ale dusza gorzej bolała... Do Wołodyjowskiego, do konfederatów, nie mogłem już iść, bo laudańscy na szablachby mnie roznieśli... Wszelako wiedząc, że książę hetman ma przeciw nim ciągnąć, ostrzegłem ich, by się kupy trzymali. I to był pierwszy mój dobry uczynek, bo inaczej byłby ich Radziwiłł chorągiew po chorągwi wygniótł, a teraz oni jego zmogli i w oblężeniu, jak słyszę, trzymają. Niechże im Bóg pomaga, a na niego karę zeszle, amen!

— Może już się to stało, a jeśli nie, to stanie się pewnie — rzekł król. — Cóżeś dalej robił?

— Postanowiłem, nie mogąc u konfederatów waszej kr. mości służyć, do osoby jego się dostać i tam wiernością dawne winy odpokutować. Ale jakże miałem iść? Ktoby Kmicica przyjął? Ktoby mu uwierzył? ktoby go zdrajcą nie zakrzyknął? Więcem Babinicza imię przybrał i całą Rzeczpospolitą przejechawszy, do Częstochowy się dostałem. Czylim tam jakie zasługi położył, niech ksiądz Kordecki zaświadczy. Dniem i nocą myślałem tylko o tem, by szkody ojczyźnie nagrodzić, krew za nią wylać, samemu do sławy i uczciwości powrócić. Resztę już, miłościwy panie, wiesz, boś na nią patrzył. A jeśli ojcowskie dobrotliwe serce do tego cię skłania, jeśli ona nowa służba dawne grzechy przeważyła, albo choć zrównała, to przyjm mnie, panie, do łaski swej i do serca, bo mnie wszyscy odstąpili, bo nikt mnie nie pocieszy prócz ciebie... Ty, panie, jeden widzisz mój żal i moje łzy!... Jam banit, jam zdrajca, jam krzywoprzysięzca, a przecie, panie, ja miłuję tę ojczyznę i twój majestat... i Bóg widzi, że chcę służyć wam obojgu!

Tu łzy rzewne puściły się z oczu junaka i aż zanosił się z płaczu, a król, ojciec dobrotliwy, chwycił go za głowę, począł całować w czoło i pocieszać:

— Jędrek! takiś mi miły, jako syn rodzony... Com ci mówił? Żeś zgrzeszył w zaślepieniu, a iluż grzeszy z rozmysłem?... Z serca odpuszczam ci wszystko, boś już winy

zmazał. Uspokój się, Jędrek! Niejeden radby się takiemi zasługami, jako są twoje, poszczycić... Boga mi! I ja odpuszczam i ojczyzna odpuszcza, jeszcze ci dłużni będziemy! Przestań lamentować.

— Bóg niech waszej kr. mości da wszystko dobre za takową kompasję! — mówił ze łzami rycerz. — Przecie ja i tak jeszcze, miłościwy panie, muszę odpokutować na tamtym świecie za oną przysięgę Radziwiłłowi daną, bo chociażem nie wiedział, na com przysięgał, przecie przysięga przysięgą.

— Nie potępi cię Bóg za nią, — odrzekł król, — bo musiałby chyba pół Rzeczypospolitej do piekła wysłać, tych wszystkich mianowicie, którzy nam wiarę złamali.

— Myślę i ja, miłościwy królu, że do piekła nie pójdę, bo mi za to i ksiądz Kordecki zaręczał, choć nie był pewien, czy mnie i czyściec minie. Ciężka to rzecz z jakie sto lat się prażyć... No, ale niechby tam już! Siła człek zniesie, gdy mu nadzieja zbawienia świeci, a przytem i modlitwy mogą coś wskórać i mękę skrócić.

— Jeno się nie troskaj! — rzecze Jan Kazimierz. — Wyrobię ja to u samego nuncjusza, by mszę na twoją intencję odprawił... Przy takich promocjach nie stanie ci się wielka krzywda... Ufaj w miłosierdzie Boże!

Kmicic uśmiechnął się już przez łzy.

— Jeszcze też! — rzekł — da Bóg do sił wrócić, to się i z niejednego Szweda duszę wysłusknie, a przez to nietylko w niebie będzie zasługa, ale się i ziemską reputację poprawi.

— Bądź dobrej myśli i o sławę doczesną się wcale nie turbaj. Ja w tem, by cię nie ominęło, co należy. Przyjdą spokojniejsze czasy, sam będę zasługi twe promulgował, które już są niemałe, a pewno będą jeszcze większe. I na sejmie, da Bóg, ową materję każę poruszyć, a tak do czci powrócon być musisz.

— Bo to, mój miłościwy panie ojcze, niech się jeno uspokoi trochę, albo i przedtem jeszcze, sądy mnie będą szarpały, od czego mnie i powaga w. kr. mości osłonić nie

zdoła. Ale już mniejsza z tem!... Nie dam się, dopóki pary w nozdrzach, a szabli w garści... Jeno mi o tę dziewkę chodzi. Oleńka jej na imię, miłościwy panie! Oj, siła czasu się jej nie widziało! Oj, siła przecierpiało się bez niej i przez nią, a choć człek sobie czasem chce ją wybić z serca i z afektem jako z niedźwiedziem się boryka, nanic to, bo taki sen, nie puszcza!

Jak Kazimierz rozśmiał się wesoło i dobrotliwie.

— Cóż ja ci na to, nieboże, poradzę?

— Któż poradzi, jeśli nie wasza kr. mość?! Zabita to regalistka z tej dziewki i nigdy mi ona moich kiejdańskich uczynków nie daruje, chybabyś w kr. mość sam instancję wniósł za mną i dał mi świadectwo, jakom się odmienił i do służby majestatu i ojczyzny powrócił, nie przymuszon, chlebami żadnemi nie skaptowan, ale z własnej woli i skruchy.

— Jeślić o to chodzi, to i ja instancję wniosę, a jeśli ona taka regalistka, jako powiadasz, to i instancja powinna być skuteczna. Byle tylko dziewka wolna była i byle ją zła jakowa przygoda, jak to w czasie wojennym często się trafia, nie spotkała...

— Anieli ją ustrzegą!

— Bo tego i warta. Żeby cię zaś sądy nie szarpały, uczynisz tak: Będą teraz nagwałt iść zaciągi; skoro, jak mówisz, bezecność na tobie ciąży, nie mogę ci dać listu zapowiedniego jako Kmicicowi, ale dam ci list jako Babiniczowi; będziesz zaciągał i ty, co i na pożytek ojczyźnie wyjdzie boś widać żołnierz ognisty i doświadczony... Ruszysz w pole pod panem kasztelanem kijowskim; pod nim o śmierć najłatwiej, ale i o okazję do sławy najłatwiej. A zajdzie potrzeba, to i na swoją rękę zaczniesz Szwedów podchodzić, jakoś Chowańskiego podchodził. Twoje nawrócenie i dobre uczynki poczęły się od tego, żeś się Babiniczem przezwał... Zwijże się tak i dalej, to i sądy ostawią cię w spokoju. A gdy jak słońce zajaśniejesz, gdy o twoich zasługach w całej Rzeczypospolitej będzie głośno, wtedy niech się ludzie dowiedzą, kto jest ów przesławny kawaler.

Jaki taki zawstydzi się wówczas tak wielkiego rycerza przed sądy ciągać... Przez ten czas drudzy poginą, trzecich załagodzisz... Niemało i aktów się zawieruszy, a ja ci to jeszcze raz przyrzekam, że zasługi twoje pod niebo wyniosę i sejmowi do nagrody przedstawię, boś w moich oczach już wart tego.

— Miłościwy panie!... Czym ja na tyle łaski zasłużył?

— Więcej, niż niejeden, który myśli, że ma do niej prawo. No, no! nie frasujże się, miły regalisto, bo tak ufam, że i regalistka cię nie minie, a da Bóg, to mi wkrótce więcej jeszcze regalistów przysporzycie...

Kmicic, choć chory, zerwał się nagle z łoża i padł jak długi do nóg królewskich.

— Na Boga! co czynisz? — zawołał król. — Krew cię ujdzie! Jędrek! Bywaj-no tu kto!

Wpadł sam marszałek, którzy oddawna już po zamku króla szukał.

— Święty Jerzy! patronie mój, co widzę?! ... krzyknął, spostrzegłszy króla, dźwigającego własnemi rękoma Kmicica.

— To pan Babinicz, najmilszy mój żołnierz i najwierniejszy sługa, który mi wczoraj życie ocalił — rzekł król. — Pomóżcie, panie marszałku, dźwignąć mi go na łoże...

ROZDZIAŁ VIII.

Z Lubowli jechał król do Dukli, Krosna, Łańcuta i Lwowa, mając przy boku pana marszałka koronnego, wielu biskupów, dynitarzy i senatorów, wraz z nadwornemi chorągwiami i pocztami. A jako rzeka potężna, płynąc przez kraj, wszystkie pomniejsze wody w siebie zabiera, tak i do orszaku królewskiego przybywały co chwila nowe zastępy. Cisnęli się więc panowie i szlachta zbrojna i żołnierze, to pojedyńczo, to kupami i gromady zbrojnego chłopstwa, szczególną ku Szwedom pałającego zawziętością.

Już ruch stawał się powszechny, już i ład wojenny po-

częto do niego wprowadzać. Pojawiły się groźne uniwersały, datowane z Sącza: jeden Konstantego Lubomirskiego, marszałka koła rycerskiego; drugi Jana Wielopolskiego, kasztelana wojnickiego: oba wzywające szlachtę w województwie krakowskiem do pospolitego ruszenia. Wiedziano już, koło kogo się kupić; nie stawiającym się zaś groziły kary wedle pospolitego prawa. Uniwersał królewski dopełnił onych wezwań i najleniwszych postawił na nogi.

Lecz nie potrzeba było gróźb, albowiem zapał niezmierzony ogarnął wszystkie stany. Siadali na koń starcy i dzieci. Niewiasty oddawały klejnoty, stroje; niektóre same rwały się do boju.

W kuźniach Cygani przez noce i dnie całe bili młotami, przekuwając na oręż niewinne narzędzia oraczów. Wsie i miasta opustoszały, bo mężowie wyciągnęli w pole. Z niebotycznych gór sypały się dzień i noc gromady dzikiego ludu. Siły króla rosły z każdą chwilą.

Naprzeciwko jego osoby wychodzili duchowni z krzyżami i chorągwiami, kahały żydowskie z rabinami; pochód jego był do niezmiernego triumfu podobny. Zewsząd nadlatywały najlepsze wieści, jakby je wiatr przywiewał.

Nietylko w tej części kraju, której najście nieprzyjaciół nie zagarnęło, rwano się do broni. Wszędy, w najodleglejszych ziemiach i powiatach, po grodach, wsiach, osadach, niedostępnych puszczach, podnosiła płomienną głowę straszliwa wojna pomsty i odwetu. Im niżej poprzednio upadł naród tem wyżej teraz podnosił głowę, przeradzał się, ducha zmieniał i w uniesieniu nie wahał się nawet własnych, zaskorupiałych ran rozrywać, by krew swą od zatrutych soków uwolnić.

Już też i coraz głośniej mówiono o potężnym związku szlachty i wojska, na czele którego mieli stanąć: stary hetman wielki, Rewera Potocki i polny Lanckoroński, wojewoda ruski i pan Stefan Czarniecki, kasztelan kijowski i pan Paweł Sapieha, wojewoda witebski i książę krajczy litewski Michał Radziwiłł, pan możny, a niesławę, jaką na

ród ściągnął Janusz. zatrzeć pragnący i pan Krzysztof Tyszkiewicz, wojewoda czernihowski i wielu innych senatorów i urzędników ziemskich i wojskowych i szlachty.

Listy latały codzień pomiędzy owymi panami, a panem marszałkiem koronnym, który nie chciał, aby tak znamienity związek bez niego się zawiązywał. Wieści przychodziły coraz pewniejsze, aż nakoniec rozebrzmiała wieść już pewna, że hetmani, a z nimi wojsko porzucili Szweda i że dla obrony majestatu i ojczyzny stanęła konfederacja tyszowiecka.

Król także pierwej o niej wiedział, bo oboje z królową, choć zdala będąc, niemało się nad jej zawiązaniem przez posły i listy napracowali jednakże nie mogąc w niej brać osobistego udziału niecierpliwie teraz nadejścia jej tenoru wyglądał. Jakoż zanim dojechał do Lwowa, przybyli doń pan Służewski i pan Domaszewski z Domaszewnicy, sędzia łukowski, przywożąc mu zapewnienia służb i wierności od konfederatów i akt związku do roborowania.

Czytał tedy król ów akt na walnej radzie z biskupami i senatorami. Serca wszystkich napełniały się radością, dusze uniosły się w podzięce do Boga, bo owa wiekopomna konfederacja zwiastowała nietylko opamiętanie się, ale i odmianę tego narodu, o którym niedawno jeszcze mógł obcy najezdnik powiedzieć, że niemasz w nim wiary, ani miłości do ojczyzny, ani sumienia, ani ładu, ani wytrwania, ani żadnej z tych cnót któremi stoją państwa i narody.

Świadectwo tych wszystkich cnót leżało teraz przed królem w postaci aktu konfederacji i jej uniwersału. Przywodzono w nim wiarołomstwo Karola Gustawa, łamanie przysiąg i obietnic, okrucieństwa jenerałów i żołnierzy, przez najdziksze narody nawet nie praktykowane, bezczeszczenie kościołów, ucisk, zdzierstwa, rabunki, przelewanie krwi niewinnej i wypowiadano wojnę na śmierć i życie skandynawskim najezdnikom. Uniwersał, groźny jak trąba archanioła, zwoływał pospolite ruszenie nietylko rycerstwa, ale wszystkich stanów i ludów Rzeczypospolitej. „Nawet infames, wszyscy (mówił uniwersał), banniti

i proscripti iść na tę wojnę powinni". Rycerstwo miało na koń siadać, własnych piersi nadstawiać i z łanów żołnierzy pieszych dostarczyć, możniejszy więcej, biedniejszy mniej, według możności i sił.

„Ponieważ w tem państwie aeque bona i mala do wszystkich należą, więc i niebezpieczeństwy wszystkim podzielić się godzi. Ktokolwiek mieni się być szlachcicem, osiadły lub nieosiadły, by też i najwięcej u jednego szlachcica synów było, na tę wojnę przeciw nieprzyjacielowi Rzeczypospolitej iść powinni. Gdyż jako wszyscy niższego i wyższego urodzenia. szlachtą będąc, ad omnes prerogativas urzędów, dostojeństw i dobrodziejstw ojczystych jesteśmy capaces, tak w tem aequales sobie będziemy, że na obronę tych ojczystych swobód i beneficiorum zarówno osobami swemi pójdziemy...

Tak to ów uniwersał równość szlachecką rozumiał. Król, biskupi i senatorowie, którzy zdawna się już w sercach z myślą naprawy Rzeczypospolitej nosili, przekonali się ze zdumieniem radosnem, że i naród do owej naprawy dojrzał, że gotów wstąpić na nowe drogi, zetrzeć rdzę i pleśń z siebie i nowe, wspaniałe rozpocząć życie.

„Otwieramy przytym (brzmiał uniwersał) benemerendi in Republica plac każdemu plebejae conditionis, ukazujemy i ofiarujemy wedle tego związku naszego okazję przystępu i nabycia honorów, prerogatyw i beneficiorum, któremi gaudet stan szlachecki..."

Gdy na radzie królewskiej odczytano ten ustęp, zapadło aż milczenie głębokie. Ci, którzy wraz z królem pragnęli najmocniej, aby przystęp do praw szlacheckich został ludziom niższych stanów otworzony, mniemali, że niemało im przewalczyć, przecierpieć i nałamać się przyjdzie, że lata całe upłyną, nim z czemś podobnem odezwać się będzie bezpiecznie, tymczasem sama owa szlachta, tak dotąd o swe prerogatywy zazdrosna, tak pozornie nieużyta, otwierała narozcież wrota szarym gromadom kmiecym.

Wstał książę prymas, owiany jakoby duchem proroczym i rzekł:

— Iżeście owo punctum zamieścili, potomni tę konfederację po wiek wieków wysławiać będą, a gdy kto zechce czasy owe, za czasy upadku staropolskiej cnoty uważać, tedy mu na was, przecząc, pokażą.

Ksiądz Gębicki był chory, więc mówić nie mógł, tylko ręką trzęsącą się ze wzruszenia, żegnał akt i posłów.

— Już widzę nieprzyjaciela, ze wstydem z tych ziem uchodzącego! — rzekł król.

— Daj Boże najprędzej!... — zakrzyknęli obaj wysłańcy.

— Waszmościowie pojedziecie z nami do Lwowa, — ozwał się znów król, — gdzie zaraz ową konfederację roborować będziemy, a przytem i innej zawrzeć nie omieszkamy, której same potęgi piekielne przemóc nie zdołają.

Spojrzeli na to po sobie wysłańcy i senatorowie, jakby pytając się wzajem, o jaką to potęgę chodzi, lecz król milczał, tylko mu twarz promieniała coraz bardziej; wziął znowu akt do ręki i znów czytał i uśmiechał się, nagle rzekł:

— Siła też było oponentów?

— Miłościwy panie, — odpowiedział pan Domaszewski, — unanimitate ta konfederacja powstała za przyczyną ichmość panów hetmanów, pana wojewody witebskiego i pana Czarnieckiego, a ze szlachty żaden głos się nie przeciwił, tak się wszyscy na Szwedów rozjedli i takim afektem dla ojczyzny i majestatu zapłonęli.

— Zgóryśmy przytem uradzili, — dodał pan Służewski, — że to nie ma być sejm, jeno pluralitas ma stanowić, więc niczyje veto nie mogło sprawy popsować, jeno oponenta bylibyśmy na szablach rozniešli. Wszyscy też powiadali, że trzeba z onem liberum veto skończyć, bo to jednemu wola, a wielu niewola.

— Złote słowa waszmości! — rzekł ksiądz prymas. — Niech jeno poprawa Rzeczypospolitej nastąpi, a nic ustraszy nas żaden nieprzyjaciel.

— A gdzie jest wojewoda witebski? — pytał król.

— Jeszcze na noc po podpisaniu aktu do swego wojska odjechał pod Tykocin, w którym księcia wojewodę wileńskiego, zdrajcę, w oblężeniu trzyma. Do tej pory musiał go już dostać żywego albo umarłego.

— Także był pewien, że go dostanie?

— Tak był pewien, jako, że po dniu noc nastąpi. Wszyscy, nawet najwierniejsi słudzy już zdrajcę opuścili. Broni się tam tylko garść Szwedów, ale nieznaczna, a posiłki znikąd przyjść nie mogą. Powiadał pan Sapieha w Tyszowcach tak: „Chciałem się jeden dzień spóźnić, bo byłbym do wieczora z Radziwiłłem skończył!... Ale to pilniejsza sprawa, niż Radziwiłł, gdyż jego i beze mnie mogą dostać, dość będzie jednej chorągwi“.

— Chwała Bogu! — rzekł król. — A gdzie pan Czarniecki?

— Tyle się do niego szlachty, co najsłuszniejszych kawalerów sypnęło, że w jeden dzień na czele grzecznej chorągwi stanął. Zaraz też na Szwedów ruszył, a gdzieby teraz był, nie wiemy.

— A ichmość panowie hetmani?

— Ichmość panowie hetmani pilno czekają rozkazów waszej królewskiej mości, obaj zaś radzą nad przyszłą wojną i z panem starostą kałuskim w Zamościu się znoszą, a tymczasem codzień pułki ku nim razem ze śniegiem walą.

— Także to wszyscy Szweda porzucają?

— Tak jest, miłościwy panie! Byli też u ichmość panów hetmanów deputaci z wojska pana Koniecpolskiego, które jest przy osobie Carolusa Gustawa. I ci pono radziby już wrócić do prawej służby, choć im tam Carolus obietnic, ni pieszczot nie szczędzi. Mówili też, że choć teraz nie mogą zaraz r e c e d e r e, przecie to uczynią, jak się tylko dogodna pora zdarzy, bo się już im sprzykrzyły i uczty i jego pieszczoty i mruganie oczami i rąk klaskanie. Ledwie już wytrzymać mogą.

— Zewsząd opamiętanie, zewsząd dobre wieści — rzekł

król. — Chwała Pannie Najświętszej!... Dzień to najszczęśliwszy mego życia, a drugi taki nastąpi chyba wówczas, gdy ostatni nieprzyjacielski żołnierz wyjdzie z granic Rzeczypospolitej.

Na to pan Domaszewski uderzył się po szerpentynie.

— Nie daj Bóg, aby się to stało! — rzekł.

— Jakto? — spytał ze zdumieniem król.

— Żeby ostatni pludrak na własnych nogach wyszedł z granic Rzeczypospolitej? Nie może być, miłościwy panie! A od czego mamy szable przy bokach?

— Bodaj waści! — rzekł rozweselony pan. — To mi fantazja!

Lecz pan Służewski, nie chcąc pozostać wtyle za panem Domaszewskim, zawołał:

— Jako żywo, niema na to zgody i pierwszy veto położę. Nie będziem się ich wyjściem kontentować, ale za nimi pójdziemy!

Ksiądz prymas począł głową kręcić i śmiać się dobrotliwie:

— Oj! siadła szlachta na koń i jedzie, jedzie! Boże wam błogosław, ale powoli, powoli! Jeszczeć ten nieprzyjaciel w granicach!

— Niedługo mu już! — zakrzyknęli obaj konfederaci.

— Duch się odmienił i fortuna się odmieni — rzekł osłabionym głosem ksiądz Gębicki.

— Wina! — zawołał król. — Niechże się na odmianę z konfederatami napiję!

Przyniesiono wina, lecz wraz z pachołkami, którzy je wnieśli, wszedł starszy pokojowiec królewski i rzekł:

— Miłościwy panie, przyjechał pan Krzysztoporski z Częstochowy i pragnie się waszej królewskiej mości pokłonić.

— Dawaj go żywcem! — zawołał król.

Po chwili wszedł wysoki, chudy szlachcic, patrzący jak kozioł zpodełba. Skłonił się najprzód panu do nóg, potem dość hardo dygnitarzom i rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Na wieki wieków! — odpowiedział król. — Co tam słychać?

— Mróz okrutny, miłościwy panie, aże powieki do jagód przymarzają!

— Dlaboga! o Szwedach waść powiadaj, nie o mrozie! — zawołał Jan Kazimierz.

— A co o nich i gadać, miłościwy panie, kiedy ich pod Częstochową niema! — odrzekł rubasznie pan Krzysztoporski.

— Doszły już nas te wieści, doszły, — odparł uradowany król, — ale tylko z ludzkiego gadania, a wy z samego klasztoru pewnie jedziecie... Naoczny świadek i obrońca?

— Tak jest, miłościwy panie, uczestnik obrony i naoczny świadek cudów Najświętszej Panny...

— Nie tu granica Jej łask! — rzekł król, wznosząc oczy ku niebu — jeno zasłużmy na dalsze...

— Siła w życiu widziałem, — odpowiedział Krzysztoporski, — ale takich widomych cudów nie widziałem, o czem dokładniejszą relację zdaje waszej królewskiej mości ksiądz Kordecki w tem piśmie.

Jan Kazimierz chwycił skwapliwie za list, który mu Krzysztoporski podawał i począł czytać. Chwilami przerywał czytanie i poczynał się modlić, to znów wracał do listu. Twarz mieniła mu się radosnemi uczuciami; nakoniec podniósł znów oczy na Krzysztoporskiego:

— Pisze mi ksiądz Kordecki, — rzekł, — iżeście wielkiego kawalera stracili, niejakiego Babinicza, który kolubrynę szwedzką prochami rozsadził?

— Onże się za wszystkich ofiarował, miłościwy panie! Ale są też tacy, którzy mówili, że żyje i Bóg wie co powiadali; nie mając pewności, przecieśmy go nie przestali opłakiwać, bo gdyby nie jego kawalerski postępek, ciężkoby nam było dać sobie rady...

— Jeśli tak, to przestańcie go opłakiwać: pan Babinicz żywie i jest u nas. On to pierwszy dał nam znać, że Szwedzi,

nie mogąc nic przeciw mocy Boskiej wskórać, o odstąpieniu zamyślają... A potem tak nam znaczne oddał przysługi, iż sami nie wiemy, jak go wynagrodzić.

— O, to się ksiądz Kordecki ucieszy! — zawołał z radością szlachcic — ale jeśli pan Babinicz żywie, to chyba szczególniejsze u Najświętszej Panny ma łaski... To się ksiądz Kordecki ucieszy! Ojciec syna nie może tak miłować, jako on jego miłował! A i mnie pozwoli wasza kr. mość pana Babinicza powitać, gdyż takiego drugiego rezoluta niemasz w Rzeczypospolitej!

Lecz król począł znowu czytać i po chwili zawołał:

— Co słyszę! To jeszcze raz po ustąpieniu próbowali klasztor podejść?

— Müller jak odszedł, tak się i nie pokazał więcej, jeno Wrzeszczowicz zjawił się znów niespodzianie pod murami, dufając w to widocznie, że bramy zastanie otwarte. Jakoż i zastał, ale się chłopstwo tak zaciekle na niego rzuciło, że zaraz sromotnie tył podał. Jak świat światem, nie było tego, żeby prostactwo tak mężnie w gołem polu jeździe stawało. Potem też nadciągnął pan Piotr Czarniecki z panem Kuleszą, którzy doszczętu go znieśli.

Król zwrócił się do senatorów:

— Patrzcie wasze uprzejmości, jako nędzni oracze w obronie tej ojczyzny i świętej wiary stawają!

— Że stawają, miłościwy panie, to stawają! — zawołał Krzysztoporski. — Całe wsie wedle Częstochowy puste, bo chłopstwo z kosami w polu. Wojna wszędy okrutna; Szwedzi muszą się kupami trzymać, a złapie-li chłopstwo którego, to tak nad nim wydziwia, że lepiejby mu odrazu iść do piekła. Kto tam wreszcie teraz w tej Rzeczypospolitej za oręż nie chwyta! Nie było psubratom Częstochowy oblegać... Od tego czasu nie siedzieć im w tej ziemi!

— Od tego czasu nie będą w tej ziemi ucisku znosić ci, którzy krwią się oponują, — odrzekł poważnie król, — tak mi dopomóż Bóg i święty krzyż!

— Amen! — dodał prymas.

Tymczasem Krzysztoporski uderzył się ręką w czoło:

— Mróz mi mentem pomieszał, miłościwy panie, — rzekł, — bom zapomniał jednej wieści powiedzieć, że taki syn, wojewoda poznański, zmarł, jakoby nagle.

Tu zawstydził się nieco pan Krzysztoporski, spostrzegłszy się, jak wielkiego senatora nazwał wobec króla i dygnitarzy „takim synem“, więc dodał zmieszany:

— Nie zacny stan, lecz zdrajcę chciałem spostponować.

Ale nikt tego wyrażenia nie zauważył, bo wszyscy patrzyli na króla, ten zaś rzekł:

— Jużeśmy dawno pana Jana Leszczyńskiego na województwo poznańskie przeznaczyli, jeszcze za życia pana Opalińskiego. Niechże godniej ten urząd piastuje... Sąd boski, widzę, rozpoczął się nad tymi, którzy tę ojczyznę do upadku przywiedli, bo w tej chwili może już i książę wojewoda wileński przed Najwyższym Sędzią sprawę ze swoich uczynków zdaje...

Tu zwrócił się do biskupów i senatorów:

— Ale nam czas o wojnie powszechnej myśleć i w tej materji pragnę zasięgnąć zdania waszych mościów.

ROZDZIAŁ IX.

W tej chwili, gdy król mówił, iż wojewoda wileński może już stoi przed sądem bożym, mówił jakoby duchem proroczym, bo w owym czasie sprawa tykocińska była już rozwiązana.

Dnia 25 grudnia pan wojewoda witebski, Sapieha, tak był już pewien zdobycia Tykocina, że sam do Tyszowiec wyjechał, poleciwszy panu Oskierce prowadzenie dalszych prac oblężniczych. Z ostatnim szturmem kazał na powrót swój, rychło mający nastąpić, czekać; zebrawszy zaś co znaczniejszych oficerów, tak mówił:

— Doszły mnie słuchy, iż między towarzystwem jest zamiar zaraz po zdobyciu zamku księcia wojewodę wileń-

skiego na szablach roznieść... Owóż, gdyby się zamek pod mą niebytność poddał, co być może, oświadczam waszmościom, iż najsurowiej zakazuję na zdrowie księcia następować. Odbieram ci ja wprawdzie listy od takich osób, o których się waszmościom ani śni, abym dostawszy go, nie żywił... Ale ja nie chcę słuchać tych rozkazów, co czynię nie z żadnej kompasji, bo jej zdrajca nie wart, ale że nad gardłem jego nie mam prawa i wolę go przed sejm na sąd postawić, aby dla potomnych był stąd przykład, że ni wielkość rodu, ni żadne urzędy, zdrady takowej i winy odkupić, ani przed karą publiczną zasłonić go nie zdołają.

W ten sens mówił pan wojewoda, jeno jeszcze dłużej, bo o ile był zacny, o tyle miał tę słabość, że mając się za mówcę, lubił przy każdej okazji obszernie się wysławiać i słuchał z lubością własnych słów, przymykając przy piękniejszych sentencjach oczy.

— To muszę sobie chyba dobrze prawą rękę w wodzie wymoczyć, — odparł na to pan Zagłoba, — gdyż okrutnie mnie swędzi... Wszystko to tylko powiem, że gdyby Radziwiłł mnie w swoją moc dostał, pewnieby z moją głową do zachodu słońca nie czekał. Wie on dobrze, kto w znacznej części to sprawił, że go wojska opuściły; wie dobrze, kto go ze Szwedami nawet poróżnił... Ale zato ja nie wiem, czemu mam być pobłażliwszy dla niego, niżli on byłby dla mnie?

— Bo nie przy waści komenda i słuchać musisz! — odrzekł z powagą wojewoda.

— Że słuchać muszę, to prawda, ale dobrze czasem i Zagłoby posłuchać... Śmiele też to mówię, że gdyby Radziwiłł mnie posłuchał, gdym go do obrony ojczyzny ekscytował, nie byłby dziś w Tykocinie, jeno w polu, na czele wszystkich wojsk litewskich.

— Zali to waści się zdaje, że buława w złych rękach?

— Tego nie godzi mi się powiedzieć, bom ją sam w te ręce włożył. Miłościwy pan nasz, Johannes Casimirus, ma tylko mój wybór potwierdzić, nic więcej.

Uśmiechnął się na to wojewoda, bo lubił pana Zagłobę i jego krotofile.

— Panie bracie, — rzekł, — tyś zgnębił Radziwiłła, tyś mnie uczynił hetmanem... i wszystko twoja zasługa. Pozwólże mnie teraz jechać spokojnie do Tyszowiec, aby też i Sapieha mógł w czemś przysłużyć się ojczyźnie.

Pan Zagłoba wziął się w boki i zamyślił się przez chwilę, jakby rozważał, czy ma pozwolić, czy nie pozwolić; nakoniec okiem łysnął, głową kiwnął i rzekł z powagą:

— Jedź, wasza miłość, spokojnie.

— Bóg zapłać za permisję! — odpowiedział, śmiejąc się wojewoda.

Zawtórowali wodzowi śmiechem inni oficerowie, on zaś istotnie począł się zbierać, bo kolasa stała już pod oknami gotowa, więc żegnał się ze wszystkimi, dając każdemu instrukcję, co ma pod jego niebytność czynić; wreszcie zbliżywszy się do pana Wołodyjowskiego, rzekł:

— Waść, na wypadek zdania się zamku, będziesz mi odpowiadał za zdrowie wojewody, tobie tę funkcję powierzam.

— Wedle rozkazu! włos mu z głowy nie spadnie! — odrzekł mały rycerz.

— Panie Michale, — rzekł do niego pan Zagłoba po odjeździe wojewody, — ciekaw jestem, jakie to osoby nalegają na naszego Sapja, by Radziwiłła dostawszy, nie żywił?

— Skąd mam wiedzieć! — odrzekł mały pan.

— Czyli powiadasz, że czego ci cudza gęba do ucha nie powie, tego ci własny dowcip nie podszepnie. Prawda jest! Ale muszą to być znaczne jakieś persony, skoro mogą panu wojewodzie rozkazy dawać.

— Może sam król?

— Król? Króla gdyby pies ukąsił, zarazby mu przebaczył i jeszczeby mu sperkę dać kazał. Takie już u niego serce!

— Nie będę się o to z waćpanem spierał, ale przecie powiadali, że na Radziejowskiego bardzo się zawziął?

— Najprzód, każdemu przytrafi się zawziąć: exemplum: moja na Radziwiłła zawziętość, po wtóre, jakże to się zawziął, kiedy zaraz synów jego wziął w opiekę, że i ojciec lepszyby nie był! Złote to serce i mniemam, że prędzej to królowa jejmość przeciw gardłu radziwiłłowskiemu instancję wnosi. Godna pani, ani słowa, ale białogłowska u niej fantazja, a to wiedz, że gdy się białogłowa przeciw tobie zaweźmie, choćbyś się w szparę w podłodze skrył, jeszcze cię igłą stamtąd wydłubie.

Na to westchnął pan Wołodyjowski i odparł:

— Zacoby się tam która miała na mnie zawzinać, skorom żadnej nigdy w życiu nie zahaczył!

— Ale radbyś, ale radbyś! Dlatego to, choć w jeździe służysz, tak zapamiętale na mury tykocińskie piechotą leziesz, bo myślisz, że tam nietylko Radziwiłł, ale i Billewiczówna siedzi. Znają cię, niecnoto! Jakże? jeszcześ jej sobie z głowy nie wybił?

— Był taki czas, żem ją sobie całkiem z głowy wybił i sam Kmicic, gdyby tu był obecny, musiałby przyznać, żem po kawalersku sobie postąpił, nie chcąc iść wbrew jej sentymentom, raczej swoją konfuzję w niepamięć puszczając; ale tego nie ukrywam, że jeśli ona jest teraz w Tykocinie, jeśli mi Bóg pozwoli znów ją z opresji ratować, to będę w tem widział wyraźną wolę Opatrzności. Na Kmicica baczyć nie potrzebuję, bom mu w niczem nie powinien, a żywie we mnie nadzieja, iż gdy dobrowolnie od niej odszedł, to go musiała do tej pory zapomnieć i nie przygodzi mi się, co się dawniej przygodziło.

Tak rozmawiając, doszli do kwatery, w której zastali dwóch panów Skrzetuskich, pana Rocha Kowalskiego i pana dzierżawcę z Wąsoszy.

Nie tajno było w wojsku, poco pan wojewoda witebski pojechał do Tyszowiec, więc rycerze cieszyli się wzajem, że powstaje związek tak cnotliwy na obronę ojczyzny i wiary.

— Inny już wiatr w całej Rzeczypospolitej wieje, — rzekł pan Stanisław, — a chwalić Boga Szwedom w oczy.

— Od Częstochowy on powiał — odrzekł na to pan Jan. — Wczoraj były wiadomości, że się klasztor jeszcze trzyma i coraz mocniejsze szturmy odpiera... Nie daj Matko Najświętsza, by nieprzyjaciel mógł pohańbić Twój przybytek!

Tu pan Rzędzian westchnął i rzekł:

— Bo oprócz obrazy boskiej, ileby to zacnych skarbów poszło w nieprzyjacielskie ręce! Jak człek o tem pomyśli, to mu i strawa przez gardło nie chce przechodzić.

— Wojsko aż się do szturmu rwie, że trudno ludzi utrzymać — rzekł pan Michał. — Wczoraj Stankiewiczowa chorągiew bez komendy i bez drabin ruszyła, bo powiadają tak: jak z tym zdrajcą skończymy, to Częstochowie na odsiecz pójdziem. I co który Częstochowę wspomni, to zaraz wszyscy poczynają zgrzytać i w szable trzaskać.

— Bo i poco nas tu tyle chorągwi stoi, kiedy i połowy byłoby na Tykocin dosyć — rzecze pan Zagłoba. — Upór to pana Sapiehy, nic więcej. Nie chce mnie słuchać, żeby pokazać jako i bez mojej rady coś potrafi, a to sami widzicie, że jak tylu ludzi jedną zamczynę oblega, to tylko sobie nawzajem przeszkadzają, bo dostępu dla wszystkich niemasz.

— Eksperjencja wojskowa przez waćpana mówi, nie można rzec! — odpowiedział pan Stanisław.

— Aha! co? Mam głowę na karku?

— Wuj ma głowę na karku! — zawołał nagle pan Roch i nastroszywszy wąsy, począł poglądać po obecnych, jakby szukając takiego, coby mu zaprzeczył.

— Ale i pan wojewoda ma głowę — odrzekł pan Jan Skrzetuski — i jeśli tyle chorągwi tu stoi, to dlatego, że jest obawa, żeby książę Bogusław z odsieczą bratu nie przybył.

— To posłać z parę lekkich chorągwi na pustoszenie Prus elektorskich, — rzekł Zagłoba, — skrzyknąć kupę ludu na ochotnika między gminem. Sambym pierwszy poszedł pruskiego piwa popróbować.

— W zimie piwo nanic, chyba grzane — rzekł pan Michał.

— To dajcie wina, albo gorzałki lub miodu — odpowiedział Zagłoba.

Inni również okazali ochotę, więc pan dzierżawca z Wąsoszy zajął się tą sprawą i wkrótce kilka gąsiorków stanęło na stole. Uradowały się na ten widok serca i rycerze poczęli do siebie przepijać, coraz to na inne intencje wznosząc kielichy.

— Na pohybel pludrakom, abym nam tu bochenków długo już nie łuszczyli! — rzekł pan Zagłoba — niech sobie szyszki w Szwecji żrą!

— Za zdrowie majestatu: króla jegomości i królowej! — wniósł Skrzetuski.

— I tych, którzy wiernie przy majestacie stali! — dodał Wołodyjowski.

— Zatem nasze zdrowie!

— Zdrowie wuja! — huknął pan Roch.

— Bóg zapłać! W ręce twoje, a wytrząśnij do dna w gębę... Jeszcze się Zagłoba nie ze wszystkiem zestarzał! Mości panowie! abyśmy co prędzej tego jaźwca z jamy wykurzyli i pod Częstochowę ruszyć mogli!

— Pod Częstochowę! — krzyknął Roch — Pannie Najświętszej w sukurs!

— Pod Częstochowę! — zawołali wszyscy.

— Skarbów jasnogórskich przed poganami bronić! — dodał Rzędzian.

— Którzy symulują, że w Pana Jezusa wierzą, chcąc bezecność swą koloryzować, a w rzeczy, jakem to już powiadał, do miesiąca jako psi wyją i na tem cała ich wiara polega.

— I tacy to ręce na splendory jasnogórskie podnoszą!

— W sednoś waszmość utrafił, mówiąc o ich wierze, — rzekł Wołodyjowski do Zagłoby, — bo ja sam słyszałem, jak do miesiąca wyli. Powiadali później, że to ich luterskie psalmy, ale to pewna, że takie psalmy i psi śpiewają...

— Jakżeto? — rzekł pan Roch — samiż między nimi tacy synowie?

— Niemasz innych! — rzekł z głębokiem przekonaniem pan Zagłoba.

— I król ich nie lepszy?

— Król ich gorszy od wszystkich. On to tę wojnę podniósł umyślnie, aby mógł prawdziwej wierze dowoli po kościołach bluźnić.

Na to podniósł się pan Roch, mocno już podpiły i rzekł:

— Jeżeli tak, tedy jako mnie waszmościowie widzicie, jakem Kowalski! tak w pierwszej bitwie prosto na króla szwedzkiego skoczę! Choćby też stał w największej gęstwie, nic to! Moja śmierć albo jego!... a taki kopją się do niego złożę... Miejcie mnie waćpanowie za kpa, jeśli tego nie uczynię!

To rzekłszy, złożył pięść i chciał w stół grzmotnąć. Byłby przytem potłukł szklanice, gąsiory i stół rozłupał, lecz pan Zagłoba skwapliwie go za garść uchwycił i w następujące ozwał się słowa:

— Siadaj Rochu i daj spokój. Wiedz i o tem, że nie dopiero cię będziemy za kpa mieli, gdy tego nie uczynisz, ale dopiero cię za kpa przestaniemy mieć, jeżeli to uczynisz. Nie rozumiem też, jak się będziesz mógł kopją złożyć do króla szwedzkiego, w husarji nie służąc?

— To się na poczet zdobędę i do kniazia Połubińskiego chorągwi się wpiszę. I ojciec też mnie wspomoże.

— Ojciec Roch?

— A jakże!

— Niechże cię pierwej wspomoże, a teraz szkła nie rozbijaj, bo pierwszybym ci za to głowę rozbił. O czemżeśmy to mówili mościwi moi?... Aha! o Częstochowie... L u c t u s mnie stoczy, jeżeli w porę świętemu miejscu na ratunek nie przyjdziemy... L u c t u s mnie stoczy, mówię wam! A wszystko przez tego zdrajcę Radziwiłła i przez rację fizykę sapieżyńską.

— Waćpan na wojewodę nic nie mów! Zacny pan — ozwał się mały rycerz.

— To czemu obydwiema połami Radziwiłła przykrywa, kiedy jednej byłoby dosyć? Blisko dziesięć tysięcy ludzi pod tą tam budą stoi, najgrzeczniejszej jazdy i piechoty. Niezadługo w całej okolicy i sadze w kominach wyliżą, bo co było na kominach, to już zjedli.

— Nam w racje starszych nie wchodzić jeno słuchać!

— Tobie nie wchodzić, panie Michale, ale nie mnie, bo mnie połowa dawnego radziwiłłowskiego wojska regimentarzem wybrała i byłbym już za dziesiątą granicę Carolusa Gustawa wyżenął, gdyby nie ona nieszczęsna modestja, która mi kazała buławę panu Sapieże w ręce włożyć. Niechże sobie ze swojem kunktatorstwem da spokój i niech patrzy, bym nie odebrał tego, com dał.

— Jeno po napiciu się taki z waści rezolut! — rzekł pan Wołodyjowski.

— Tak powiadasz? Ano, to obaczysz! Dziś jeszcze pójdę między chorągwie i krzyknę: Mości panowie! komu wola ze mną pod Częstochowę iść, nie tu sobie łokcie i kolana o tykocińskie wapno wycierać, to proszę za mną! Kto mnie regimentarzem kreował, kto mnie władzę dawał, kto dufał, że co uczynię, to ku pożytkowi ojczyzny i wiary będzie, ten niech obok mnie stawa. Piękna rzecz zdrajców karać, ale stokroć piękniejsza Najświętszą Pannę, patronkę tej korony i Matkę naszą z pod opresji i jarzma heretyckiego ratować.

Tu pan Zagłoba, któremu już od niejakiego czasu opar unosił się z czupryny, zerwał się z miejsca, skoczył na ławę i począł krzyczeć, jakby znajdował się przed zebraniem:

— Mości panowie! Kto katolik, kto Polak, kto nad Najświętszą Panną ma kompasję, za mną!... W sukurs Częstochowie!

— Idę! — zawołał wstając Roch Kowalski.

Zagłoba popatrzył chwilę na obecnych, a widząc zdumienie i milczące twarze, zlazł z ławy i rzekł:

— Nauczę ja Sapja rozumu!... Szelmą jestem, jeśli do jutra połowy wojska z pod Tykocina nie zerwę i pod Częstochowę nie poprowadzę!

— Dlaboga! Pomiarkuj się ojciec! — rzekł pan Jan Skrzetuski.

— Szelmą jestem! mówię ci! — powtórzył pan Zagłoba.

Oni zaś zlękli się, aby istotnie tego nie uczynił, bo mógł. W wielu chorągwiach były szemrania na tykocińską mitręgę, a ludzie istotnie zgrzytali zębami, myśląc o Częstochowie. Dość było iskrę na owe prochy rzucić, a cóż dopiero, gdyby ją rzucił człek tak wzięty i takiej niezmiernej powagi rycerskiej, jak Zagłoba. Przedewszystkiem większa część wojsk sapieżyńskich składała się z nowozaciężnych, a zatem do dyscypliny wojennej nie przywykłych i do uczynków na własną rękę skorych, a ci poszliby niezawodnie pod Częstochowę za Zagłobą, jak jeden człowiek.

Więc przelękli się tego przedsięwzięcia obaj Skrzetuscy, a Wołodyjowski zawołał:

— Ledwie się wojska trochę największym trudem wojewodzińskim zebrało, ledwie jest jakowaś siła na obronę Rzeczypospolitej, a już czyjeś warcholstwo, chce chorągwie rozrywać, do nieposłuszeństwa przywodzić. Siłaby Radziwiłł zapłacił za takową radę, bo na jego młyn ta woda. Jak waćpanu nie wstyd gadać nawet o takiej imprezie!

— Szelmą jestem, jeśli tego nie uczynię! odparł Zagłoba.

— Wuj tak uczyni! — dodał Roch Kowalski.

— Cicho ty koński łbie;—huknął na niego pan Michał.

Pan Roch oczy wytrzeszczył, gębę zamknął i wyprostował się odrazu.

Wówczas Wołodyjowski zwrócił się do pana Zagłoby.

— A ja szelmą jestem, — rzekł, — jeżeli jeden człowiek z mego pułku z waćpanem ruszy, a chcesz wojsko psować, tedy ci powiem, że pierwszy na twoich wolentarzów uderzę!

— Poganinie, Turku bezecny! — rzekł na to Zagłoba.—

Jakżeto, na rycerzy Najświętszej Panny będziesz uderzał? Gotóweś? Dobrze! Znają cię! Myślicie waćpanowie, że jemu o wojsko, albo o dyscyplinę chodzi? Nie! jeno Billewiczównę za murami tykocińskiemi zwietrzył. Dla prywaty i dla swawoli nie zawahasz się najsłuszniejszej racji odstąpić! Radbyś na dziewczynę fyrkał i z nogi na nogę przestępował, a jurzył się! Ale nic z tego! Moja głowa w tem, że tam cię lepsi ubiegą, choćby ten sam Kmicic, bo i on od ciebie nie gorszy.

Wołodyjowski spojrzał na obecnych, biorąc ich na świadectwo, jaka mu się krzywda dzieje. Następnie namarszczył się, myśleli, że gniewem wybuchnie, ale że był także poprzednio podchmielił, więc nagle wpadł w rozczulenie:

— Oto mi nagroda! — zawołał — od wyrostka ojczyźnie służę, szabli z garści nie popuszczam! Ni mi chaty, ni mi żony, ni dzieci, sam człek jako kopja do góry głową sterczy. Najzacniejsi o sobie myślą, a ja, prócz ran w skórze, nie miałem innej nagrody, zato mi jeszcze prywatę zadają, ledwie nie zdrajcą być mienią.

To rzekłszy, jął ronić łzy na żółte wąsiki, zaś pan Zagłoba zmiękł odrazu i otworzywszy ręce, zawołał:

— Panie Michale! Srodzem cię ukrzywdził! Katu mnie oddać za to, żem takiego wypróbowanego przyjaciela spostponował!

I padłszy sobie w objęcia, poczęli się całować i do piersi wzajem przyciskać, zaczem i pili dalej na zgodę, a gdy już żal znacznie im z serc wyparował, rzekł Wołodyjowski:

— A nie będziesz wojska psował, swawoli wprowadzał, złego przykładu dawał?

— Nie będę, panie Michale! dla ciebie to uczynię!

— A da Bóg, Tykocina dostaniem, to co komu do tego, czego ja za murami szukam. Co kto sobie ma ze mnie dworować, hę?

Uderzony tą kwestją, pan Zagłoba począł koniec wąsa do ust wkładać i zębami go przygryzać, nakoniec rzekł:

— Nie, panie Michale, kocham cię; jako źrenicę oka,

ale ty sobie tę Billewiczównę z głowy wybij.

— A to czemu? — pytał zdziwiony pan Wołodyjowski.

— Urodna jest, assentior! — rzekł Zagłoba — ale to persona okazała i żadnej niemasz między wami proporcji. Chybabyś jej na ramieniu siadał, jako kanarek i cukier z gęby wydziobywał. Mogłaby cię także jako kobuza na rękawiczce nosić i na wszelkiego nieprzyjaciela puszczać, bo chociażeś mały, aleś instar szerszenia zjadliwy.

— Już waćpan zaczynasz? — rzekł Wołodyjowski.

— Kiedym zaczął, to pozwólże mi i dokończyć: Jedna jest dla ciebie podwika jakoby stworzona, a to właśnie owa pestka... Jakże jej tam imię? Ta, z którą nieboszczyk Podbipięta miał się żenić?

— Anusia Borzobohata Krasieńska! — zakrzyknął pan Jan Skrzetuski. — Toćże to dawny afekt Michałowy!...

— Czyste ziarnko gryczane, ale gładka była bestyjka, jako kukiełka — rzekł, mlaskając wargami pan Zagłoba.

Tu pan Michał zaczął wzdychać raz po razu i powtarzać to, co zawsze powtarzał, gdy ktoś o Anusi wspomniał:

— Co się z tem niebożątkiem dzieje?... Ba, ba! żeby się to ona znalazła!

— Jużbyś jej z rąk nie popuścił... I dobrzebyś uczynił, bo przy twojej kochliwości, panie Michale, może ci się przytrafić, że cię pierwsza lepsza koza złapie i na kozła przemieni. Dalibóg, w życiu nie widziałem, żeby ktoś taki był na afekta łasy. Powinieneś się był kurkiem urodzić, śmiecie pod przyzbami rozgrzebywać i „ko, ko, ko!“ na czubatki wołać.

— Anusia! Anusia! — powtarzał rozmarzony Wołodyjowski. — Bógby mi ją zesłał!... Ale może już jej na świecie zgoła niemasz, albo też zamąż poszła i dzieci wodzi...

— Coby miała iść! Zielona to jeszcze była rzepa, gdym ją widział, a potem choć i doszła, mogła się dotąd w stanie niewinności uchować. Po takim panu Longinie, nijako jej było lada chłystka brać... Z drugiej też strony, w tych wojennych czasach mało kto o żeniacze myśli.

A pan Michał na to:

— Waćpan jej dobrze nie znałeś. Dziw jak zacna... Ale taką już miała naturę, że nikogo nie przepuściła, żeby mu zaraz serca nie przeszyć... Taką już ją Pan Bóg stworzył. Nawet niższego stanu ludzi nie omijała: exemplum ów medyk księżnej Gryzeldy, Włoszysko, który się w niej zakochał naumór. Może tam za niego już poszła i za morze ją wywiózł...

— Nie powiadaj byle czego, panie Michale! — zawołał z oburzeniem Zagłoba. — Medyk, medyk... Zaśby szlachecka córka, z zacnej krwi, miała pójść za człeka tak podłej kondycji?... Raz ci to już mówiłem! nie może być!

— I mnie samemu było na nią za to mruczno, bom sobie myślał: już też miary nie ma, skoro i procederników bałamuci.

— Prorokuję ci, że ją jeszcze obaczysz — rzekł Zagłoba.

Dalszą rozmowę przerwało wejście porucznika Tokarzewicza, który przedtem w regimencie radziwiłłowskim służył, a po zdradzie hetmana wraz z innymi go odstąpił i teraz w pułku Oskierczynym chorągiew nosił.

— Panie pułkowniku, — rzekł do Wołodyjowskiego, — będziem petardę podsadzać.

— To już pan Oskierka gotów?

— Jeszcze dziś w południe był gotów i nie chce czekać, bo noc obiecuje się ciemna.

— To dobrze, — rzekł Wołodyjowski, — pójdziem obaczyć i ludziom też z muszkietami każę stanąć w gotowości, żeby z za bramy nie wypadli. Samże pan Oskierka będzie petardę podsadzał?

— Tak jest... Własną osobą... Siła i ochotnika z nim idzie.

— Pójdę i ja! — rzekł Wołodyjowski.

— I my! — zawołali dwaj Skrzetuscy.

— Ot! szkoda, że stare oczy pociemku nie widzą, — ozwał się pan Zagłoba, — bo pewniebym wam samym iść nie dał... Ale cóż! gdy się jeno zmroczy, już ani szablą mi

się nie złożyć... Po dniu, po dniu, przy słońcu, to tam stary lubi jeszcze ruszyć w pole. Dawajcie mi co najtęższych Szwedów, byle w południe.

— Ja zaś pójdę — rzekł, namyśliwszy się, dzierżawca z Wąsoszy. — Gdy bramę wysadzą, pewnie wojsko hurmem do szturmu skoczy, a tam w zamku siła w sprzętach i klejnotach może być wszelakiej dobroci.

I wyszli wszyscy, bo też się już mroczyło, na dworze; został w kwaterze sam tylko pan Załoba, który przez chwilę nasłuchiwał, jako śnieg chrzęścił pod stopami odchodzących; potem zaś jął podnosić kolejno gąsiorki i patrzyć pod światło płonące na kominie, jeżeli się co jeszcze w którym zostało.

Tamci zaś szli ku zamkowi w pomroce i wietrze, który wstał od strony północnej i dął coraz silniej, wył, huczał, niosąc ze sobą tumany rozbitego w proch śniegu.

— Dobra noc do podsadzania petardy! — rzekł Wołodyjowski.

— Ale i do wycieczki — odrzekł pan Skrzetuski. — Musimy mieć pilne oko i muszkietników gotowych.

— Dałby Bóg, — rzekł pan Tokarzewicz, — żeby pod Częstochową była jeszcze większa zadymka. Zawszeć naszym w murach cieplej... Ale coby tam Szwedów na strażach pomarzło, toby pomarzło... Trastia ich maty mordowała!

— Straszna noc! — rzekł pan Stanisław — słyszycie waćpanowie, jak wyje, jakoby Tatarzy do ataku powietrzem szli?

— Albo jakby djabli requiem Radziwiłłowi śpiewali — dorzucił Wołodyjowski.

ROZDZIAŁ X.

W zamku zaś wielki zdrajca patrzył także w kilka dni później na zapadający na całuny śnieżne mrok i słuchał wycia wichru.

Dopalała się zwolna lampa jego życia. Dnia tego w południe jeszcze chodził, jeszcze spoglądał z blanków na namioty i drewniane szałasy wojsk sapieżyńskich; lecz w dwie godziny później zaniemógł tak, iż musiano go odnieść do komnat.

Od owych czasów kiejdańskich, w których po koronę sięgał, zmienił się do niepoznania. Włos na głowie zbielał, naokoło uczu poczyniły się czerwone obwódki, twarz mu obwisła i nabrzękła, więc wydawała się jeszcze ogromniejszą, ale była to twarz już półtrupia, naznaczona błękitnemi piętnami i straszna, przez swój wyraz piekielnych cierpień.

A jednak, lubo życie jego niemal na godziny się już liczyć mogło, przecie żył za długo, bo przeżył nietylko wiarę w siebie, w swoją pomyślną gwiazdę, nietylko nadzieje swoje i zamiary, ale tak głęboki swój upadek, że gdy spoglądał na dno tej przepaści, do której się stoczył, sam sobie wierzyć nie chciał. Wszystko go zawiodło: wypadki, wyrachowania, sprzymierzeńcy. On, któremu niedość było być najpotężniejszym panem polskim, księciem Państwa Rzymskiego, wielkim hetmanem i wojewodą wileńskim; on, któremu Litwa cała była nie do miary pragnień i pożądliwości, zamknięty był teraz w jednym ciasnym zameczku, w którym czekała go tylko albo śmierć, albo niewola. I patrzył codziennie we drzwi, która z dwóch strasznych bogiń pierwej wejdzie wziąć jego duszę i przez pół już rozpadające się ciało.

Z jego ziem, z jego włości i starostw można było niedawno udzielne królestwo wykroić, dziś nie był panem nawet i murów tykocińskich.

Przed kilkoma zaledwie miesiącami z sąsiednimi królami jeszcze traktował, dziś jeden kapitan szwedzki z niecierpliwością i lekceważeniem słuchał jego rozkazów i wolę jego śmiał naginać do swojej.

Gdy go opuściły wojska, gdy z magnata i pana, który trząsł krajem, został bezsilnym nędzarzem, który sam potrzebował ratunku i pomocy, Karol Gustaw pogardził nim.

Byłby pod niebiosa wynosił potężnego pomocnika, ale odwrócił się z dumą od suplikanta.

Jako opryszka, Kostkę Napierskiego, oblegano niegdyś w Czorsztynie, tak jego, Radziwiłła, oblegano teraz w zamku tykocińskim. I kto oblegał? Sapieha, największy wróg osobisty!

Gdy go dostaną, powloką go na sąd, gorzej niż opryszka, bo jako zdrajcę.

Opuścili go krewni, przyjaciele, koligaci. Wojska zajechały jego dobra, rozwiały się w mgłę skarby, bogactwa i ów pan, ów książę, który niegdyś dwór francuski dziwił i oślepiał przepychem, który na ucztach tysiące szlachty przyjmował, który po dziesięć tysięcy własnych wojsk trzymał, odziewał, żywił, nie miał teraz czem mdlejącym sił odżywić i strach powiedzieć! on, Radziwiłł, w ostatnich chwilach swego życia, niemal w godzinę śmierci — był głodny!

W zamku dawno już brakło żywności, ze szczupłych pozostałych zapasów komendant szwedzki skąpe wydzielał racje, a książę nie chciał go prosić.

Gdyby przynajmniej gorączka, która trawiła jego siły, odjęła mu była i przytomność! Ale nie! Pierś jego podnosiła się coraz ciężej, oddech zmieniał się w chrapanie, opuchłe nogi i ręce ziębły, lecz umysł mimo chwilowych obłędów, mimo strasznych mar i wizyj, które przesuwały mu się przed oczyma, pozostawał przez większą część godzin jasny. I widział ów książę cały swój upadek, całą nędzę i poniżenie, widział ów dawny wojownik zwycięzca całą klęskę — i cierpienia jego były tak niezmierne, że chyba z jego grzechami mogły się porównać.

Bo prócz tego, jako Oresta erynje, tak jego szarpały wyrzuty sumienia, a nie było nigdzie na świecie takowej świątyni, do której mógłby się przed niemi schronić. Szarpały go w dzień, szarpały w nocy, na polu i pod dachem; duma nie mogła im zdzierżyć, ani ich odeprzeć. Im głębszy był jego upadek, tem szarpały go zacieklej. I miewał takie

chwile, że darł własne piersi. Gdy nieprzyjaciele naszli ojczyznę ze wszystkich stron, gdy nad jej losem nieszczęsnym, nad jej bólami i krwią przelaną litowały się obce narody — on, hetman wielki litewski, zamiast ruszyć w pole, zamiast poświęcić jej ostatnią kroplę krwi, zamiast świat zdziwić jak Leonidas, jak Temistokles, zamiast zastawić ostatni kontusz, jak Sapieha, związał się z jednym z nieprzyjaciół i przeciwko matce, przeciwko własnemu panu podniósł świętokradzką rękę i ubroczył we krwi bliskiej, drogiej... On to wszystko uczynił, a teraz jest u kresu nietylko hańby, ale i życia, porachunku bliski, tam, na tamtej stronie... Co go tam czeka?

Włos jeżył mu się na głowie, gdy o tem myślał. Bo gdy podnosił rękę na ojczyznę, sam sobie wydawał się w stosunku do niej wielki, a teraz zmieniło się wszystko. Teraz on zmalał, a natomiast ta Rzeczpospolita, wstająca z prochu i krwi, wydawała mu się jakaś wielka i coraz większa, grozą tajemniczą pokryta, świętego majestatu pełna, straszna. I rosła ciągle jeszcze w jego oczach i olbrzymiała coraz więcej. Czuł się wobec niej prochem i jako książę i jako hetman i jako Radziwiłł. Nie mógł pojąć, co to jest. Jakieś fale nieznane wzbierały koło niego, płynęły z hukiem, łoskotem, napływały coraz bliżej, piętrzyły się coraz straszniej, a on rozumiał, że utonąć musi, że utonęłoby w tym ogromie takich stu, jak on. Lecz czemuż owej grozy i tajemniczej siły nie widział pierwej; czemuż, szalony, porwał się przeciw niej. Gdy te myśli huczały mu w głowie, strach go brał przed tą matką, przed tą Rzecząpospolitą, bo nie poznawał jej rysów, tak dawniej dobrotliwych i łagodnych.

Duch się w nim łamał i w piersiach zamieszkało mu przerażenie. Chwilami myślał, że otacza go całkiem inny kraj, inni ludzie. Przez oblężone mury dochodziło wszystko, co się w oblężonej Rzeczypospolitej działo, a działy się rzeczy dziwne i przerażające. Rozpoczynała się wojna na śmierć i życie przeciw Szwedom i zdrajcom — tem straszniejsza, że przez nikogo nie przewidywana. Rzeczpospo-

lita poczęła karać. Było w tem coś z gniewu bożego za obrażony majestat.

Gdy przez mury doszła wieść o oblężeniu Częstochowy, Radziwiłł, kalwin, zląkł się i przestrach już nie wyszedł więcej z jego duszy, bo właśnie wtedy, po raz pierwszy, dostrzegł te tajemnicze fale, które wstawszy, miały pochłonąć Szwedów i jego; wtedy najście szwedzkie wydało mu się nie najściem, ale świętokradztwem, a kara niezawodną. Wtedy po raz pierwszy spadła zasłona z jego oczu i ujrzał odmienioną twarz ojczyzny, już nie matki, ale karzącej królowej.

Wszyscy, którzy pozostali jej wierni i służyli z serca i duszy, poszli w górę i wyrastali coraz bardziej, kto przeciw niej grzeszył — upadał.

— Więc nie wolno myśleć nikomu — mówił sobie książę — ni o wyniesieniu własnem, ni rodu swego, jeno żywot, siły i miłość trzeba jej ofiarować?

Ale dla niego było za późno, bo już nie miał nic do ofiarowania, bo już nie miał przed sobą przyszłości, chyba pozagrobową, na której widok drżał.

Od chwili oblężenia Częstochowy, gdy jeden krzyk straszny wyrwał się z piersi niezmiernego kraju, gdy jakoby cudem znalazła się w nim jakaś dziwna, do tej pory zapoznawana i niepojęta siła — gdy nagle rzekłbyś tajemnicza, pozaświatowa ręka podniosła się w jego obronie, nowe zwątpienie wżarło się w duszę książęcą, bo nie mógł opędzić się strasznym myślom, że Bóg stoi przy tamtej sprawie i przy tamtej wierze.

A gdy takie myśli huczały mu w głowie, wtedy o swojej własnej wierze wątpił i wówczas rozpacz jego przechodziła nawet miarę jego grzechów.

Ziemski upadek, duszy upadek, ciemność, nicość — oto do czego doszedł i czego się dosłużył, służąc sobie.

A jednak, jeszcze w początkach wyprawy z Kiejdan na Podlasie pełen był nadziei. Sapieha, nierównie gorszy wódz, bił go wprawdzie w polu, resztki chorągwi go opuszczały,

lecz krzepił się myślą, że lada dzień nadciągnie mu w pomoc Bogusław. Przyleci to młode orlę radziwiłłowskie, na czele pruskich, luterskich zastępów, które śladem litewskich chorągwi do papieżników nie przejdą, a wówczas zgniotą we dwóch Sapiehę, zetrą jego siły, zetrą konfederatów i położą się na trupie Litwy, jako dwa lwy na trupie łani i samym rykiem odstraszą tych, którzyby im chcieli ją wydrzeć.

Lecz czas płynął, siły Janusza topniały; nawet cudzoziemskie regimenty przechodziły do groźnego Sapiehy; upływały dnie, tygodnie, miesiące, a Bogusław nie nadchodził.

Nakoniec rozpoczęło się oblężenie Tykocina.

Szwedzi, których garść przy Januszu została, bronili się bohatersko, bo straszliwemi okrucieństwy poprzednio się zmazawszy, wiedzieli, że nawet poddanie się nie ochroni ich przed mściwą ręką Litwinów. Książę w początkach oblężenia jeszcze miał nadzieję, że w ostatnim razie może sam król szwedzki ruszy mu na odsiecz, a może pan Koniecpolski, który na czele sześciu tysięcy koronnej jazdy przy Karolu się znajdował. Lecz próżno się spodziewał. Nikt o tem nie myślał, nikt z pomocą nie nadciągał.

— Bogusławie! Bogusławie! — powtarzał książę, chodząc po tykocińskich komnatach — jeśli brata nie chcesz ratować, to ratuj przynajmniej Radziwiłła!...

Wreszcie w ostatniej rozpaczy, postanowił książę uczynić krok, na który srodze oburzała się jego duma: to jest błagać o ratunek księcia Michała z Nieświeża.

List jego przejęli jednak w drodze sapieżyńscy ludzie, zaś wojewoda witebski przesłał Januszowi w odpowiedzi pismo księcia krajczego, które przed tygodniem sam otrzymał.

Janusz znalazł w niem ustęp, głoszący co następuje:

„Jeśliby w. w. miłościwego pana mego doszły wieści, iż ja krewnemu, księciu wojewodzie wileńskiemu, w pomoc iść zamierzam, tedy im w. w. pan mój miłościwy nie wierz,

albowiem z tymi ja tylko za jedno trzymam, którzy w wierze ku ojczyźnie i panu naszemu wytrwać, a dawne wolności tej prześwietnej Rzeczypospolitej restaurować pragną. Co się po mnie nie pokaże, abym zdrajców od słusznej i należytej kary miał zasłaniać. Bogusław też nie nadciągnie, bo jako słyszę, elektor o sobie woli myśleć i nie chce sił rozdzielać, a quod attinet Koniecpolskiego, ten chyba do wdowy w konkury posunie, która aby nią została, na rękę mu, by książę wojewoda zgorzał jako najprędzej".

Ten list, do Sapiehy adresowany, odjął nieszczęsnemu Januszowi resztę nadziei i nie pozostało mu nic innego, jak czekać, aby się spełniły jego losy.

Oblężenie dobiegało końca.

Wieść o odjeździe pana Sapiehy tej minuty niemal przedarła się przez mury, ale nadzieja, że wskutek jego odjazdu kroki nieprzyjacielskie zostaną zaniechane, krótko trwała, gdyż przeciwnie, w pułkach pieszych znać było ruch jakiś niezwyczajny. Upłynęło jednak kilka dni dość spokojnie, bo zamiar wysadzenia bramy petardą spełzł na niczem, lecz nadszedł 31 grudnia, w którym tylko zapadająca noc mogła przeszkodzić oblegającym, widocznie bowiem gotowali coś przeciw zamkowi, jeśli nie szturm, to przynajmniej nowy atak dział na nadwątlone mury.

Dzień miał się ku schyłkowi. Książę leżał w sali tak zwanej „Rogowej", położonej w zachodniej części zamku. Na ogromnym kominie paliły się całe smoliste karpy sosnowe, rzucając żywy blask na białe i dość puste ściany. Książę leżał nawznak na tureckiej sofie, wysuniętej umyślnie na środek komnaty, aby ciepło płomieni mogło do niej dochodzić. Bliżej komina, nieco w cieniu, spał na kobierczyku paź, koło księcia zaś siedzieli, drzemiąc na krzesłach: pani Jakimowiczowa, niegdyś dozorczyni fraucymeru w Kiejdanach, drugi paź, medyk, a zarazem astrolog książęcy i Charłamp.

Ten ostatni bowiem nie opuścił księcia, chociaż z dawnych wojskowych został przy nim prawie sam jeden.

Gorzka to była służba, bo serce i dusza starego towarzysza były właśnie za murami tykocińskiemi, w obozie Sapiehy, jednakże trwał wiernie przy dawnym wodzu. Biedne żołnierzysko wychudło z głodu i niewczasów, jak kościotrup. Z twarzy jego został tylko nos, który teraz wydawał się jeszcze większy i wąsy, jak wiechy. Ubrany był w zbroję całkowitą, pancerz, naramienniki i misiurkę z drucianym czepcem, który spływał mu na ramiona. Żelazne karwasze świeciły mu na łokciach, bo tylko co był wrócił z murów, na które przed chwilą wychodził patrzeć, co się dzieje i na których codzień szukał śmierci. Teraz zaś zdrzemnął się ze znużenia, choć książę rzęził straszliwie, jakby konać począł i choć wiatr wył i gwizdał nazewnątrz.

Nagle krótkie drgania poczęły wstrząsać olbrzymiem ciałem Radziwiłła i przestał rzęzić. Zbudzili się zaraz ci, którzy go otaczali i poczęli patrzeć bystro najprzód na niego, potem na siebie.

Lecz on rzekł

— Jakoby mi ktoś z piersi zlazł: lżej mi...

Potem zwrócił nieco głowę, począł patrzeć uważnie ku drzwiom, nakoniec ozwał się:

— Charłamp!

— Sługa waszej ks. mości.

— A czego tu Stachowicz chce?

Pod biednym Charłampem zadygotały nogi, bo o ile nieustraszony był w boju, o tyle zabobonny, więc obejrzał się szybko i rzekł przytłumionym głosem:

— Stachowicza tu niemasz. Wasza ks. mość kazała go w Kiejdanach rozstrzelać.

Książę przymknął oczy i nie odpowiedział ani słowa.

Przez jakiś czas słychać tylko było żałosne i przeciągłe wycie wichru.

— Płacz ludzki w tym wichrze słychać — rzekł znów książę, otwierając całkiem przytomnie oczy. — Ale jam nie sprowadzał Szwedów, jeno Radziejowski.

A gdy nikt nie odpowiedział, po małej chwili dodał:

— On najwięcej winien, on najwięcej winien, on najwięcej winien.

I jakaś otucha wstąpiła mu do piersi, jak gdyby uradowało go wspomnienie, że był ktoś od niego winniejszy.

Wkrótce jednak inne, cięższe myśli musiały mu przyjść do głowy, bo twarz mu pociemniała i powtórzył kilkakrotnie:

— Jezus! Jezus! Jezus!

I znowu napadła go duszność; począł rzęzić jeszcze straszniej, niż poprzednio.

Tymczasem z zewnątrz doszły odgłosy wystrzałów muszkietowych, zrazu rzadkich, potem coraz gęstszych, ale wśród zamieci śnieżnej i wycia wichru nie brzmiały zbyt głośno i można było myśleć, że to rozlegają się jakieś ustawiczne stukania do bramy.

— Biją się! — rzekł medyk książęcy.

— Jako zwyczajnie! — odpowiedział Charłamp. — Ludzie marzną w zamieci, to wolą się bić dla rozgrzewki.

— Szósty już dzień tego wichru i śniegu — odpowiedział medyk. — Wielkie zmiany przyjdą w tem królestwie, bo niezwyczajna to rzecz!

Na to odrzekł Charłamp:

— Daj je Boże! Nie stanie się nic gorszego!

Dalszą rozmowę przerwał im książę, na którego znów przyszła ulga:

— Charłamp!

— Sługa waszej ks. mości.

— Czy mi się ze słabości tak wydaje, czy też Oskierka parę dni temu chciał petardą bramę wysadzić?

— Chciał, wasza ks. mość, ale Szwedzi petardę porwali i sam nieszkodliwie postrzelon, a sapieżyńscy odbici.

— Jeżeli nieszkodliwie, to znów będzie tentował... A który dzień?

— Ostatni grudnia, wasza ks. mość.

— Boże bądź miłościw duszy mojej!... Nie dożyję już Nowego Roku... Dawno mi przepowiadano, iż w każdym piątym roku śmierć stoi koło mnie.

— Bóg łaskaw, wasza ks. mość.

— Bóg jest z panem Sapiehą — odpowiedział książę głucho.

Nagle począł się oglądać i rzekł:

— Zimno na mnie od niej idzie... Nie widzę jej, ale czuję, że ona tu jest.

— Kto taki, wasza ks. mość?

— Śmierć!

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego!

Nastała chwila milczenia, słychać tylko było szept pacierzy, odmawianych przez panią Jakimowiczową.

— Powiedzcie, — ozwał się książę przerywanym głosem, — zali wy naprawdę wierzycie, że poza waszą wiarą nikt zbawion być nie może?

— I w godzinę śmierci można jeszcze od błędów rewokować — odrzekł Charłamp.

Odgłosy wystrzałów stały się w tej chwili jeszcze gęstsze. Huk dział począł wstrząsać szybami, które za każdym razem odpowiadały żałosnem dźwięczeniem.

Książę słuchał czas jakiś spokojnie, poczem uniósł się zlekka na wezgłowiu, zwolna oczy poczęły się rozszerzać, źrenice błyskać. Siadł; przez chwilę trzymał rękoma głowę, nagle krzyknął, jak w obłąkaniu:

— Bogusław! Bogusław! Bogusław!

Charłamp wybiegł jak szalony z komnaty.

Zamek cały trząsł się i dygotał od huku dział.

Nagle dał się słyszeć krzyk kilku tysięcy głosów, poczem targnęło coś z okropnym łomotem ścianami, aż głownie i węgle z komina wysypały się na posadzkę, jednocześnie Charłamp wpadł zpowrotem do sali.

— Sapieżyńscy bramę wysadzili! — krzyknął — Szwedzi uciekli do wieży!... Nieprzyjaciel tuż!... wasza ks. mość...

Dalsze słowa zamarły mu w ustach. Radziwiłł siedział na sofie z oczyma wyszłemi nawierzch; otwartemi ustami łapał raz po raz powietrze, zęby miał wyszczerzone, rękoma

darł sofę, na której siedział i patrząc z przerażeniem w głąb komnaty, krzyczał, a raczej chrapał między jednym oddechem a drugim:

— To Radziejowski... Ja nie... Ratunku!... Czego chcecie?! Weźcie tę koronę!... To Radziejowski... Ratujcie, ludzie! Jezus! Jezus! Marjo!

To były ostatnie słowa Radziwiłła.

Następnie porwała go straszliwa czkawka, oczy wyszły mu jeszcze okropniej z oprawy, wyprężył się, padł nawznak i pozostał bez ruchu.

— Skonał! — rzekł medyk.

— Marji wzywał! słyszeliście, choć kalwin, — ozwała się pani Jakimowiczowa.

— Dorzućcie na ogień! — rzekł do struchlałych paziów Charłamp.

Sam zaś zbliżył się do trupa, przymknął mu powieki, zaczem zdjął z pancerza złocisty obraz Bogarodzicy, który na łańcuszku nosił i ułożywszy ręce Radziwiłła na piersiach, włożył mu go między palce.

Światło ognia odbiło się od złotego tła obrazu, a ów odblask padł na twarz wojewody i rozweselił ją tak, że nigdy nie wydawała się tak spokojna.

Charłamp siadł obok ciała i wsparłszy łokcie o kolana, ukrył oblicze w dłoniach.

Milczenie przerywał tylko huk wystrzałów.

Nagle stało się coś strasznego. Błysnęła najprzód okropna jasność; zdawało się, że świat cały w ogień się zmienił, a jednocześnie niemal rozległ się taki huk, jakoby ziemia zapadała się pod zamkiem. Zachwiały się ściany, pułap zrysował się z przeraźliwym trzaskiem, okna wszystkie runęły na podłogę i szkło szyb rozbiło się w setne okruchy. Przez puste otwory okien wdarły się w tej chwili tumany śniegu i wicher począł wyć ponuro w kątach sali.

Wszyscy ludzie, w komnacie będący, padli twarzami na ziemię, wszyscy oniemieli ze strachu.

Podniósł się pierwszy Charłamp i zaraz spojrzał na

trupa wojewody; ale trup leżał równo, spokojnie, jeno obrazek złocisty przechylił się mu nieco w rękach.

Charłamp odetchnął. Poprzednio był pewien, że to hurma szatanów wdarła się do sali po ciało książęce.

— Słowo stało się ciałem! — rzekł — to Szwedzi musieli wysadzić prochami wieżę i siebie...

Lecz z zewnątrz nie dochodził żaden odgłos. Widocznie wojska sapieżyńskie stały w niemem podziwie, albo może w obawie, że cały zamek jest podminowany i że prochy kolejno wybuchać będą.

— Dorzućcie do ognia! — rzekł pacholętom Charłamp.

I znów komnata zapłonęła jaskrawem, migotliwem światłem. Naokoło trwała cisza śmiertelna, jeno ogień syczał, jeno wicher wył i śnieg walił coraz większy przez puste okna.

Aż nareszcie zabrzmiały zmieszane głosy, potem rozległ się brzęk ostróg i tupot licznych kroków; drzwi od sali otworzyły się narozcież i żołnierze wpadli do środka.

Uczyniło się jasno od gołych szabel i coraz to więcej postaci rycerskich, przybranych w hełmy, kapuzy, kołpaki, tłoczyło się przeze drzwi. Wielu niosło w rękach latarnie i ci świecili niemi, postępując ostrożnie, chociaż w komnacie widno było i tak od ognia.

Nakoniec z tłumu wyskoczył mały rycerz, cały w szmelcowanej zbroi i krzyknął:

— Gdzie wojewoda wileński?

— Tu! — rzekł Charłamp, ukazując na ciało, leżące na sofie.

Pan Wołodyjowski spojrzał i rzekł:

— Nie żyje!

— Nie żyje! nie żyje! — poszedł głos z ust do ust. — Nie żyje zdrajca i przedawczyk!

— Tak jest — rzekł ponuro Charłamp. — Ale jeśli sponiewieracie ciało jego i na szablach je rozniesiecie, źle uczynicie, bo Najświętszej Panny przed skonaniem wzywał i jej konterfekt w ręku dzierży!

Słowa te wielkie uczyniły wrażenie. Krzyki umilkły. Natomiast żołnierze poczęli się zbliżać, obchodzić sofę i przypatrywać się nieboszczykowi. Ci, którzy mieli latarnie, świecili mu niemi w oczy, a on leżał olbrzymi, posępny, z hetmańskim majestatem w twarzy i zimną powagą śmierci.

Żołnierze przychodzili kolejno, a między nimi i starszyzna. Zbliżył się więc Stankiewicz i dwaj Skrzetuscy i Horotkiewicz i Jakób Kmicic i Oskierka i pan Zagłoba.

— Prawda jest!... rzekł cichym głosem pan Zagłoba, jakby bał się zbudzić księcia. — Najświętszą Pannę w rękach trzyma i blask mu od Niej na lica pada...

To rzekłszy, zdjął kołpak z głowy. W tej chwili uczynili to wszyscy inni. Nastało milczenie pełne szacunku, które przerwał wreszcie Wołodyjowski.

— Ach! — rzekł — już on na sądzie bożym i ludzie nic do niego nie mają!

Tu zwrócił się do Charłampa:

— Lecz ty, nieszczęśniku, czemuś to dla niego ojczyzny i pana odstąpił?

— Dawajcie go nam!... ozwało się zaraz kilka głosów.

Na to Charłamp wstał i wyjąwszy szablisko, cisnął ją z brzękiem na ziemię.

— Macie mnie, rozsiekajcie! — rzekł. — Nie odstąpiłem go razem z wami, gdy był potężny jako król, a potem nie godziło mi się go opuszczać, gdy był w mizerji i gdy nikt przy nim nie pozostał. Oj! nie utyłem na tej służbie, bom trzy dni już nic w gębie nie miał i nogi się chwieją pode mną... Ale macie mnie, rozsiekajcie! gdyż i do tego się przyznaję... — tu głos pana Charłampa zadrgał — żem go miłował...

To rzekłszy, zatoczył się i byłby upadł, ale Zagłoba otworzył mu ramiona, chwycił go, podtrzymał, a potem krzyczeć począł:

— Na żywy Bóg! Dajcie mu jeść i pić!...

Trafiło to wszystkim do serca, więc wzięto pana Charłampa pod ręce i wyprowadzono go zaraz z komnaty.

Poczem i żołnierze poczęli ją kolejno opuszczać, żegnając się pobożnie.

W drodze do kwatery pan Zagłoba rozważał coś w umyśle, zastanawiał się, chrząkał, nareszcie pociągnął za połę pana Wołodyjowskiego.

— Panie Michale! — rzekł.

— A czego?

— Już mnie zawziętość na Radziwiłła minęła, co nieboszczyk, to nieboszczyk!... Odpuszczam mu z serca, że na szyję moją nastawał.

— Przed trybunałem on niebieskim! — odrzekł Wołodyjowski.

— Otóż, otóż!... Hm! żeby mu to co pomogło, dałbym zresztą i na mszę, bo widzi mi się, że ma tam okrutnie kruchą sprawę.

— Bóg miłosierny!

— Że miłosierny, to miłosierny, aleć i On bez abominacji na heretyków patrzeć nie może. A to nietylko heretyk, ale i zdrajca. Ot co!

Tu pan Zagłoba zadarł głowę i począł spoglądać ku górze.

— Boję się, — rzekł po chwili, — żeby mi który Szwed, z tych, co się prochami wysadzili, na łeb nie zleciał, bo że ich tam w niebie nie przyjęto, to pewna!

— Dobrzy pachołkowie! — rzekł z uznaniem pan Michał — woleli zginąć niż się poddać. Mało takich żołnierzów w świecie!

Poczem szli w milczeniu, nagle pan Michał zatrzymał się.

— Billewiczówny w zamku nie było — rzekł.

— A skąd wiesz?

— Pytałem onych paziów. Bogusław ją wziął do Taurogów.

— Oj! — rzekł Zagłoba — to jakoby wilkowi kozę powierzono. Ale to nie twoja rzecz, tobie przeznaczona tamta pestka!

ROZDZIAŁ XI.

Lwów od chwili przybycia króla zmienił się w istotną stolicę Rzeczypospolitej. Wraz z królem przybyła większa część biskupów z całego kraju i wszyscy ci świeccy senatorowie, którzy nie służyli nieprzyjacielowi. Wydane lauda zwołały również pod broń szlachtę województwa ruskiego i dalszych przyległych, która stanęła licznie a zbrojno, z tem większą łatwością, że Szwedów wcale w tych stronach nie było. Rosły też oczy i serca na widok tego pospolitego ruszenia, w niczem bowiem nie przypominało ono owego wielkopolskiego, które pod Ujściem tak słabą stawiło nieprzyjacielowi zaporę. Przeciwnie, nadciągała tu groźna i wojownicza szlachta, z dziecka na koniu i w polach hodowana, wśród ciągłych napadów tatarskiej dziczy, przywykła do przelewu krwi i pożogi, lepiej władnąca szablą, niż łaciną. Świeżo jeszcze wyćwiczyła ją chmielnicczyzna, siedem lat bez przerwy trwająca, tak, że nie było między nimi człowieka, którychby tyle razy przynajmniej w ogniu nie był, ile sobie lat liczył. Coraz nowe ich roje przybywały do Lwowa. Jedni ciągnęli od przepaścistych Bieszczadów, inni z nad Prutu, Dniestru i Seretu; którzy siedzieli nad roztoczystym Bohem, których nad Siniuchą nie starła z łona ziemi inkursja chłopska, którzy na tatarskich rubieżach się ostali, ci wszyscy na głos pana dążyli do Lwiego grodu, aby stamtąd na nieznanego jeszcze nieprzyjaciela pociągnąć. Waliła szlachta z Wołynia i z dalszych jeszcze województw, taką nienawiść rozpaliła we wszystkich duszach straszna wieść o podniesieniu przez nieprzyjaciela świętokradzkiej ręki na Patronkę Rzeczypospolitej w Częstochowie.

Zaś kozactwo nie śmiało stawić przeszkód, bo nawet w najzatwardzialszych poruszyły się serca i zresztą samo było od Tatarów zmuszone bić przez posłów czołem królowi i po raz setny przysięgi wierności ponawiać. Groźne dla królewskich nieprzyjaciół poselstwo tatarskie pod wodzą Subaghazi-beja bawiło we Lwowie, ofiarując w imieniu

chanowem sto tysięcy ordy na pomoc Rzeczypospolitej, z której czterdzieści tysięcy mogło zaraz z pod Kamieńca w pole wyruszyć.

Prócz poselstwa tatarskiego zjechała i legacja z Siedmiogrodu dla prowadzenia wszczętych z Rakoczym o następstwo tronu rokowań; bawił i poseł cesarski, był nuncjusz papieski, który razem z królem przyjechał, codzień nadjeżdżały deputacje od wojsk koronnych i litewskich, od województw i ziem z oświadczeniami wierności dla majestatu i chęci obrony do upadłego najechanej ojczyzny.

Rosła tedy fortuna królewska, podnosiła się w oczach ku podziwowi wieków i narodów, tak niedawno zupełnie pognębiona Rzeczpospolita. Rozpaliły się dusze ludzkie żądzą wojny i odwetu, a jednocześnie okrzepły. I jak na wiosnę deszcz ciepły a obfity topi śniegi, tak potężna nadzieja stopiła zwątpienie. Nietylko chciano zwycięstwa, ale wierzono w nie. Coraz to nowe wieści pomyślne, choć często nieprawdziwe, przechodziły z ust do ust. Raz wraz opowiadano to o odebranych zamkach, to o bitwach, w których nieznane pułki pod nieznanymi dotąd wodzami rozgromiły Szwedów, to o strasznych chmurach chłopstwa, podnoszących się jako szarańcza przeciw nieprzyjacielowi. Imię Stefana Czarnieckiego coraz częściej pojawiało się na wszystkich ustach.

Szczegóły o onych wieściach były często nieprawdziwe, ale razem wzięte, odbijały jako zwierciadło to, co się działo w całym kraju.

Lecz we Lwowie było jakoby ustawiczne święto. Gdy król przybył, witało go miasto uroczyście: więc duchowieństwo trzech obrządków, rajcy miejscy, kupiectwo, cechy. Na placach i ulicach, gdzie okiem rzuciłeś, powiewały chorągwie białe, szafirowe, purpurowe, złociste. Dumnie podnosili lwowianie swego złotego lwa w błękitnem polu, z chlubą wspominając zaledwie przeszłe kozackie i tatarskie napady. Za każdem ukazaniem się królewskiem, krzyk się czynił pomiędzy tłumami, a tłumów nigdy nie brakło.

Ludność podwoiła się w ostatnich dniach. Prócz senatorów, biskupów, prócz szlachty, napłynęły i tłumy chłopstwa, bo się rozbiegła wieść, że król zamyśla los chłopski poprawić. Więc sukmany i gunie pomieszały się z żółtemi kapotami mieszczan. Przemyślni Ormianie o smagłych twarzach porozbijali szałasy z towarem i bronią, którą chętnie kupowała zgromadzona szlachta.

Była znaczna liczba i Tatarów przy poselstwie i Węgrzyni i Wołosi i Rakuszanie, moc ludu, moc wojska, moc odmiennych twarzy, moc strojów dziwnych, barwnych, jaskrawych, a rozmaitych, moc służby dworskiej: więc olbrzymich pajuków, hajduków, janczarów, kraśnych kozaków, laufrów z cudzoziemska przybranych.

Na ulicach od rana do wieczora gwar ludzki, przejeżdżanie to chorągwi komputowych, to oddziałów konnej szlachty, krzyki komendy, migotanie zbroi i gołych szabel, rżenie koni, hurkot armat i śpiewy pełne gróźb i przekleństw dla Szweda.

A dzwony w kościołach polskich, ruskich i ormiańskich biły nieustannie, zwiastując wszystkim, że król jest we Lwowie i że Lwów to ze stolic pierwszy, ku wieczystej swej chwale, przyjął króla wygnańca.

Bito mu też czołem, gdzie się tylko pokazał; czapki wylatywały w górę, a okrzyki „vivat!“ wstrząsały powietrzem; bito czołem i przed karocami biskupów, którzy przez okna żegnali zgromadzone tłumy; kłaniano się też i wykrzykiwano senatorom, czcząc w nich wierność dla pana i ojczyzny.

Tak wrzało całe miasto. Nawet nocą palono na placach stosy drzewa, przy których koczowali mimo zimy i mrozu ci, którzy się w kwaterach dla zbytniego ścisku pomieścić nie mogli.

Król zaś trawił dnie całe na naradach z senatorami. Przyjmowano poselstwa zagraniczne, deputacje ziem i wojsk; obmyślano sposoby zapełnienia pustego skarbca pieniędzmi; używano wszelkich sposobów, aby rozniecić wojnę tam wszędzie, gdzie nie płonęła dotąd.

Latali gońcy do miast znaczniejszych, we wszystkie strony Rzeczypospolitej, aż hen do dalekich Prus i na Żmudź świętą; do Tyszowiec, do hetmanów, do pana Sapiehy, który po zburzeniu Tykocina szedł z wojskiem swojem wielkiemi pochodami na południe; szli gońcy i do pana chorążego wielkiego Koniecpolskiego, który jeszcze stał przy Szwedach. Tam, gdzie było trzeba, posyłano zasiłki pieniężne, ekscytowano ospalszych manifestami.

Król uznał, uświęcił i potwierdził konfederację tyszowiecką i sam do niej przystąpił, wziąwszy wodze wszelkich spraw w swe niestrudzone ręce: pracował od rana do nocy, więcej dobro Rzeczypospolitej, niż własny wczas, niż własne zdrowie ważąc.

Lecz jeszcze nie tu był kres jego usiłowań; postanowił bowiem zawrzeć w imieniu swojem i stanów takie przymierze, któregoby żadna potęga ziemska przemóc nie zdołała, a któreby w przyszłości do poprawy Rzeczypospolitej mogło posłużyć.

Nadeszła nareszcie ta chwila.

Tajemnica musiała się przedrzeć od senatorów do szlachty, a od szlachty do pospólstwa, gdyż od rana mówiono, że w czasie nabożeństwa stanie się coś ważnego, że król jakieś uroczyste śluby będzie składał. Mówiono o poprawie losów chłopskich i o konfederacji z niebem; inni wszelako twierdzili, że to są niebywałe rzeczy, których przykładów dzieje nie podają, ale ciekawość była podniecona i powszechnie czegoś oczekiwano.

Dzień był mroźny, jasny, drobniuchne źdźbła śniegu latały po powietrzu, błyszcząc nakształt iskier. Piechota łanowa lwowska i powiatu żydaczowskiegó, w półszubkach błękitnych, bramowanych złotem i pół regimentu węgierskiego, wyciągnęły się w długi szereg przed katedrą, trzymając muszkiety przy nogach; przed nimi, nakształt pasterzy, przechodzili wzdłuż i wpoprzek oficerowie z trzcinami w ręku. Pomiędzy dwoma szpalerami płynął jak rzeka do kościoła tłum różnobarwny. Więc najprzód szlachta i ry-

cerstwo, a za nią senat miejski z łańcuchami pozłocistemi na szyjach i ze świecami w ręku, a prowadził go burmistrz, słynny na całe województwo medyk, przybrany w czarną togę aksamitną i biret; za senatem szli kupcy, a między nimi wielu Ormian w zielonych ze złotem myckach na głowie i w obszernych wschodnich chałatach. Ci, chociaż do innego obrządku należąc, ciągnęli wraz z innymi, by stan reprezentować. Za kupiectwem dążyły cechy z chorągwiami, a więc: rzeźnicy, piekarze, szewcy, złotnicy, konwisarze. szychterze, płatnerze, kordybanci, miodowarzy i ilu tylko innych jeszcze było; z każdego ludzie wybrani szli za swoją chorągwią, którą niósł okazalszy od wszystkich urodą chorąży. Zaczem dopiero waliły bractwa różne i tłum pospolity. w łyczkowych kapotach, w kożuchach, guniach, sukmanach, mieszkańcy przedmieść, chłopi. Nie tamowano przystępu nikomu, dopóki kościół nie zapełnił się szczelnie ludźmi wszelakich stanów i płci obojej.

Nakoniec zaczęły zajeżdżać i karety, lecz omijały główne drzwi, albowiem król, biskupi i dygnitarze mieli osobne wejście bliżej wielkiego ołtarza. Co chwila wojsko prezentowało broń, następnie żołnierze spuszczali muszkiety do nogi i chuchali na zmarznięte dłonie, wyrzucając z piersi kłęby pary.

Zajechał król z nuncjuszem Widonem, potem arcybiskup gnieźnieński z księciem Czartoryskim, potem ksiądz biskup krakowski, ksiądz arcybiskup lwowski, kanclerz wielki koronny, wielu wojewodów i kasztelanów. Ci wszyscy znikali w bocznych drzwiach, a ich karoce, dwory, masztalerze i wszelkiego rodzaju dworscy utworzyli jakby nowe wojska, stojące zboku katedry.

Ze mszą wyszedł nuncjusz apostolski Widon, przybrany na purpurze w ornat biały, naszywany perłami i złotem.

Dla króla urządzono klęcznik między wielkim ołtarzem a stallami, przed klęcznikiem leżał rozpostarty dywan turecki. Kanonickie krzesła zajęli biskupi i świeccy senatorowie.

Różnobarwne światła, wchodzące przez okna w połączeniu z blaskiem świec, od których ołtarz gorzeć się zdawał, padały na twarze senatorskie, ukryte w cieniu kanonickich krzeseł, na białe brody, na wspaniałe postawy, na złote łańcuchy, aksamity i fiolety. Rzekłbyś: rzymski senat, taki w tych starcach majestat i powaga; gdzie niegdzie wśród sędziwych głów widać twarz senatora-wojownika, gdzie niegdzie błyśnie jasna główka młodego panięcia; wszystkie oczy utkwione w ołtarz, wszyscy modlą się; błyszczą i chwieją się płomienie świec; dymy z kadzielnic igrają i kłębią się w blaskach. Z drugiej strony stallów kościół nabity głowami, a nad głowami tęcza chorągwi, jako tęcza kwiatów się mieni.

Majestat króla Jana Kazimierza padł wedle zwyczaju krzyżem i korzył się przed majestatem Bożym. Wreszcie wydobył ksiądz nuncjusz z cyborjum kielich i zbliżył się z nim do klęcznika. Wówczas król podniósł się z jaśniejszą twarzą, rozległ się głos nuncjusza: „Ecce Agnus Dei“ i król przyjął komunję.

Przez jakiś czas klęczał schylony; nakoniec podniósł się, oczy zwrócił ku niebu i wyciągnął obie ręce.

Uciszyło się nagle w kościele, tak, że oddechów ludzkich nie było słychać. Wszyscy odgadli, że chwila nadeszła i że król jakiś ślub będzie czynił; wszyscy słuchali w skupieniu ducha, a on stał ciągle z wyciągniętemi rękoma, wreszcie głosem wzruszonym, ale jak dzwon donośnym, tak mówić począł:

— Wielka człowieczeństwa Boskiego Matko i Panno! Ja, Jan Kazimierz, Twego Syna, Króla królów i Pana mojego i Twojem zmiłowaniem się król, do Twych najświętszych stóp przychodząc, tę oto konfederację czynię: Ciebie za Patronkę moją i państwa mego Królową dzisiaj obieram. Mnie, Królestwo moje Polskie, Wielkie Księstwo Litewskie, Ruskie, Pruskie, Mazowieckie, Żmudzkie, Inflanckie i Czernihowskie, wojsko obojga narodów i pospólstwo wszystkie, Twojej osobliwej opiece i obronie polecam; Twojej pomocy

i miłosierdzia w teraźniejszem utrapieniu królestwa mego, przeciwko nieprzyjaciołom pokornie żebrzę...

Tu padł król na kolana i milczał chwilę, w kościele cisza ciągle trwała śmiertelna, więc wstawszy, tak dalej mówił:

— A że wielkiemi Twemi dobrodziejstwy zniewolony, przymuszony jestem z narodem polskim do nowego i gorącego Tobie służenia obowiązku, obiecuję Tobie, mojem, ministrów, senatorów, szlachty i pospólstwa imieniem, Synowi Twemu Jezusowi i Chrystusowi, Zbawicielowi naszemu, cześć i chwałę przez wszystkie krainy królestwa polskiego rozszerzać, czynić wolę, że gdy za zlitowaniem Syna Twego otrzymam wiktorję nad Szwedem, będę się starał, aby rocznica w państwie mem odprawiała się solennie do skończenia świata, rozpamiętywaniem łaski boskiej i Twojej, Panno Przeczysta!

Tu znów przerwał i klęknął. W kościele uczynił się szmer, lecz głos królewski wnet go uciszył i choć drżał teraz skruchą, wzruszeniem, tak dalej mówił jeszcze donośniej:

— A że, z wielkim żalem serca mego uznaję, dla jęczenia w opresji ubogiego pospólstwa oraczów, przez żołnierstwo uciemiężonego, od Boga mego sprawiedliwą karę przez siedem lat w królestwie mojem różnemi plagami trapiącą nad wszystkich ponoszę, obowiązuję się, iż po uczynionym pokoju starać się będę ze stanami Rzeczypospolitej, usilnie, ażeby odtąd utrapione pospólstwo wolne było od wszelkiego okrucieństwa, w czem Matko miłosierdzia, Królowo i Pani moja, jakoś mnie natchnęła do uczynienia tego wotum, abyś łaską miłosierdzia u Syna Twego uprosiła mi pomoc do wypełnienia tego, co obiecuję.

Słuchało tych słów królewskich duchowieństwo, senatorowie, szlachta, gmin. Wielki płacz rozległ się w kościele, który najprzód w chłopskich piersiach się zerwał i z onych wybuchnął, a potem stał się powszechny. Wszyscy wyciągnęli ręce ku niebu, rozpłakane głosy powtarzały: — Amen! amen! amen! — na świadectwo, że swoje uczucia i swoje

wota ze ślubem królewskim łączą. Uniesienie ogarnęło serca i zbratały się w tej chwili w miłości dla Rzeczypospolitej i jej Patronki. Zaczem radość niepojęta jako czysty płomień rozpaliła się na twarzach, bo w całym tym kościele nie było nikogo, ktoby jeszcze wątpił, że Bóg Szwedów pogrąży.

Król zaś po ukończonem nabożeństwie, wśród grzmotu wystrzałów z muszkietów i dział, wśród gromkich okrzyków: — Wiktorja! wiktorja! niech żyje! — jechał do grodu i tam oną niebieską konfederację wraz z tyszowiecką roborował.

ROZDZIAŁ XII.

Po owych uroczystościach różne wieści zaczęły nadlatywać jako ptastwo skrzydlate do Lwowa. Były dawniejsze i świeże, mniej lub więcej pomyślne, ale wszystkie dodawały ducha. Więc najprzód konfederacja tyszowiecka szerzyła się jak pożar. Kto żyw przystępował do niej, zarówno ze szlachty, jak z pospólstwa. Miasta dostarczały wozów, strzelby i piechoty, Żydzi pieniędzy. Nikt nie śmiał się przeciwić jej uniwersałom; najospalsi na koń siadali. Nadszedł też i groźny manifest Wittemberga, zwrócony przeciw związkowi. Ogień i miecz miał karać tych, którzy do niego przystępowali. Ale sprawiło to taki skutek, jakby kto chciał prochem płomień zasypać. Manifest ów, zapewne za wiedzą królewską i dla tem większego podniesienia zawziętości przeciw Szwedom, rozrzucono w wielkiej ilości egzemplarzy we Lwowie i nie godzi się mówić, co pospólstwo dokazywało z temi papierami, dość, że wiatr je nosił srodze pohańbione po lwowskich ulicach, żacy zaś pokazywali ku uciesze tłumów w jasełkach „Wittembergową konfuzję,“ śpiewając przytem pieśń, poczynającą się od słów:

Witemberku nieboże,
Lepiej zmykaj za morze
Jak zając!

Bo gdy sypną się guzy,
To pogubisz rajtuzy,
Zamykając!

On zaś, jakby czyniąc zadość słowom pieśni, zdał komendę w Krakowie dzielnemu Wirtzowi, a sam udał się śpiesznie do Elbląga, gdzie król szwedzki przebywał wraz z królową, trawiąc czas na ucztach i radując się w sercu, że tak prześwietnego królestwa stał się panem.

Przyszły także do Lwowa doniesienia o upadku Tykocina i rozweseliły umysły. Dziwnem było, że poczęto o tem mówić, nim jakikolwiek goniec przybył. Nie zgadzano się tylko co do tego, czy książę wojewoda wileński umarł, czy w niewoli, twierdzono wszakże, że pan Sapieha na czele znacznej potęgi wszedł już z Podlasia w województwo lubelskie, ażeby się z hetmanami połączyć, że po drodze bije Szwedów i z każdym dniem w siłę rośnie.

Nakoniec od niego samego przybyli posłowie i w znacznej liczbie, bo ni mniej ni więcej tylko całą chorągiew przysłał wojewoda do dyspozycji królewskiej, pragnąc przez to okazać cześć panu, zabezpieczyć od wszelakiej możliwej przygody jego osobę, a może i własne podnieść przez to znaczenie.

Przywiódł ów znak młody pułkownik Wołodyjowski, dobrze królowi znajomy, zaraz też Jan Kazimierz kazał mu stanąć przed sobą i ścisnąwszy za głowę, rzekł:

— Witaj sławny żołnierzyku! Siła upłynęło wody, od kiedy straciliśmy cię z oczu. Bodaj, że pod Beresteczkiem widzieliśmy cię ostatni raz, całego we krwi unurzonego.

Pan Michał pochylił się do kolan pańskich i odrzekł:

— I w Warszawie później, miłościwy panie, byłem też w zamku z dzisiejszym panem kasztelanem kijowskim.

— A służysz ciągle? Nie zachciało ci się to domowych wczasów użyć?

— Bo Rzeczpospolita była w potrzebie, a w onych zawieruchach i substancja przepadła. Nie mam, gdziebym głowę złożył, miłościwy panie, ale sobie nie przykrzę, tak

myśląc, że to dla majestatu i ojczyzny pierwsza żołnierska powinność.

— Bodaj takich więcej! bodaj więcej... Nie panoszyłby się nieprzyjaciel. Da Bóg, przyjdzie czas i na nagrody, a teraz powiadaj, coście z wojewodą wileńskim uczynili?

— Wojewoda wileński na sądzie Bożym. Właśnie wtedy z niego duch wyszedł, gdyśmy do ostatniego szturmu szli.

— Jakże to ono było?

— Oto jest relacja wojewody witebskiego — rzekł pan Michał.

Król wziął pismo i zaczął czytać, ale ledwie zaczął, zaraz przerwał:

— Myli się w tem pan Sapieha, — rzekł, — pisząc, iż wielka litewska buława vacat; nie vacat, bo jemu ją oddaję.

— Niema też nad niego godniejszego — odrzekł pan Michał — i całe wojsko będzie do śmierci waszej kr. mości za ten uczynek wdzięczne.

Uśmiechnął się król na ową prostoduszną konfidencję żołnierską i czytał dalej.

Po chwili westchnął.

— Mógłby Radziwiłł być najpiękniejszą perłą w tej sławnej koronie, gdyby duma i błędy, które wyznawał, nie wysuszyły mu duszy... Stało się! Niezbadane wyroki boskie!... Radziwiłł i Opaliński... prawie w jednym czasie... Sądź ich Panie, nie wedle ich grzechów, ale wedle Twojego miłosierdzia.

Nastało milczenie, poczem król zaczął dalej czytać.

— Wdzięczni jesteśmy panu wojewodzie, — rzekł, skończywszy, — że mi całą chorągiew i największego, jako pisze, kawalera pod rękę przysyła. Ale tu mi bezpieczno, a kawalerowie, zwłaszcza tacy owo, w polu teraz najpotrzebniejsi. Wypocznijcie trochę, a potem was panu Czarnieckiemu w sukurs podeszlę, bo na niego pewnie największy impet się zwróci.

— Dość my już wypoczywali pod Tykocinem. miłościwy panie: — ozwał się z zapałem mały rycerz — teraz chybababy konie trochę odżywić, my zaś moglibyśmy i dziś jeszcze ruszyć, bo z panem Czarnieckim rozkosze będą niewypowiedziane!... Szczęście to wielkie patrzeć w oblicze miłościwego naszego pana, ale do Szwedów też nam pilno.

Król rozpromienił się. Ojcowska dobroć osiadła mu na obliczu i rzekł, patrząc z zadowoleniem na siarczystą postać małego rycerza:

— Tyś to, żołnierzyku, pierwszy pułkownikowską buławę pod nogi nieboszczykowi księciu wojewodzie rzucił?

— Nie pierwszym rzucił, wasza kr. mość, alem pierwszy raz, a daj Boże, ostatni, przeciw dyscyplinie wojennej wykroczył.

Tu zaciął się pan Michał i po chwili dodał:

— Nie lża było inaczej!

— Pewnie — rzekł król. — Ciężkie to były czasy na tych, którzy powinność wojskową rozumieją, ale i posłuch musi mieć swoje granice, za któremi się wina rozpoczyna. Siła tam starszyzny przy Radziwille się ostało?

— W Tykocinie znaleźliśmy z oficyjerów jednego tylko pana Charłampa, który zrazu księcia nie opuściwszy, nie chciał go potem w mizerji opuszczać. Kompasja go jeno przy księciu trzymała, bo afekt przyrodzony do nas ciągnął. Ledwieśmy go odkarmili, taki tam już był głód, a on sobie jeszcze od gęby odejmował, aby księcia pożywić. Teraz tu do Lwowa przyjechał, miłosierdzia waszej królewskiej mości błagać, a i ja do nóg twoich za nim, miłościwy panie, upadam, bo to człek służały i dobry żołnierz.

— Niechże tu przyjdzie — rzekł król.

— Ma on też ważną rzecz waszej królewskiej mości, panu memu miłościwemu, objawić którą był z ust księcia Bogusława w Kiejdanach słyszał, a która zdrowia i bezpieczeństwa świętej dla nas osoby waszej kr. mości attinet.

— Czy nie o Kmicicu?

— Tak jest, miłościwy panie!...

— A ty znałeś Kmicica?

— Znałem i biłem się z nim, ale gdzieby teraz był, tego nie wiem.

— Co o nim myślisz?

— Miłościwy panie, skoro on takiej imprezy się podjął, to niema tych mąk, którychby nie był godzien, bo wyrzutek to z piekła rodem.

— To nieprawda, — rzekł król, — wszystko to księcia Bogusława wymysły... Ale położywszy na stronę ową sprawę, powiadaj, co o tym człeku wiesz z jego dawniejszych czasów?

— Żołnierz to był zawsze wielki i w dziele wojennem niezrównany. Tak jak on Chowańskiego podchodził, że w kilkaset ludzi do utrapienia całą potencję nieprzyjacielską przywiódł, tegoby nikt inny nie potrafił. Cud, że z niego skóry nie zdarto i na bęben nie naciągniono! Gdyby kto był wonczas Chowańskiemu samego księcia wojewodę w ręce wydał, jeszczeby go tak nie usatysfakcjonował, jak z Kmicica podarek mu uczyniwszy... Jakże! do tego doszło, że Kmicic Chowańskiego sztućcami jadał, na jego kobierczyku sypiał, jego saniami i na jego koniu jeździł. Ale potem i dla swoich był ciężki, swawolił okrutnie, kondemnatami instar pana Łaszcza mógł sobie kierejkę podszyć, a już w Kiejdanach całkiem się pogrążył.

Tu pan Wołodyjowski opowiedział szczegółowo wszystko, co zaszło w Kiejdanach.

Jan Kazimierz zaś słuchał chciwie, a gdy wreszcie doszedł pan Michał do tego, jak pan Zagłoba uwolnił najprzód siebie, a potem wszystkich kompanjonów z radziwiłłowskiej niewoli, począł się król za boki brać ze śmiechu.

— Vir incomparabilis! vir incomparabilis! — powtarzał. — A jestże on tu z tobą?

— Na rozkazy waszej kr. mości! — odpowiedział Wołodyjowski.

— Ulissesa ten szlachcic przeszedł! Przyprowadźże mi go do stołu na wesołą chwilę i panów Skrzetuskich z nim razem, a teraz powiadaj, co wiesz więcej o Kmicicu?

— Z listów przy Rochu Kowalskim znalezionych dowiedzieliśmy się dopiero, iż po śmierć nas do Birżów posyłano. Gonił nas jeszcze książę i wojskiem starał się otoczyć, ale nie przykrył. Wymknęliśmy się szczęśliwie... I niedość, bośmy niedaleko Kiejdan Kmicica złapali, którego zaraz na rozstrzelanie ordynowałem.

— Oj! — rzekł król. — To widzę, prędko tam u was na Litwie szło!

— Wszelako przedtem pan Zagłoba kazał go obszukać, jeśli jakowych listów przy sobie nie ma. Jakoż znalazo się pismo hetmańskie, z którego dowiedzieliśmy się, że gdyby nie Kmicic, toby nas do Birżów nie wywożono, ale nie mieszkając, w Kiejdanach rozstrzelano.

— A widzisz! — wtrącił król.

— Potem tedy nie godziło nam się więcej na żywot jego nastawać. Puściliśmy go... Co dalej czynił, nie wiem, ale od Radziwiłła jeszcze nie odszedł. Bóg raczy wiedzieć, co to za człowiek... Łatwiej o każdym innym mieć opinję, niż o takim wichrze. Przy Radziwille został, potem gdzieś jechał... I znowu ostrzegł nas, iż książę z Kiejdan ciągnie. Trudno negować, jak znaczną nam przysługę oddał, bo gdyby nie owo ostrzeżenie, byłby wojewoda wileński na ubezpieczone wojska napadał i pojedyńczo chorągwie znosił... Sam nie wiem, miłościwy panie, co mam myśleć... Jeśli to oszczerstwo, co książę Bogusław powiadał...

— Zaraz się to okaże — rzekł król...

I zaklaskał w dłonie.

— Zawołaj tu pana Babinicza — rzekł do pazia, który ukazał się w progu.

Paź zniknął, a po chwili drzwi komnaty królewskiej otwarły się i stanął w nich pan Andrzej. Pan Wołodyjowski nie poznał go zrazu, był bowiem młody rycerz bardzo zmieniony i wybladły, jako że od ostatniej walki w wąwozie nie mógł jeszcze przyjść do siebie. Patrzył tedy na niego pan Michał, nie poznawając.

— Dziw! — ozwał się wreszcie — gdyby nie chudość

gęby i nie to, że wasza kr. mość inne powiedziała nazwisko, rzekłbym: panie Kmicic!

Król uśmiechnął się i odrzekł:

— Opowiadał mi tu właśnie ów mały rycerz o jednym okrutnym hultaju, który się tak nazywał, ale jam mu jako na dłoni wywiódł, że się w swym sądzie pomylił i pewien jestem, że mi pan Babinicz przyświadczy.

— Miłościwy panie, — odparł prędko Babinicz, — jedno słowo w. kr. mości lepiej tego hultaja oczyści, niż największe moje przysięgi!

— I głos ten sam, — mówił ze wzrastającem zdumieniem mały pułkownik, — jeno tej blizny przez gębę nie było.

— Mości panie, — rzekł na to Kmicic, — łeb szlachecki, to rejestr, na którym coraz inna ręka szablą pisze... Ale jest tu i twoja konotatka, poznajże mnie...

To rzekłszy, schylił podgoloną głowę i wskazał palcem na długą białawą bruzdę, ciągnącą się tuż koło czuba.

— Moja ręka! — krzyknął pan Wołodyjowski — to Kmicic!

— A ja ci mówię, że ty Kmicica nie znasz! — wtrącił król.

— Jakto, miłościwy panie?...

— Boś znał wielkiego żołnierza, ale swawolnika i radziwiłłowskiego w zdradzie socjusza... A tu stoi Hektor częstochowski, któremu Jasna Góra po księdzu Kordeckim najwięcej zawdzięcza, tu stoi obrońca ojczyzny i sługa mój wierny, który mnie własną piersią zastawił i życie mi ocalił, gdym w wąwozach, jako między stadem wilków, dostał się między Szwedów. Taki to ów nowy Kmicic... Poznajże go i pokochaj, bo wart tego!

Pan Wołodyjowski począł ruszać żółtemi wąsikami, nie wiedząc, co rzec, a król dodał:

— I wiedz o tem, że nietylko on nic księciu Bogusławowi nie obiecywał, ale pierwszy na nim za ich praktyki zemstę wywarł, bo go porwał i chciał go w wasze ręce wydać.

— I nas ostrzegł przed księciem wojewodą wileńskim! — zawołał mały rycerz. — Jakiż anioł tak waszmości nawrócił?

— Uściskajcie się! — rzekł król.

— Odrazum waszmości pokochał! — ozwał się pan Kmicic.

Więc padli sobie w objęcia, a król patrzył na to i usta raz po razu, wedle swojego zwyczaju, z zadowoleniem wydymał. Kmicic zaś ściskał tak serdecznie małego rycerza, że aż go w górę podniósł jak kota i nieprędko napowrót na nogi postawił.

Poczem król wyszedł na codzienną naradę, zwłaszcza że i obaj hetmani koronni przybyli do Lwowa, którzy mieli tam wojsko tworzyć, aby później poprowadzić je w pomoc panu Czarnieckiemu i konfederackim oddziałom, uwijającym się pod różnymi wodzami po kraju.

Rycerze zostali sami.

— Pójdź waszmość pan do mojej kwatery, — rzekł Wołodyjowski, — znajdziesz tam Skrzetuskich i pana Zagłobę, którzy radzi usłyszą to, co mnie król jegomość powiadał. Jest też tam i pan Charłamp.

Lecz Kmicic przystąpił do małego rycerza z wielkim niepokojem w twarzy.

— Siła ludzi znaleźliście przy księciu Radziwille? — spytał.

— Ze starszyzny jeden Charłamp był przy nim.

— Nie o wojskowych pytam, dlaboga!... a z niewiast?...

— Zgaduję o co chodzi: — odparł, zapłoniwszy się nieco, mały rycerz — pannę Billewiczównę książę Bogusław wywiózł do Taurogów.

Na to zmieniło się w oczach oblicze Kmicica; więc najprzód stało się blade jak pergamin, potem czerwone, potem jeszcze bielsze, niż poprzednio. Zrazu słowa nie znalazł, jeno nozdrzami parskał, chwytając powietrze, którego widocznie nie stawało mu w piersiach. Następnie

chwycił się obu rękoma za skronie i biegając jak szalony po komnacie, jął powtarzać:

— Gorze mnie, gorze, gorze!

— Chodź waść, Charłamp lepszą ci zda relację, bo był przy tem — rzekł Wołodyjowski.

ROZDZIAŁ XIII.

Wyszedłszy od króla, szli obaj rycerze w milczeniu. Wołodyjowski mówić nie chciał, Kmicic nie mógł, bo go ból i wściekłość kąsały; przebijali się tedy przez tłumy, które się były zebrały na ulicach bardzo licznie, wskutek wieści, że pierwszy zagonik Tatarów, obiecanych przez chana królowi, nadciągnął i ma wejść do miasta, aby się zaprezentować królowi. Mały rycerz prowadził, Kmicic leciał jak błędny za nim, z kołpakiem nasuniętym na oczy, potrącając ludzi po drodze.

Dopiero gdy wyszli na miejsce przestronniejsze, pan Michał chwycił Kmicica za przegub ręki i rzekł:

— Pomiarkuj się waść!... Desperacją nic nie wskórasz!...

— Ja nie desperuję, — odrzekł Kmicic, — jeno mi jego krwi potrzeba!

— Możesz być pewien, że go między nieprzyjaciółmi ojczyzny znajdziesz!

— Tem lepiej! — mówił gorączkowo pan Andrzej — ale choćbym go i w kościele znalazł...

— Dlaboga nie bluźnij! — przerwał co prędzej mały pułkownik.

— Ten zdrajca do grzechu mnie przywodzi!

Zamilkli na chwilę, poczem pierwszy pan Kmicic spytał:

— Gdzie on teraz jest?

— Może w Taurogach, a może i nie. Charłamp będzie lepiej wiedział.

— Chodźmy!

— Już niedaleko. Chorągiew za miastem stoi, a my tu... i Charłamp z nami.

Wtem Kmicic począł oddychać tak ciężko, jak człowiek, który pod stromą górę wchodzi.

— Słabym jeszcze okrutnie — ozwał się.

— Tem większego pomiarkowania waszmości potrzeba, ile że z takim rycerzem będziesz miał sprawę.

— Już raz miałem i ot! co mi po niej ostało.

To rzekłszy, Kmicic ukazał na pręgę w twarzy.

— Powiedzże mi waść, jako to było, bo król jegomość ledwie wspomniał?

Pan Kmicic począł opowiadać i choć przytem zębami zgrzytał i aż kołpaczkiem cisnął o ziemię, jednak myśl jego oderwała się od nieszczęścia i uspokoił się trochę.

— Wiedziałem, żeś waść rezolut, — rzekł mały rycerz, — ale żeby Radziwiłła z pośród jego chorągwi porwać, tegom się i po waćpanu nie spodziewał.

Tymczasem doszli do kwatery. Dwaj Skrzetuscy, pan Zagłoba, dzierżawca z Wąsoszy i Charłamp zajęci byli oglądaniem kożuszków krymskich, które handlujący Tatar przyniósł właśnie do wyboru. Charłamp, który najlepiej znał Kmicica, poznał go też od jednego rzutu oka i opuściwszy kożuszek, zakrzyknął:

— Jezus, Marja!

— Niech będzie imię Pańskie pochwalone! — zawołał dzierżawca z Wąsoszy.

Lecz zanim wszyscy ochłonęli ze zdziwienia, Wołodyjowski rzekł:

— Przedstawiam waszmościom częstochowskiego Hektora i wiernego sługę królewskiego, któren za wiarę, ojczyznę i majestat krew przelewał.

Tu, gdy zdziwienie jeszcze wzrosło, począł zacny pan Michał opowiadać z wielkim zapałem, co od króla o Kmicicowych zasługach, a od samego pana Andrzeja o porwaniu księcia Bogusława słyszał i wreszcie tak skończył:

— Nietylko więc nieprawda to jest, co książę Bogusław

o tym kawalerze powiadał, ale przeciwnie: nie ma on większego wroga od pana Kmicica i dlatego pannę Billewiczównę z Kiejdan wywiózł, aby w jakikolwiek sposób zemstę nad nim wywrzeć.

— I nam ten kawaler życie ocalił i konfederackie chorągwie przed księciem wojewodą ostrzegł — zawołał pan Zagłoba. — Wobec takich zasług, za nic dawne grzechy! Dlaboga! dobrze, że z tobą, panie Michale, nie sam do nas przyszedł, dobrze też, że chorągiew nasza za miastem, bo okrutna w laudańskich przeciwko niemu zawziętość i zanimby zipnął, wprzódby go byli na szablach roznieśli.

— Witamy waszmości całem sercem jako brata i przyszłego kommilitona! — rzekł Jan Skrzetuski.

Charłamp aż się za głowę brał.

— Taki się nigdy nie pogrąży! — mówił — z każdej strony wypłynie i jeszcze sławę na brzeg wyniesie!

— A nie mówiłem wam tego! — wołał Zagłoba — jakem go tylko w Kiejdanach ujrzał, zarazem sobie pomyślał: to żołnierz i rezolut! I pamiętacie, że wnet poczliśmy się w gębę całować. Prawda, że za moją przyczyną Radziwiłł pogrążon, ale i za jego. Bóg mnie natchnął w Billewiczach, żem go nie dopuścił rozstrzelać... Mości panowie, nie godzi się takiego kawalera sucho przyjmować, aby zaś nas o nieszczerość nie posądził!

Usłyszawszy to Rzędzian, wyprawił zaraz Tatara z kożuszkami, a sam zakrzątnął się z pachołkiem około napitków.

Lecz pan Kmicic myślał tylko o tem, aby się od Charłampa o wyzwoleniu Oleńki jak najprędzej wywiedzieć.

— Byłeś waść przy tem? — pytał.

— Prawie, żem się z Kiejdan nie ruszał — odrzekł nosacz. — Przyjechał książę Bogusław do naszego księcia wojewody. Na wieczerzę wystroił się tak, że oczy bolały patrzeć i widać było, że mu panna Billewiczówna bardzo w oko wpadła, bo ledwie że nie mruczał z ukontentowania, jak kot, gdy go po grzbiecie głaszczą. Ale o kocie powiadają, że pacierze odmawia, a książę Bogusław, jeśli je od-

mawiał, to chyba djabłu na chwałę. A przymilał się, a łasił, a zalecał...

— Zaniechaj! — rzekł pan Wołodyjowski — zbyt wielką mękę temu rycerzowi zadajesz!

— Przeciwnie! Mów waść, mów! — zawołał Kmicic.

— Gadał tedy przy stole, — rzekł Charłamp, — iż nie żadna to ujma nawet i Radziwiłłom ze szlachciankami się żenić i że on sam wolałby wziąć szlachciankę, niż one księżniczki, które mu ichmość królestwo francuscy swatali, a których nazwisk nie spamiętałem, bo takie były cudaczne, jakoby kto ogary w kniei nawoływał.

— Mniejsza z tem! — rzekł Zagłoba.

— Owoż, widocznie to mówił, aby oną pannę skaptować, co my zrozumiawszy zaraz, poczęliśmy jeden na drugiego spoglądać i mrugać, słusznie mniemając, że się potrzask na inocencję gotuje.

— A ona? a ona?!... — pytał gorączkowo Kmicic.

— Ona, jako to dziewka z wielkiej krwi i górnej maniery, żadnego nie pokazowała ukontentowania, zgoła na niego nie patrząc, dopieroż gdy o waszmość panu mówić książę Bogusław począł, zaraz w niego utkwiła oczy. Straszna rzecz, co się stało, gdy powiedział, iżeś mu się wasza mość ofiarował za ileś tam dukatów króla porwać i żywego albo umarłego Szwedom dostawić. Myśleliśmy, że dusza z panny wyjdzie, ale cholera na waćpana tak była w niej wielka, że słabość niewieścią przemogła. Jak on też zaczął prawić, z jaką abominacją waszmościne propozycje odrzucił, dopieroż zaczęła go wielbić i wdzięcznie nań spoglądać, a potem już i ręki mu nie umknęła, gdy ją od stołu chciał odprowadzić.

Kmicic oczy dłońmi zatknął.

— Bijże, bij! kto w Boga wierzy! — powtarzał.

Nagle zerwał się z miejsca.

— Bądźcie waszmościowie zdrowi!

— Jakżeto? Dokąd? — pytał Zagłoba, zastąpiwszy mu drogę.

— Król mi permisję da, a ja pojadę i znajdę go! — mówił Kmicic.

— Na rany boskie! czekaj waść! Jeszcześ się wszystkiego nie dowiedział, a szukać go masz czas. Z kim pojedziesz? gdzie go znajdziesz?

Kmicic może byłby nie słuchał, ale sił mu zbrakło, gdyż był ranami wycieńczon, więc obsunął się na ławę i plecami wsparłszy się o ścianę, przymknął oczy.

Zagłoba podał mu kielich wina, a on chwycił go drżącemi rękoma i rozlewając płyn na brodę i piersi, wychylił do dna.

— Niemasz tu nic straconego, — rzekł Jan Skrzetuski,— jeno roztropności trzeba tem większej, że z tak znamienitym panem sprawa. Prędkim uczynkiem, a nagłą imprezą, możesz waćpan zgubić pannę Billewiczównę i siebie.

— Wysłuchaj Charłampa do końca — rzekł pan Zagłoba.

Kmicic zacisnął zęby.

— Słucham cierpliwie.

— Czy chętnie panna wyjeżdżała, — ozwał się Charłamp, — tego nie wiem, bom przy jej wyjeździe nie był; wiem, że pan miecznik rosieński protestował, któremu najprzód perswadowano, potem go w cekhauzie zamknięto, a wreszcie pozwolono wolno do Billewicz odjechać. Panna w złych rękach, niema co ukrywać, bo wedle tego, co o młodym księciu powiadają, bisurmanin żaden na płeć gładką nie jest tak łasy. Gdy mu białogłowa jaka w oko wpadnie, wówczas choćby była zamężna, gotów i o to nie dbać.

— Gorze! gorze! — powtórzył Kmicic.

— Szelma! — krzyknął Zagłoba.

— Dziwno mi tylko to, że ją książę wojewoda zaraz Bogusławowi wydał! — rzekł Skrzetuski.

— Ja nie statysta, — odrzekł na to Charłamp, — więc powtórzę waszmościom jeno to, co oficyjerowie powiadali, a mianowicie Ganchof, który wszystkie arcana książęce wiedział. Słyszałem na własne uszy, jak ktoś wykrzyknął przy

nim: „Nie pożywi się Kmicic po naszym młodym księciu!“ — a Ganchof powiada tak: „Więcej tam polityki w tem wywiezieniu, niż afektu. Żadnej (powiada) książę Bogusław nie daruje, ale byle mu ta panna opór dała, to w Taurogach nie będzie z nią mógł uczynić, jak z innemi; bo hałasyby powstały, tam zaś księżna wojewodzina z córką bawi, na które Bogusław musi się wielce oglądać, gdy do ręki młodej księżniczki pretenduje... Ciężko mu będzie (powiada) cnotliwego udawać, ale w Taurogach musi“.

— Kamień powinien waści spaść z serca! — zawołał pan Zagłoba — bo widać z tego, że nic dziewce nie grozi.

— To czemu ją wywiózł? — wrzasnął Kmicic.

— Dobrze, że się do mnie udajesz, — odpowiedział Zagłoba, — bo ja niejedno wnet wyrozumiem, nad czem kto inny rokby napróżno głowę łamał. Czemu ją wywiózł? Nie neguję, że mu musiała wpaść w oko, ale wywiózł ją i dlatego, aby przez nią wszystkich Billewiczów, którzy są liczni i możni, od nieprzyjacielskich uczynków przeciw Radziwiłłom powstrzymać.

— Może to być! — rzekł Charłamp. — To pewna, że w Taurogach bardzo musi żądze przyrodzone miarkować i *ad extrema* posunąć się nie może.

— Gdzie on teraz jest?

— Książę wojewoda suponował w Tykocinie, że musi być u króla szwedzkiego w Elblągu, do którego po posiłki miał jechać. To pewna, że go teraz w Taurogach niemasz, bo go tam posłańcy nie znaleźli.

Tu Charłamp zwrócił się do Kmicica:

— Chcesz wasza mość posłuchać prostego żołnierza, to powiem, co myślę: Jeżeli tam pannę Billewiczównę już jaka przygoda w Taurogach spotkała, albo jeżeli książę afekt w niej rozbudzić zdołał, to wasza mość nie masz tam poco jechać, jeżeli zaś nie, jeżeli jest przy księżnej pani i z nią razem do Kurlandji pojedzie, to tam bezpieczniejsza, niż gdziekolwiek i lepszego miejsca nie znalazłbyś wasza mość

dla niej w całej tej Rzeczypospolitej, zalanej płomieniem wojny.

— Jeśliś waść taki rezolut, jako powiadają, a jak i ja sam mniemam, — wtrącił Skrzetuski, — to najprzód ci Bogusława dostać, a mając go w ręku, wszystko otrzymasz.

— Gdzie on teraz jest? — powtórzył Kmicic, zwracając się do Charłampa.

— Jużem waszej mości powiedział, — odparł nosacz,— ale wasza mość od zgryzot się zapamiętywasz. Suponuję, że jest w Elblągu i pewnie wraz z Carolusem Gustawem w pole przeciw panu Czarnieckiemu ruszy.

— Waść zaś najlepiej uczynisz, gdy z nami do pana Czarnieckiego ruszysz, bo w ten sposób prędko się z Bogusławem spotkać możecie — rzekł pan Wołodyjowski.

— Dziękuję waszmościom za życzliwe rady! — zawołał Kmicic.

I począł się żegnać żywo ze wszystkimi, oni zaś nie zatrzymywali go, wiedząc, że człek strapiony ni do rozmowy, ni do kielicha niezdatny, natomiast pan Wołodyjowski rzekł:

— Odprowadzę waszmość do arcybiskupiego pałacu, boś tak zalterowan, że jeszcze gdzie na ulicy padniesz.

— I ja! — rzekł Jan Skrzetuski.

— To chodźmy wszyscy! — dodał Zagłoba.

Przypasali więc szable, nałożyli burki ciepłe i wyszli. Na ulicach jeszcze więcej było ludzi, niż poprzednio. Co chwila spotykali oddziały zbrojnej szlachty, żołnierzy, sług pańskich i szlacheckich, Ormian, Żydów, Wołochów, ruskich chłopów z przedmieść popalonych w czasie dwóch napadów nadszedł i że niebawem przeciągnie przez miasto, ażeby prezentować się królowi. Kto żyw chciał widzieć ów czambulik, bo wielka to była osobliwość spoglądać na Tatarów przejeżdżających spokojnie przez ulice grodu. Inaczej dotąd były głów ciekawych. Wszyscy powtarzali, że czambulik już Lwów widywał tych gości, a raczej widywał ich tylko za mu-Chmielnickiego.

Kupcy stali przed swemi sklepami, okna domów pełne

rami, w postaci chmur nieprzejrzanych, na tle płonących przedmieść i okolicznych wiosek. Teraz mieli wjechać jako sojusznicy przeciw Szwedom. To też rycerze nasi zaledwie mogli utorować sobie przez tłumy drogę. Co chwila okrzyki — Jadą! jadą! — przebiegały z jednej ulicy na drugą, a wówczas tłumy zbijały się w tak gęste masy, że ani podobna było kroku postąpić.

— Ha! — rzekł Zagłoba — przystańmy nieco. Panie Michale, przypomną nam się niedawne czasy, gdyśmy to nie zboku, ale wprost w ślepia patrzyli tym skurczybykom. A jaż to i w niewoli u nich siedziałem. Powiadają, że przyszły chan kubek w kubek do mnie podobny... Ale co tam przeszłe zbytki wspominać!

— Jadą! jadą! — rozległo się znów wołanie.

— Bóg serca psubratów odmienił, — mówił dalej Zagłoba, — że zamiast krainy ruskie pustoszyć, w sukurs nam idą... Cud to wyraźny! Bo powiadam wam, iż gdyby za każdego poganina, którego ta stara ręka do piekła wysłała, jeden grzech mi był odpuszczony, jużbym był kanonizowany i wigilję musielibyście do mnie pościć, albo byłbym na wozie ognistym żywcem do nieba porwan.

— A pamiętasz waćpan, jak to było wonczas, gdyśmy to z nad Waładynki od Raszkowa do Zbaraża jechali?...

— Jakże nie pamiętam! Coś to w wykrot wpadł, a ja za nimi przez gąszcza aż do gościńca pognałem. To, jakeśmy po ciebie wrócili, wszystko rycerstwo nie mogło się oddziwić, bo co kierz, to jedna bestja leżała.

Pan Wołodyjowski pamiętał, że wonczas było wcale naodwrót, ale zrazu nic nie odrzekł, bo się bardzo zdumiał, nim zaś ochłonął, głosy po raz dziesiąty, czy któryś poczęły wołać:

— Jadą! jadą!...

Okrzyk stał się powszechny, potem ucichło i wszystkie głowy zwróciły się w tę stronę, z której czambulik miał nadciągnąć. Jakoż zdala ozwała się wrzaskliwa muzyka, tłumy zaczęły się rozstępować ze środka ulicy ku ścianom

domostw, z końca zaś ukazali się pierwsi tatarscy jeźdźcy.

— Patrzcie! i kapelę mają ze sobą, to u Tatarów niezwyczajna rzecz.

— Bo się chcą jak najlepiej zaprezentować, — odrzekł Jan Skrzetuski, — ale przecie niektóre czambuły mają swoich muzykantów, którzy im przygrywają, gdy koszem gdzie na dłuższy czas zapadną. Wyborowy też to musi być komunik!

Tymczasem jeźdźcy zbliżyli się i poczęli przeciągać mimo. Najprzód jechał na srokatym koniu śniady, jakoby w dymie uwędzony Tatar, dwie piszczałki w gębie mający. Ten, przechyliwszy wtył głowę i zamknąwszy oczy, przebierał po owych dudkach palcami, wydobywając z nich tony piskliwe i ostre, a tak szybkie, że ucho zaledwie je ułowić mogło. Za nim jechało dwóch trzymających kije, przybrane na górnych końcach w mosiężne brzękułki i potrząsających niemi jakoby z wściekłością; tuż dalej kilku dźwiękało przeraźliwie w miedziane talerze, inni bili w bębny, inni grali kozacką modą na teorbanach, wszyscy zaś, z wyjątkiem piszczalników, śpiewali, a raczej wyli od czasu do czasu do wtóru dziką pieśń, błyskając przytem zębami i przewracając oczy. Za tą niesforną i dziką muzyką, która przesuwała się jak gomon przed mieszkańcami Lwowa, człapał po cztery konie w rzędzie cały oddział, złożony z około czterystu ludzi.

Był to istotnie wyborowy komunik, na pokaz i cześć królowi polskiemu, do jego rozporządzenia, jako zadatek przez chana przysłany. Dowodził nim Akbah-Ułan z dobrudzkich, zatem najtęższych w boju Tatarów, stary i doświadczony wojownik, wielce w ałusach dla swojego męstwa i srogości szanowany. Jechał on teraz w środku, między muzyką a resztą oddziału, przybrany w różową aksamitną, ale mocno wypłowiałą i za ciasną na jego potężną figurę szubę, wytartemi kunami podbitą. Na brzuchu trzymał piernacz, taki, jakiego zażywali pułkownicy kozaccy. Czerwona jego twarz stała się od chłodnego wiatru siną i kołysał się nieco na wysokiej kulbace, od czasu do czasu spoglądał na boki, albo obracał głowę ku swym Tatarom, jakoby nie był zupełnie

pewien, czy wytrzymają na widok tłumów, niewiast, dzieci, sklepów otwartych, towarów kosztownych i czy nie rzucą się z dzikim okrzykiem na te cuda.

Lecz oni jechali spokojnie, jako psy na sforze prowadzone i bojące się harapa i tylko z ponurych a łakomych spojrzeń można było dociec, co się dzieje w duszach tych barbarzyńców. Tłumy zaś patrzyły na nich ciekawie, chociaż prawie nieprzyjaźnie, tak wielka była w tych stronach Rzeczypospolitej przeciw pogaństwu zawziętość. Od czasu do czasu zrywały się okrzyki — A hu! a hu! — jakoby na wilków. Byli wszelako i tacy, którzy siła sobie obiecywali po nich.

— Okrutnego stracha Szwedzi przed Tatarami mają i ponoś żołnierze dziwy sobie o nich prawią, od czego terror coraz wzrasta — mówili patrzący na Tatarów.

— I słusznie — odpowiadali inni. — Nie rajtarom to Carolusa z Tatarami wojować, którzy a zwłaszcza dobrudzcy i naszej jeździe czasem dotrzymują. Nim się ów ciężki rajtar obejrzy, już go Tatar na arkan weźmie.

— Grzech pogańskich synów w pomoc wzywać! — odzywały się głosy.

— Grzech nie grzech, a taki się przydadzą!

— Bardzo przystojny czambulik! — mówił pan Zagłoba.

Rzeczywiście Tatarzy owi dobrze byli przybrani, w kożuchy białe, czarne i pstre, wełną do góry; czarne łuki i sahajdaki pełne strzał kołysały im się na plecach, każdy miał przytem szablę, co niezawsze w wielkich czambułach bywało, gdyż biedniejsi na takowy zbytek zdobyć się nie mogli, posługując się w ręcznym boju szczęką końską, do kija przywiązaną. Ale byli to ludzie, jak się rzekło, napokaz, więc niektórzy mieli nawet i samopały, pochowane w wojłokowych pokrowcach, a wszyscy siedzieli na dobrych koniach, drobnych wprawdzie, dość chudych i nisko długogrzywe łby noszących, lecz nieporównanej szybkości w biegu.

W środku oddziału szły cztery wielbłądy jeszcze; tłum

zgadywał, że w tych jukach znajdowały się dary chanowe dla króla; ale w tem się mylono, bo chan wolał brać dary, niż dawać; obiecywał wprawdzie posiłki, ale nie darmo.

To też gdy oddział minął, pan Zagłoba rzekł:

— Drogo te auxilia będą kosztowały! Niby to sprzymierzeńcy, ale i oni kraju naniszczą... Po Szwedach i po nich jednego dachu całego w Rzeczypospolitej nie zostanie.

— Pewnie, że okrutnie to ciężki socjusz — odrzekł Jan Skrzetuski. — Znamy ich już!

— Słyszałem jeszcze w drodze, — rzekł pan Michał, — że król nasz jegomość taką umowę zawarł, iż do każdych pięciuset ordyńców ma być dodany nasz oficyjer, przy którym będzie komenda i prawo kary. Inaczej istotnieby ci przyjaciele niebo a ziemię jeno zostawili.

— A tenże czambułek?... Co też król z nim uczyni?

— Do rozporządzenia królewskiego ich chan przysłał, tak prawie jakoby w darze, a chociaż sobie i za nich policzy, przecie król może uczynić z nimi, co zechce i pewnie ich panu Czarnieckiemu razem z nami podeszle.

— No! to już pan Czarniecki w ryzach utrzymać ich potrafi.

— Chybaby mieszkał między nimi, inaczej zaraz za jego oczyma zaczną zbytkować. Nie może być, tylko i tym zaraz oficyjera dodadzą.

— I ten będzie dowodził? A ówże tłusty aga co będzie czynił?

— Jeśli nie trafi na kpa, to będzie rozkazy spełniał.

— Bądźcie waszmościowie zdrowi! bądźcie mi zdrowi! — zakrzyknął nagle Kmicic.

— Dokąd tak śpieszno?

— Panu do nóg paść, aby mi komendę nad tymi ludźmi powierzył!

ROZDZIAŁ XIV.

Tegoż samego dnia Akbah-Ułan bił czołem królowi, a zarazem wręczał mu listy chanowe, w których ten ostatni powtarzał obietnicę wyruszenia w sto tysięcy ordy przeciw Szwedom, byle mu czterdzieści tysięcy talarów zgóry wypłacono i byle pierwsze trawy pokazały się na polach, bez czego, jako że w spustoszonym wojną kraju, trudno byłoby tak wielką moc koni wyżywić. Co zaś do owego czambuliku, to wysłał go teraz chan na dowód miłości ku „najmilszemu bratu", aby i kozacy, którzy o nieposłuszeństwie jeszcze zamyślali, ujrzeli widomy znak, że miłość owa trwa statecznie i że niech jeno pierwszy odgłos o buncie dojdzie uszu chanowych, wówczas mściwy gniew jego spadnie na wszystkie kozactwo.

Król przyjął wdzięcznie Akbah-Ułana i obdarzywszy go pięknym dzianetem, oświadczył, że wyszle go niebawem w pole do pana Czarnieckiego, albowiem chce, aby i Szwedzi przekonali się dowodnie, jako chan daje pomoc Rzeczypospolitej. Zaświeciły się oczy Tatara, gdy usłyszał, iż pod panem Czarnieckim będzie służył, bo go znał z dawnych wojen ukraińskich i narówni ze wszystkimi agami wielbił.

Mniej natomiast spodobał mu się ustęp chanowego listu, proszący króla, aby czambulikowi dodał dobrze znającego kraj oficera, któryby oddział prowadził, a zarazem i ludzi i samego Akbah-Ułana od rabunkų i zbytków nad mieszkańcami powstrzymywał. Wolałby był zapewne Akbah-Ułan nie mieć nad sobą takiego patrona, lecz że wola chanowa i królewska były wyraźne, przeto uderzył tylko czołem raz jeszcze, kryjąc starannie niechęć, a może obiecując sobie w duszy, że nie on przed patronem, ale patron przed nim pokłony będzie wybijał.

Zaledwie Tatar się oddalił i senatorowie odeszli, gdy Kmicic, który przy boku królewskim podczas audjencji się trzymał, padł do nóg pańskich i rzekł:

— Miłościwy panie! Nie godzien jestem łaski, o którą

proszę, ale tyle mi na niej. co właśnie na samem życiu zależy. Pozwól, miłościwy ojcze, abym nad tymi ordyńcami komendę mógł objąć i z nimi zaraz w pole ruszyć.

— Nie odmawiam, — rzekł zdziwiony Jan Kazimierz,— bo lepszego przywódcy trudnoby mi dla nich znaleźć. Trzeba tam kawalera wielkiej fantazji i rezoluta, aby ich w ryzie umiał utrzymać, gdyż inaczej zaraz i naszych zaczną palić, a mordować... Temu się jeno stanowczo przeciwię, byś jutro miał ruszać, nim ci się skóra po szwedzkich rapierach zagoi.

— Czuję, że niechaj mnie jeno wiatr w polu owieje, zaraz słabość mi przejdzie i siła we mnie wstąpi napowrót, a co do Tatarów, to już ja sobie z nimi rady dam i na miękki wosk ich ugniotę.

— Ale co ci tak pilno? Dokąd chcesz iść?

— Na Szweda, miłościwy panie!... Nic tu już więcej nie wysiedzę, bo czegom chciał, to już mam: to jest łaskę twoją i grzechów dawniejszych odpuszczenie... Pójdę do pana Czarnieckiego razem z Wołodyjowskim, albo i zosobna będę nieprzyjaciela podchodził, jako dawniej Chowańskiego, a w Bogu ufam, że mi się poszczęści.

— Nie może inaczej być, tylko jeszcze cię coś innego ciągnie w pole!

— Jako ojcu wyznam i całą duszę wyjawię... Książę Bogusław, nie kontentując się potwarzą, jaką na mnie rzucił, jeszcze dziewkę tę z Kiejdan wywiózł i w Taurogach ją więzi, albo gorzej: bo na jej uczciwość, na jej cnotę, na jej panieńską cześć nastaje... Panie miłościwy!... Rozum mi się w głowie miesza, gdy pomyślę, w jakich to rękach ona nieboga... Na mękę Pańską! mniej te rany bolą... Toż ta dziewka dotąd myśli, żem ja się temu potępieńcowi, temu arcypsu ofiarował na majestat twój, panie, rękę podnieść... i za ostatniego wyrodka mnie ma! Nie wytrzymam, miłościwy królu, nie mogę, póki jego nie dostanę, póki jej nie wydrę... Daj mi, panie, tych Tatarów, a jać przysięgam, że nie swojej jeno prywaty będę dochodził, ale tyle Szwe-

dów natłukę, że ten dziedziniec łbami można będzie wymościć...

— Uspokój się! — rzekł król.

— Gdybym, panie, miał służbę dla prywaty porzucić i obrony majestatu i Rzeczypospolitej zaniechać, wstydby mi było prosić, ale tu się jedno z drugiem schodzi. Przyszła pora Szwedów bić? jaż nic innego nie będę czynił... Przyszła pora zdrajcę ścigać, jaż go będę ścigał do Inflant, do Kurlandji, choćby się do septentrionów, albo nawet za morze do Szwecji schronił, pójdę za nim!

— Mamy wiadomości, jako tuż, tuż Bogusław z Carolusem z Elbląga wyruszy.

— To im pójdę na spotkanie!

— Z takim czambulikiem? Kapeluszem cię przykryją.

— Chowański mnie w ośmdziesiąt tysięcy przykrywał i nie przykrył.

— Co jest wiernego wojska, to pod panem Czarnieckim. Oni na pana Czarnieckiego a n t e o m n i a uderzą!

— Pójdę do pana Czarnieckiego. Tem śpieszniej trzeba mu, miłościwy panie, sukurs dać.

— Do pana Czarnieckiego pójdziesz, ale do Taurogów w tak szczupłej liczbie się nie dostaniesz. Wszystkie zamki na Żmudzi nieprzyjacielowi książę wojewoda wydał i wszędzie szwedzkie prezydja stoją, a one Taurogi, widzi mi się, coś nad samą granicą ruską, od Tylży nieopodal.

— Na samej granicy elektorskiej, miłościwy panie, ale po naszej stronie, a od Tylży będzie cztery mile. Co nie mam dojść, dojdę i nietylko ludzi nie wytracę, ale jeszcze się do mnie po drodze siła rezolutów zbieży. I to rozważ, miłościwy panie, że gdzie się tylko pokażę, tam cała okolica na koń przeciw Szwedom siędzie. Pierwszy będę Żmudź ekscytował, jeżeli kto inny tego nie uczyni. Gdzie to teraz nie można dojechać, gdy w całym kraju, jak w garnku. Już ja zwyczajny obracać się w ukropie.

— Bo i na to nie patrzysz, że Tatarzy może i nie zechcą tak daleko iść za tobą?

— A no! a no! niech jeno nie nie zechcą, niech jeno spróbują: — mówił Kmicic, ściskając na samą myśl zęby — jak ich jest czterystu, czy tam ilu, tak ich każę czterystu powiesić!... Drzew nie zbraknie!... Niech mi się poprόbują buntować...

— Jędrek! — zawołał król, wpadając w dobry humor i wydymając usta — jak mi Bóg miły, tak lepszego pasterza dla tych owieczek nie znajdę! Bierzże ich i prowadź, gdzie ci się żywnie podoba!

— Dziękuję, miłościwy panie! ojcze dobrotliwy! — rzekł rycerz, ściskając kolana królewskie.

— Kiedy chcesz ruszyć? — pytał Jan Kazimierz.

— Boga mi! jutro!

— Może Akbah-Ułan nie zechce, że to konie mają zdrożone?

— To go sobie każę do kulbaki na arkanie przytroczyć i piechotą pójdzie, jeżeli konia żałuje.

— Widzę już, że się z nim uporasz. Przecie dobrych, póki można, sposobów używaj. A teraz... Jędrek... dziś już późno, ale jutro chcę cię jeszcze zobaczyć... Tymczasem, weź ten pierścień, powiesz swojej regalistce, że go od króla masz i że król jej nakazuje, aby jego wiernego sługę i obrońcę statecznie miłowała...

— Dajże Boże! — mówił ze łzami w oczach junak — dajże Boże, abym nie inaczej zginął, tylko w twojej obronie, panie miłościwy.

Tu król cofnął się, bo było już późno, a Kmicic poszedł do swej kwatery do drogi się gotować i rozmyśleć od czego począć, gdzie najpierwej jechać należy?

Przyszły mu na myśl słowa Charłampa, iż jeżeli tylko pokaże się, że księcia Bogusława w Taurogach niema, to najlepiej tam dziewczynę zostawić, bo istotnie z Taurogów, jako leżących na samej granicy, łatwo się było do Tylży, pod elektorską opiekę schronić. Zresztą, jakkolwiek Szwedzi opuścili w ostatniej potrzebie księcia wojewodę wileńskiego, przecie należało się spodziewać, że dla jego wdowy respekt

mieć będą, zatem, byle Oleńka została pod jej opieką, to nic złego spotkać ją nie może. Jeżeli zaś do Kurlandji pojadą, to tem lepiej.

— I do Kurlandji jechać z moimi Tatarami nie mogę, — rzekł sobie Kmicic, — bo to już inne państwo.

Chodził tedy i pracował głową. Godzina płynęła za godziną, on zaś nie pomyślał jeszcze o spoczynku i tak ożywiła go myśl nowej wyprawy, że choć rano jeszcze był słaby, teraz czuł, że wracają mu siły i gotów był zaraz na konia siadać.

Pacholikowie skończyli wreszcie zawiązywanie troków i zbierali się iść na spoczynek, gdy nagle ktoś począł skrobać we drzwi izby.

— Kto tam? — zawołał Kmicic.

Poczem do pacholika:

— Idź-no, obacz!

Pacholik poszedł i rozmówiwszy się za drzwiami, wrócił niebawem.

— Jakiś żołnierz chce pilno widzieć się z waszą miłością. Powiada, że się zwie Soroka.

— Puszczaj, na miły Bóg! — krzyknął Kmicic.

I nie czekając, by pacholik spełnił rozkaz, sam skoczył ku drzwiom.

— Bywaj, miły Soroka! bywaj!

Żołnierz wszedł do izby i pierwszym ruchem chciał paść do nóg swego pułkownika, bo był to raczej przyjaciel i sługa, równie wierny, jak przywiązany, lecz żołnierska subordynacja przemogła, więc wyprostował się i rzekł:

— Na rozkazy waszej miłości!

— Witaj, miły towarzyszu, witaj! — mówił żywo Kmicic — myślałem, że cię tam usiekli w Częstochowie!

I ścisnął go za głowę, a potem jął nawet potrząsać jego rękoma, co mógł uczynić nie pospolitując się zbytnio, gdyż Soroka pochodził z zaścianku, z drobnej szlachty.

Dopieroż i stary wachmistrz jął obejmować kolana pańskie.

— Skąd idziesz? — pytał Kmicic.

— Z Częstochowy, wasza miłość.

— I mnie szukałeś?

— Tak jest.

— A od kogożeście się tam dowiedzieli, żem żyw?

— Od ludzi Kuklinowskiego. Ksiądz Kordecki wielką mszę z radości celebrował na dziękczynienie Bogu. Potem jako gruchnęło, że pan Babinicz przeprowadził króla przez góry, tak już wiedziałem, że to wasza miłość, nikt inny.

— A ksiądz Kordecki zdrów?

— Zdrów, wasza miłość, jeno niewiadomo, czyli go anieli żywcem do nieba lada dzień nie wezmą, bo to święty człowiek.

— Pewnie, że nie inaczej. Gdzieś to się dowiedział, żem z królem do Lwowa przybył?

— Myślałem sobie tak: skoro wasza miłość króla odprowadzał, to musi przy nim być, bałem się wszelako, że wasza miłość już może w pole wyruszył i że się spóźnię.

— Jutro z Tatary ruszam!

— To się dobrze stało, bo ja waszej miłości trzosów odwożę pełnych dwa: ten co był na mnie i jegomościn, a oprócz tego one kamuszki świecące, cośmy je z kołpaków bojarom zdejmowali i te, które wasza miłość zabrał wtedy, gdyśmy to skarbczyk Chowańskiego zagarnęli.

— Dobre były czasy, gdyśmy skarbczyk ogarnęli, ale nie musi tam tego już wiele być, bom też przygarstkę księdzu Kordeckiemu zostawił.

— Nie wiem, ile jest, jeno ksiądz Kordecki właśnie mówił, że możnaby za to dwie tęgie wsie kupić.

To rzekłszy Soroka, zbliżył się do stołu i począł zdejmować z siebie trzosy.

— A kamuszki w onej blaszance — dodał, kładąc obok trzosów żołnierską manierkę na wódkę.

Pan Kmicic nic nie mówiąc, wytrząsnął w garść nieco

czerwonych złotych, bez rachuby i rzekł do wachmistrza:

— Masz!

— Do nóg upadam waszej miłości! Ej! żeby to ja miał w drodze choć jeden takowy dukacik!

— Albo co? — spytał rycerz.

— Bom okrutnie z głodu osłabł. Mało gdzie teraz człeka kawałkiem chleba poczęstują, bo każdy się boi, to i nogi wkońcu ledwie z głodu wlokłem.

— Na miły Bóg! przecieś to wszystko miał przy sobie!

— Nie śmiałem bez permisji — rzekł krótko wachmistrz.

— Trzymaj! — rzekł Kmicic, podając mu drugą garść.

Poczem krzyknął na pacholików:

— Nuże, szelmy! Jeść mu dać, nim pacierz minie, bo łby pourywam!

Pacholikowie skoczyli jeden przez drugiego i wkrótce stanęła przed Soroką ogromna misa wędzonej kiełbasy i flaszka z wódką.

Żołnierz wpił pożądliwe oczy w posiłek, wargi i wąsy mu drgały, lecz siąść przy pułkowniku nie śmiał.

— Siadaj, jedz! — zakomenderował Kmicic.

Ledwie skończył, już sucha kiełbasa poczęła chrzęścić w potężnych szczękach Soroki. Dwaj pacholikowie patrzyli na niego, wytrzeszczając oczy.

— Ruszajcie precz! — zawołał Kmicic.

Chłopcy kopnęli się co duchu za drzwi; rycerz zaś chodził śpiesznemi krokami po komnacie i milczał, nie chcąc przeszkadzać wiernemu słudze. Ten zaś, ilekroć nalał sobie kieliszek gorzałki, tylekroć spoglądał zukosa na pułkownika w obawie, czy zmarszczenia brwi nie dostrzeże, poczem wychylał napitek, zwracając się ku ścianie.

Kmicic chodził, chodził, wreszcie począł sam z sobą rozmawiać.

— Nie może być inaczej! — mruczał — trzeba tam tego posłać... Każę powiedzieć jej... Nanic! Nie uwierzy!... Listu czytać nie zechce, bo mnie za zdrajcę i psa ma...

Niech jej w oczy nie lezie, jeno niechaj patrzy i mnie da znać, co się tam dzieje.

Tu zawołał nagle:

— Soroka!

Żołnierz zerwał się tak szybko, że mało stołu nie przewrócił i wyciągnął się jak struna.

— Wedle rozkazu!

— Tyś człek wierny i w potrzebie frant. Pojedziesz w daleką drogę, ale nie o głodzie.

— Wedle rozkazu!

— Do Taurogów, na granicę pruską. Tam panna Billewiczówna mieszka... u księcia Bogusława... Dowiesz się, czy on tam jest... i będziesz miał na wszystko oko... Jej w oczy nie leź, chyba, iżby się zdarzyło, żeby samo wypadło. Wonczas powiesz jej i zaprzysięgniesz, żem króla przez góry przeprowadził i że przy jego osobie jestem. Ona ci pewnie nie uwierzy, bo mnie tam książę oczernił, że na zdrowie majestatu nastaję, co jest łgarstwo psa godne!

— Wedle rozkazu!

— W oczy, powiedziałem, nie leź, bo i tak ci nie uwierzy... Ale gdyby się zdarzyło, powiedz, co wiesz. A bacz na wszystko i słuchaj! A sam się pilnuj, bo jeżeli książę tam jest i jeśli cię pozna, on, albo ktokolwiek z dworu, to cię na pal wbiją!

— Wedle rozkazu!

— Byłbym posłał starego Kiemlicza, ale on na tamtym świecie, bo w parowie usieczon, a synowie są głupi. Ci pójdą ze mną. Byłeś w Taurogach?

— Nie, wasza miłość.

— Pójdziesz do Szczuczyna, stamtąd samą granicą pruską, hen! aż do Tylży. Taurogi będą o cztery mile naprzeciw, po naszej stronie. Siedź w Taurogach tak długo, póki wszystkiego nie wymiarkujesz, a potem wracaj. Znajdziesz mnie tam, gdzie będę... Rozpytuj o Tatarów i pana Babinicza. A teraz ruszaj spać do Kiemliczów!... Jutro w drogę!

Po tych słowach Soroka odszedł, Kmicic zaś długo jeszcze spać się nie kładł, ale wreszcie zmęczenie przemogło. Wówczas rzucił się na łoże i zasnął snem kamiennym.

Nazajutrz wstał orzeźwion wielce i silniejszy, niż wczoraj. Cały dwór już był na nogach i rozpoczęły się zwykłe dzienne czynności. Kmicic poszedł najprzód do kancelarji po nominację i po list żelazny, następnie odwiedził Subaghazi beja, naczelnika chanowego poselstwa we Lwowie i miał z nim długą rozmowę.

W czasie tej rozmowy zanurzał pan Andrzej po dwakroć rękę w kalecie. Zato też, gdy wychodził, Subaghazi pomieniał się z nim na kołpaki, wręczył mu piernacz z zielonych piór i kilka łokci również zielonego jedwabnego sznura.

Zaopatrzony w ten sposób, wrócił pan Andrzej do króla, który był właśnie ze mszy przyjechał, więc padł jeszcze raz młody junak do nóg pańskich, poczem w towarzystwie Kiemliczów i pachołków udał się wprost za miasto, gdzie Akbah-Ułan stał z czambułem.

Stary Tatar przyłożył na jego widok rękę do czoła, ust i piersi, ale dowiedziawszy się, kto jest Kmicic i z czem przyjechał, wnet nasrożył się; twarz mu pociemniała i oblokła się dumą.

— Skoro cię król na przewodnika przysłał, — rzekł do Kmicica w łamanym rusińskim języku, — to będziesz mi drogę pokazywał, chociaż ja i sam trafiłbym, gdzie potrzeba a tyś młody i niedoświadczony.

— Zgóry mi przeznacza, czem mam być, — pomyślał Kmicic, — ale póki można, będę politykował.

Tu ozwał się głośno:

— Akbahu-Ułanie, król mnie tu na wodza, nie na przewodnika przysyła... I to ci powiem, że lepiej uczynisz, woli jego kr. mości nie negując.

— Nad Tatarami chan, nie król stanowi! — odrzekł Akbah-Ułan.

— Akbahu-Ułanie, — powtórzył z naciskiem pan Andrzej, — chan darował cię królowi, jakoby mu psa albo

sokoła darował, dlatego nie uwłaczaj mu, aby cię zaś jako psa na powróz nie wzięto.

— Ałła! — krzyknął zdumiony Tatar.

— Ejże, nie rozdrażniaj mnie! — odrzekł Kmicic.

Lecz oczy Akbaha- Ułana krwią zaszły. Przez czas jakiś słowa nie mógł przemówić; żyły na karku mu spęczniały, ręka chwyciła za kindżał.

— Kęsim! kęsim! — krzyknął przyduszonym głosem.

Ale i pan Andrzej, chociaż obiecał sobie politykować, miał już dosyć, gdyż bardzo z natury był porywczy. Więc w jednej chwili podrzuciło nim coś tak, jakby go gadzina żgnęła, całą dłonią porwał Tatara za rzadką brodę i zadarłszy mu głowę do góry tak, jak gdyby mu coś na pułapie chciał pokazać, począł mówić przez zaciśnięte zęby:

— Słuchaj, kozi synu! Wolałbyś nikogo nad sobą nie mieć, by palić, rabować, wycinać!... Przewodnikiem chcesz mnie mieć! Ot, masz przewodnika! masz przewodnika!

I przyparłszy go do ściany, począł tłuc głowę jego o zrąb.

Puścił go wreszcie osłupiałego, ale nie sięgającego już do noża. Kmicic, idąc za popędem swej gorącej krwi, odkrył mimowoli najlepszy sposób przekonywania ludzi wschodnich, do niewolnictwa przywykłych. Jakoż w potłuczonej głowie Tatara, mimo całej wściekłości, jaka go dusiła, błysnęła zaraz myśl, jak potężnym i władnym być musi ów rycerz, który z nim, Akbah-Ułanem, postępuje w ten sposób, i okrwawione wargi jego powtórzyły po trzykroć wyraz:

— Bagadyr! Bagadyr! Bagadyr!

Kmicic tymczasem nałożył na głowę kołpak Subaghaziego, wyciągnął zielony piernacz, który aż dotąd umyślnie trzymał za plecami, za pas wetknięty, i rzekł:

— Patrz tu, rabie! i tu!

— Ałła! — ozwał się przerażony Ułan.

— I tu! — dodał Kmicic, wydobywając sznur z kieszeni.

Lecz Akbah-Ułan leżał już u jego nóg i bił czołem.

W godzinę później Tatarzy wyciągnęli się długim wężem po drodze, wiodącej ze Lwowa ku Wielkim Oczom, a pan Kmicic, siedząc na dzielnym cisawym koniu, którego król mu podarował, oganiał czambuł, jak pies owczarski ogania owce. Akbah-Ułan spoglądał na młodego junaka z przestrachem i podziwieniem.

Tatarzy, znawcy ludzi wojennych odgadli na pierwszy rzut oka, że pod tym wodzem nie zbraknie im krwi i łupu, więc szli ochotnie, ze śpiewaniem i graniem.

Kmicicowi zaś serce rosło, gdy patrzył na owe postacie, podobne do zwierząt leśnych, bo przybrane w kożuchy i wielbłądzie kaftany wełną do góry. Fala dzikich głów kołysała się pod miarę końskich ruchów, on zaś liczył je i rozmyślał, co będzie można z taką potęgą przedsięwziąć.

— Osobliwszyż to komunik, — myślał sobie — i tak mi się wydaje, jakobym stadu wilków przywodził, ale z takimi właśnie można przejść całą Rzeczpospolitą i całe Prusy przetratować. Czekajże, książę Bogusławie!

Tu chełpliwe myśli poczęły mu napływać do głowy, gdyż do chełpliwości wielce był skłonny.

— Bóg dał człeku obrotność, — mówił sobie, — wczoraj miałem jeno dwu Kiemliczów, a dziś czterysta koni za mną człapie. Niech jeno taniec rozpocznę, będę miał tysiąc, albo i dwa takich hultajów, żeby się ich i dawni kompanjonowie nie powstydzili... Czekajże, książę Bogusławie!

Lecz po chwili, dla uspokojenia sumienia, dodał:

— A przytem ojczyźnie i majestatowi znacznie usłużę...

I wpadł w wyborny humor. Bawiło go też niezmiernie i to, że szlachta, Żydzi, chłopi, nawet większe kupki pospolitego ruszenia, nie mogły się oprzeć w pierwszej chwili przerażeniu na widok jego wojska. A była mgła, bo odwilż przesyciła wilgotnym tumanem powietrze. Więc coraz to się zdarzało, że ktoś nadjeżdżał blisko i nagle spostrzegłszy kogo ma przed sobą, wykrzykiwał:

— Słowo stało się ciałem!

— Jezus, Marja, Józef!

— Tatarzy! orda!

Lecz Tatarzy mijali spokojnie bryki, wozy ładowne, stada koni i przejeżdżających. Inaczejby było, gdyby wódz pozwolił, ale samowolnie nic przedsięwziąć nie śmieli, bo na własne oczy patrzyli przy wyruszeniu, jako temu wodzowi sam Akbah-Ułan strzemię trzymał.

Tymczasem Lwów już zniknął wdali za mgłami. Tatarzy przestali śpiewać i czambuł poruszał się zwolna wśród tumanów pary, podnoszącej się z koni. Nagle tętent rumaka rozległ się za czambułem.

Po chwili ukazało się dwóch jeźdźców. Jeden z nich był pan Wołodyjowski, drugi dzierżawca z Wąsoszy. Obaj, pomijając oddział, pędzili wprost do pana Kmicica.

— Stój! stój! — wołał mały rycerz.

Kmicic wstrzymał konia.

— To wasza mość!

Wołodyjowski osadził zkolei szkapę.

— Czołem! — rzekł — listy od króla! Jeden do waszmości, drugi do wojewody witebskiego.

— Jaż do pana Czarnieckiego jądę, nie do pana Sapiehy.

— Przeczytaj jeno najprzód pismo!

Kmicic złamał pieczęć i czytał co następuje:

„Dowiadujemy się przez gońca, świeżo od pana wojewody witebskiego przybyłego, jako pan wojewoda nie może tu do krajów małopolskich ciągnąć i z drogi znów na Podlasie nawraca, a to z przyczyny księcia Bogusława, który z wielką potęgą nie przy królu szwedzkim zostawa, lecz na Tykocin i na pana Sapiehę uderzyć zamyśla. Że zaś m a g n a p ar s sił pana sapieżyńskich na prezydjach zostać musiała, przeto rozkazujemy ci, abyś z owym tatarskim komunikiem panu wojewodzie szedł w pomoc. A gdy i twojej ochocie w ten sposób zadość się czyni, niepotrzebniebyśmy mieli ci pośpiech nakazywać. Drugi list oddasz wojewodzie, w którym pana Babinicza, wiernego sługę naszego afektom wojewo-

dzińskim, a przedewszystkiem opiece Boskiej polecamy. — Jan Kazimierz, król".

— Na miły Bóg! na miły Bóg! Oto szczęśliwa dla mnie nowina! — zawołał Kmicic. — Nie wiem już jako królowi jegomości i waszmości panu mam za nią podziękować!

— Sam też podjąłem się jechać, — odrzekł mały rycerz, — a to z kompasji dla waszmości, bom widział twoją boleść i dlatego, aby listy na pewno doszły.

— Kiedyż ów goniec przyszedł?

— Byliśmy u króla na obiedzie, ja, dwaj panowie Skrzetuscy, pan Charłamp i pan Zagłoba. Nie wyimainujesz sobie waćpan, co tam pan Zagłoba wyprawiał, jako o niezaradości Sapja i swoich zasługach opowiadał. Dość, że królowi aż ślozy od ustawicznego rzechotania się płynęły, a obaj hetmani za boki bezustanku się trzymali. Wtem wszedł pokojowiec z listem, na którego król zaraz się obruszył: „Idź do kata (rzecze), może zła nowina, nie psuj mi uciechy!" Dopieroż gdy się dowiedział, że to od pana Sapiehy, zabrał się do czytania. Jakoż złą nowinę wyczytał, bo się potwierdziło to, o czem już dawno mówiono, że elektor przysięgi wszystkie złamał i ostatecznie przeciw prawemu panu z królem szwedzkim się połączył.

— Jeszcze jeden wróg, jakoby ich mało dotąd było! — krzyknął Kmicic.

I złożył ręce.

— Boże wielki! Niech mi jeno na tydzień pan Sapieha do Prus Książęcych pozwoli, a da Bóg miłosierny, że dziesiąte pokolenia mnie i moich Tatarów wspominać będą!...

— Może to być, że tam pójdziecie, — odrzekł pan Michał, — ale wprzód musicie Bogusława znosić, gdyż właśnie wskutek onej elektorskiej zdrady zaopatrzono go w ludzi i na Podlasie mu iść dozwolono.

— To się spotkamy, jako dziś dzień, jako Bóg na niebie, tak się spotkamy! — mówił z iskrzącemi oczyma Kmicic. — Gdybyś mi waszmość nominację na województwo wileńskie przywiózł, nie ucieszyłbyś mnie lepiej!

— Król też zaraz zakrzyknął: „Gotowa dla Jędrka ekspedycja, od której dusza się w nim uraduje“. Chciał też wnet pokojowego za waścią wysłać, ale ja powiadam: Sam pojadę, to go jeszcze pożegnam.

Kmicic przechylił się na koniu i chwycił małego rycerza w objęcia.

— Bratby tyle dla mnie nie uczynił, ileś już waszmość uczynił! Dajże Boże czemkolwiek się wywdzięczyć!

— Ba! Przecie waćpana rozstrzelać chciałem.

— Bom też czego lepszego był nie wart. Nic to! Niech mnie w pierwszej bitwie usieką, jeżeli pomiędzy wszystkiem rycerstwem bardziej kogo od waćpana miłuję!...

Tu znowu poczęli się ściskać, na pożegnanie zaś rzekł pan Wołodyjowski:

— A pilnuj się z Bogusławem! pilnuj się, bo z nim niełatwo!

— Jednemu z nas już śmierć pisana!

— Dobrze!

— Ej, żebyś to waszmość, któryś jest do szabli jenjusz, swoje arkana mi odkrył! Cóż! niema czasu!... Ale i tak anieli mi pomogą i krew jego obaczę, chyba, że przedtem oczy moje zamkną się na zawsze na światło dzienne.

— Bóg pomagaj!... Szczęśliwej drogi!... A dajcie tam dzięgielu zdrajcom Prusakom! — rzekł pan Wołodyjowski.

— Bądźcie spokojni. Obrzydnie im luterstwo!

Tu pan Wołodyjowski kiwnął na Rzędziana, który przez ten czas z Akbahem-Ułanem rozmawiając, dawne przewagi Kmicica nad Chowańskim rozpowiadał, poczem obaj odjechali zpowrotem do Lwowa.

Kmicic zaś zawrócił z miejsca czambułem, jako woźnica wozem zawraca i poszedł wprost ku północy.

ROZDZIAŁ XV.

Jakkolwiek Tatarzy, a zwłaszcza dobrudzcy, umieli zbrojnym mężom w polu piersią do piersi stawać, przecie

najmilszą dla nich wojną był mord bezbronnych, branie niewiast i chłopów w jasyr, a przedewszystkiem grabież. Wielce też przykrzyła się droga owemu czambulikowi, który prowadził Kmicic, pod żelazną bowiem jego ręką dzicy wojownicy musieli w baranków się zmienić, trzymać noże w pochwach, a zgaszone hubki i zwinięte łyka w biesagach. Z początku szemrali.

Około Tarnogrodu, kilkunastu umyślnie pozostało wtyle, aby puścić „czerwone ptaki“ w Chmielewsku i poswawolić z mołodyciami. Lecz pan Kmicic, który już się ku Tomaszowowi posunął, wrócił na pierwszy odblask pożogi i kazał winnym wywieszać się wzajemnie. A tak już był opanował Akbah-Ułana, że ten nietylko oporu nie stawiał, ale przynaglał skazanych, aby prędzej się wieszali, gdyż inaczej „bagadyr“ będzie się gniewał. Odtąd „barankowie“ szli spokojnie, zbijając się w najciaśniejsze kupy po wsiach i miasteczkach, aby na którego podejrzenie nie padło. I egzekucja, choć ją tak srodze przeprowadził Kmicic, nie wzbudziła nawet przeciw niemu niechęci, ani nienawiści, takie już bowiem miał szczęście ów zabijaka, że zawsze podwładni tyle właśnie czuli dlań miłości, ile i strachu.

Prawda, że pan Andrzej nie dał i im krzywdy uczynić. Kraj był srodze przez niedawny napad Chmielnickiego i Szeremeta spustoszony, więc o żywność i paszę, jako na przednowku, było trudno, a mimo tego wszystko musiało być na czas i w bród, a w Krynicach, gdy mieszkańcy opór stawili i nie chcieli żadnej spyży dostarczyć, kazał ich kilku pan Andrzej siec batożkami, podstarościego zaś uderzeniem obuszka rozciągnął.

Ujęło to niezmiernie ordyńców, którzy słuchając z lubością wrzasków bitych kryniczan, mówili pomiędzy sobą:

— Ej! sokół nasz Kmitah, nie da swoim barankom krzywdy uczynić!

Dość, że nietylko nie pochudli, ale spaśli się jeszcze, ludzie i konie. Stary Ułan, któremu brzucha przybyło, spo-

glądał z coraz większym podziwem na junaka i językiem mlaskał.

— Gdyby mi synaAłłach dał, chciałbym mieć takiego. Nie marłbym na starość z głodu w ałusie! — powtarzał.

Kmicic zaś od czasu do czasu uderzał go pięścią w brzuch i mówił:

— Słuchaj wieprzu! Jeśli ci Szwedzi kałduna nie rozetną, to wszystkie śpiżarnie w niego schowasz!

— Gdzie tu Szwedzi? Łyka nam pogniją, łuki popróchnieją — odpowiedział Ułan, któremu tęskno było za wojną.

Jakoż istotnie jechali najprzód takim krajem, do którego noga szwedzka dojść nie zdołała, dalej zaś takim, w którym były swego czasu prezydja, ale już je konfederacja wyparła. Spotykali natomiast wszędzie mniejsze i większe kupy szlachty, ciągnące zbrojno w rozmaite strony i niemniejsze kupy chłopstwa, które nieraz zastępowały im groźnie drogę, a którym często trudno było wytłumaczyć, że mają do czynienia z przyjaciółmi i sługami króla polskiego.

Doszli wreszcie do Zamościa. Zdumieli się Tatarzy na widok tej potężnej fortecy, a cóż dopiero, gdy im powiedziano, że niedawno jeszcze wstrzymała ona całą potęgę Chmielnickiego.

Pan Jan Zamoyski, ordynat, pozwolił im na znak wielkiej przychylności i łaski wejść do miasta. Wpuszczono ich bramą Szczebrzeszyńską, albo inaczej Ceglaną, gdyż dwie inne były z kamienia. Sam Kmicic nie spodziewał się ujrzeć nic podobnego i nie mógł wyjść z podziwu na widok ulic szerokich, włoską modą pod linję równo budowanych, na widok wspaniałej kolegjaty i burs akademickich, zamku, murów, potężnych dział i wszelkiego rodzaju „opatrzenia". Jak mało który z magnatów mógł się porównać z wnukiem wielkiego kanclerza, tak mało która forteca z Zamościem.

Lecz największy zachwyt ogarnął ordyńców, gdy ujrzeli ormiańską część miasta. Nozdrza ich chciwie wciągały woń safjanu, którego wielkie fabryki prowadzili przemyślni

przybysze z Kaffy, a oczy śmiały im się do bakalij, wschodnich kobierców, pasów, sadzonych szabel, gindżałów, łuków, lamp tureckich i wszelkiego rodzaju kosztowności.

Sam pan cześnik koronny wielce przypadł do serca Kmicicowi. Było to prawdziwe królewiątko w swoim Zamościu: człek w sile wieku, wielce przystojny, chociaż nieco cherlawy, gdyż w leciech pierwszej młodości niedość upały natury hamował. Zawsze jednak lubił płeć białą, a zdrowie jego nie dotyla było nadwątlone, aby wesołość znikła mu z oblicza. Dotychczas nie ożenił się, a jakkolwiek najznamienitsze domy w Rzeczypospolitej otwierały mu szeroko podwoje, utrzymywał, że nie może dość gładkiej dziewki w nich znaleźć. Znalazł ją później nieco, w osobie młodej panienki francuskiej, która lubo w innym zakochana, oddała mu bez wahania dla jego bogactw swą rękę, nie przewidując, że ów pierwszy wzgardzony ozdobi kiedyś koroną królewską swoją i jej głowę.

Pan Zamościa nie odznaczał się bystrym dowcipem, jeno go miał tyle, co na własną potrzebę. O godności i urzędy nie zabiegał, chociaż same szły ku niemu, a gdy przyjaciele strofowali go, iż mu przyrodzonej ambicji braknie, odpowiadał:

— Nieprawda, że mi jej braknie, jeno mam więcej od tych, którzy się kłaniają. Poco mi dworskie progi wycierać? W Zamościu nietylko ja Jan Zamoyski, ale Sobiepan Zamoyski.

Zwano go też powszechnie Sobiepanem, z którego przezwiska wielce był kontent. Rad też udawał prostaka, chociaż wychowanie odebrał wykwintne i młodość na podróżach po cudzych krajach spędził. Sam powiadał się zwyczajnym szlachcicem i dużo o mierności swego „staniku“ mawiał, może dlatego, by mu inni zaprzeczali, a może, by mierności dowcipu nie spostrzegli. Zresztą był to człek zacny i lepszy syn Rzeczypospolitej od wielu innych.

A jako on przypadł do serca Kmicicowi, tak i Kmicic

jemu, przeto też go na pokoje zamkowe zaprosił i gościł, bo i to lubił, by jego gościnność chwalono.

Pan Andrzej poznał w zamku wiele znamienitych osób, przedewszystkiem zaś księżnę Gryzeldę Wiśniowiecką, siostrę pana Zamoyskiego, a wdowę po wielkim Jeremim, po panu swego czasu w Rzeczypospolitej prawie największym, który jednakowoż całą niezmierną fortunę w czasie inkursji kozackiej był utracił, tak, iż księżna siedziała w Zamościu, na łasce u brata Jana.

Lecz była to pani tak pełna wspaniałości, majestatu i cnoty, iż pierwszy pan Jan prochy przed nią zdmuchiwał, a przytem bał się jej, jak ognia. Nie było też wypadku, żeby woli jej zadość nie uczynił lub żeby się jej w ważniejszych wypadkach nie radził. Powiadali nawet dworscy, że księżna pani rządzi Zamościem, armją, skarbami i panem bratem starostą; lecz ona nie chciała korzystać ze swej przewagi, całą duszą oddana boleści po mężu i wychowaniu syna.

Syn ów właśnie był niedawno z dworu wiedeńskiego na krótki czas do kraju powrócił i bawił przy niej. Był to młodzieńczyk w wiośnie lat; lecz naprożno pan Kmicic szukał w nim tych znamion, które syn wielkiego Jeremiego nosić w obliczu powinien.

Postać młodego książątka była pełna wdzięku; twarz duża, nalana, wypukłe oczy patrzyły nieśmiało; usta miał grube, wilgotne, jak u ludzi skłonnych do uciech stołu; olbrzymie i czarne jak skrzydło kruka włosy, spadały mu aż na ramiona. Wziął też po ojcu tylko owe krucze włosy i smagłość cery.

Ci, którzy mu byli bliżsi, upewniali jednak pana Kmicica, że młody książę ma duszę szlachetną, pojęcie niepospolite i znakomitą pamięć, dzięki której prawie wszystkiemi językami rozmówić się może i że tylko pewna ociężałość ciała i ducha, oraz przyrodzone łakomstwo w jedzeniu, stanowią wady tego niepospolitego skądinąd panięcia.

Jakoż, wdawszy się z nim w rozmowę, przekonał się pan Andrzej, że książę nietylko ma pojętny dowcip i trafny

sąd o wszystkiem, ale i dar jednania sobie ludzi. Kmicic pokochał go po pierwszej rozmowie tem uczuciem, w którem jest najwięcej litości. Uczuł, że dałby wiele by temu sierocie wrócić świetny los, jaki mu się prawem z urodzenia należał.

Lecz przekonał się także przy pierwszym obiedzie, iż prawdą było, co mówiono o łakomstwie Michała. Młody książę zdawał się nie myśleć o niczem więcej tylko o jedzeniu. Wypukłe jego oczy śledziły niespokojnie każdą potrawę, a gdy mu przynoszono półmisek, nabierał ogromne kupy na talerz i jadł chciwie, z mlaskaniem wargami, jak tylko łakomcy jadają. Marmurowa twarz księżnej przyoblekała się na ów widok jeszcze większym smutkiem. Kmicicowi zaś stało się nieswojo, tak dalece, że odwrócił oczy i spojrzał na pana Sobiepana Zamoyskiego.

Lecz pan starosta kałuski nie patrzył ani na księcia Michała, ani na swego gościa. Kmicic poszedł za jego wzrokiem i poza ramieniem księżnej Gryzeldy ujrzał prawdziwie cudne zjawisko, którego nie zauważył dotąd.

Była to malutka główka dziewczęcia, biała jak mleko, kraśna jak róża, a wdzięczna jak obrazek. Drobniuchne, same przez się wijące się loczki, zdobiły jej czoło, bystre oczki strzygły ku oficerom, siedzącym wedle pana starosty, nie pomijając i jego samego; wreszcie zatrzymały się na panu Kmicicu i patrzyły nań z uporem, tak pełnym zalotności, jakby mu chciały w głąb serca zajrzeć.

Lecz Kmicic niełatwo się konfundował; więc jął zaraz patrzeć w te oczki zgoła zuchwale, a następnie trącił w bok siedzącego podle pana Szurskiego, porucznika nadwornej pancernej chorągwi ordynackiej i spytał półgłosem:

— A co to za firka ogoniasta?

— Mości panie, — odrzekł ostro pan Szurski, — nie mów lekce, kiedy nie wiesz o kim mówisz... Nie żadna to firka, jeno panna Borzobohata Krasieńska... I waćpan inaczej jej nie zwij, jeśli nie chcesz swojej grubianitatis żałować!

— Aspan chyba nie wiesz, że firka to taki ptak i bardzo wdzięczny, dlatego też żadnego w tem przezwisku kontemptu niemasz, — odparł, śmiejąc się Kmicic, — ale miarkując z waszmościnej cholery, srodze musisz być zakochany!

— A kto tu nie zakochany? — mruknął opryskliwie Szurski — sam pan starosta ledwie oczu nie wypatrzy i jako na szydle siedzi.

— Widzę to, widzę!

— Co tam waćpan widzisz!... On, ja, Grabowski, Stołągiewicz, Konojadzki, Rubecki z dragonji, Pieczynga, wszystkich pogrążyła... I z waćpanem stanie się to samo, jeżeli tu długo posiedzisz. Jej dwudziestu czterech godzin dosyć!

— Ej, panie bracie! Nie dałaby i we dwadzieścia cztery miesiące rady!

— Jakżeto? — pytał z oburzeniem pan Szurski — tośwaść ze spiżu, czy co?

— Nie! Jeno gdy kto waćpanu ostatniego talara z kieszeni ukradnie, to się już nie potrzebujesz bać złodzieja...

— Chyba, że tak! — odrzekł Szurski.

Kmicic zaś sposępniał nagle, bo mu własne zgryzoty na myśl przyszły i nie zważał więcej, że czarne oczki coraz to uporczywiej w niego patrzyły, jak gdyby pytając: Jak się nazywasz i skąd się wziąłeś, młody rycerzu?

A Szurski mruczał:

— Wierci, wierci!... Wierciła tak i we mnie, póki do serca nie dowierciła... Teraz ani dba!

Kmicic otrząsnął się z zamyślenia.

— Czemu się który z was nie żeni, u kaduka!

— Bo jeden drugiemu przeszkadza!

— Ba, to dziewka gotowa osiąść na koszu... Choć, coprawda, jeszcze w tej gruszce białe ziarnka być muszą.

Na to Szurski wytrzeszczył oczy i pochyliwszy się do ucha Kmicica, rzekł wielce tajemniczo:

— Mówią, że jej dwadzieścia pięć lat, jak Boga

kocham! Jeszcze przed inkursją hultajską była u księżnej Gryzeldy.

— Dziw nad dziwy, nie dałbym jej nad szesnaście, niechby ośmnaście. najwyżej!

Tymczasem „licho“ domyśliło się widocznie, że o niem mowa, bo oczki jarzące nakryło powiekami i jeno boczkiem trochę strzelało ku Kmicicowi, pytając ciągle: Ktoś jest, taki urodziwy? skąd się wziąłeś?

A on mimowoli począł pokręcać wąsa.

Po obiedzie wziął go pod ramię pan starosta kałuski, który z uwagi na dworne maniery Kmicica, traktował go jak niepowszedniego gościa.

— Panie Babinicz, — rzekł, — wszakże waszmość mówiłeś mi, żeś z Litwy?

— Tak jest, panie starosto.

— Powiedzże mi, zali nie znasz na Litwie Podbipiętów?

— Znać nie znam, bo też już ich na świecie niemasz, przynajmniej tych, którzy się Zerwikapturem pieczętowali. Ostatni pod Zbarażem poległ. Był to największy rycerz, jakiego Litwa wydała. Kto u nas o Podbipiętach nie wie!

— Słyszałem i ja o tem. ale owo dlaczego pytam: jest na respekcie u siostry mojej jedna panna, która się Borzobohata Krasieńska nazywa... Ród zacny!... Była ona narzeczoną tego Podbipięty, który zabit pod Zbarażem. Sierota to, bez ojca i matki. a chociaż siostra księżna wielce ją miłuje, przecie ja, przyrodzonym opiekunem siostry będąc, tem samem mam i oną dziewczynę w opiece.

— Miłaż to opieka! — wtrącił Kmicic.

Pan starosta kałuski uśmiechnął się, mrugnął oczyma i mlasnął językiem:

— Co? marcepanik! co?...

Lecz wnet spostrzegłszy, iż się zdradza, przybrał twarz poważną.

— Zdrajco! — rzekł pół żartem, a pół serjo — chciałeś mnie na hak przywieść, ledwiem się nie wygadał!...

— Z czem? — pytał pan Kmicic, patrząc mu bystro w oczy.

Tu Sobiepan ostatecznie zmiarkował, że lotnością dowcipu gościowi nie sprosta i zaraz rzecz obrócił.

— Ten Podbipięta — rzekł — zapisał jej jakoweś folwarki, tam w waszych stronach. Nazwisk nie pamiętam, bo cudaczne: jakieś Bałtupie, Syruciany, Myszykiszki, słowem, wszystko co miał. Dalibóg nie pamiętam... Pięć czy sześć folwarków.

— Ba! klucze to raczej, nie folwarki. Podbipięta był człek wielce możny i gdyby ta panna do całej jego fortuny kiedyś doszła, mogłaby mieć własny fraucymer i między senatorami męża szukać.

— Także powiadasz? Znasz owe wioski?

— Znam jeno Lubowicze i Szeputy, bo te koło mojej majętności leżą. Samej leśnej granicy będzie mil ze dwie, a polnej i łącznej drugie tyle.

— Gdzież to jest?

— W Witebskiem.

— Oj! daleko, nie warta ta sprawa zachodu, ile że tamte kraje pod nieprzyjacielem.

— Jak nieprzyjaciół wyżeniem, to do majętności dojdziem. Ale Podbipiętowie mają swoje majętności i w innych stronach, a na Żmudzi bardzo znaczne, wiem o tem dobrze, bo mam też i tam kawał ziemi.

— Widzę, że i waszmościna substancja nie torba sieczki?

— Nic to teraz nie przynosi. Ale cudzego mi nie trzeba.

— Poradźże mi waszmość, jakby dziewczynę na nogi postawić?

Kmicic rozśmiał się.

— Wolę o tem radzić, niż o czem innem. Najlepiej do pana Sapichy się udać. Byle sprawę wziął do serca, to jako wojewoda witebski i najznamienitsza na Litwie persona, siła mógłby wskórać.

— Mógłby awizy do trybunałów rozesłać, że to testa-

mentem Borzobohatej zapisano, aby dalsi krewni nie szarpali.

— Tak jest. Ale trybunałów teraz niemasz, a pan Sapieha co innego też ma na głowie.

— Możnaby dziewczynę w ręce mu i w opiekę oddać. Mając ją na oczach, prędzejby dla niej co uczynił.

Kmicic spojrzał ze zdziwieniem na pana starostę.

— Co on w tem ma, że się chce jej stąd pozbyć? — pomyślał.

Starosta zaś mówił dalej:

— Trudno, aby w obozie, w namiocie pana wojewody witebskiego mieszkała, ale mogłaby przy córkach wojewodzińskich zostawać.

— Nie rozumiem! — pomyślał Kmicic — zaliby on naprawdę chciał jej być tylko opiekunem?

— W tem jeno trudność, jakby ją w tamte strony w dzisiejszych niespokojnych czasach wysłać. Trzebaby z kilkaset ludzi, a ja Zamościa ogałacać nie mogę. Gdybym to znalazł kogo, coby ją w bezpieczeństwie dowiózł... Ot, waćpan mógłbyś się podjąć, bo i tak do pana Sapiehy idziesz. Dałbym ci listy... a waćpan dałbyś mi kawalerski parol, że ją bezpiecznie doprowadzisz.

— Ja mam ją do pana Sapiehy prowadzić? — rzekł ze zdumieniem Kmicic.

— Alboż to taka funkcja niemiła... Choćby też i do afektu po drodze przyszło?

— Ehe! — rzekł Kmicic — już tam moje afekty kto inny dzierżawi, a choć tenuty mi nie płaci, przecie dzierżawcy zmieniać nie myślę.

— Tem lepiej, z tem większą spokojnością ci ją powierzę.

Nastała chwila milczenia.

— Co? podjąłbyś się? — spytał starosta.

— Z Tatarami idę.

— Powiadali mi ludzie, że się Tatarzy waćpana gorzej ognia boją. No, co? podjąłbyś się?

— Hm! dlaczegoby nie, gdybym waszą wielmożność miał tem zobowiązać... Jeno...

— Aha! myślisz, że trzeba aby księżna permisję dała... Da! jak mi Bóg miły! Bo imaginuj sobie, że ona mnie posądza...

Tu pan starosta począł coś długo szeptać do ucha Kmicicowi, wreszcie dodał głośno:

— Okrutnie była za to na mnie krzywa, a ja uszy kładłem po sobie, bo to z babami wojować! at! wolałbym Szwedów pod Zamościem. Ale będzie miała najlepszy dowód, że nic złego nie zamyślam, skoro sam dziewkę chcę stąd wyprawić. Srodze się zdziwi, prawda... No! przy pierwszej sposobności o tem z nią pogadam.

To rzekłszy starosta, zakręcił się i odszedł, Kmicic zaś popatrzył za nim i mruknął:

— Wniki jakieś, panie starosto, zastawiasz, a choć celu nie rozumiem, przecie sidło widzę dobrze, bo i wnicznik z ciebie okrutnie niezgrabny.

Pan starosta zaś kontent był z siebie, chociaż dobrze to pojmował, że połowa dopiero roboty została dokonana, a pozostawała druga, tak trudna, że na myśl o niej ogarniało go zwątpienie, a nawet i strach: poprostu należało uzyskać pozwolenie księżnej Gryzeldy, której surowości i przenikliwego rozmumu bał się pan starosta z całej duszy.

Jednak począwszy, pragnął jak najprędzej doprowadzić dzieło do skutku, nazajutrz więc rano po mszy, po śniadaniu i po przeglądzie najemnej piechoty niemieckiej udał się na pokoje księżnej.

Zastał samą panią, haftującą ornat do kolegjaty. Za nią Anusia zwijała rozwieszony na dwóch krzesłach jedwab; drugi motek koloru różanego założyła na szyję i migając szybko rączkami, biegała naokoło krzeseł, goniąc odwijającą się nitkę.

Panu staroście pojaśniały oczy na jej widok, ale prędko

przybrał oblicze w powagę i przywitawszy się z księżną, tak niby od niechcenia zaczął:

— Ten pan Babinicz, co tu z Tatary przyjechał to jest Litwin. Możny jakiś człek i wielce grzeczny, a rycerz podobno zawołany. Zauważyłaś go, pani siostro?

— Samżeś go do mnie przyprowadzał — odrzekła obojętnie księżna Gryzelda. — Uczciwą ma twarz i na dobrego żołnierza wygląda.

— Rozpytywałem się go też o owe majętności pannie Borzobohatej zapisane. Powiada, że to fortuna niemal radziwiłłowskiej równa.

— Daj Boże Anusi. Lżejsze jej będzie sieroctwo, a potem starość — rzekła pani.

— Jest jeno to periculum, żeby dalsi krewni nie rozdrapali. Babinicz powiada, że wojewoda witebski mógłby, gdyby chciał, tem się zająć. Zacny to człek i nam wielce życzliwy, któremu'bym córkę własną powierzył... Dośćby mu awizę do trybunału posłać i opiekę oznajmić. Ale Babinicz powiada, iż na to potrzeba, aby panna Anna sama pojechała w tamte strony.

— Dokąd? do pana Sapiehy?

— Albo do panien Sapieżanek, aby tam była, aby instalacja pro forma mogła być uczyniona.

Wojewoda zmyślił w tej chwili „instalację pro forma", słusznie mniemając, że księżna przyjmie tę fałszywą monetę za dobrą.

Ona zaś pomyślała przez chwilę i rzekła:

— Jakże jej tu teraz jechać, gdy Szwedzi po drodze?

— Mam właśnie wiadomość, że z Lublina ustąpili. Cały kraj z tej strony Wisły wolny.

— I któżby to Hankę do pana Sapiehy odprowadził?

— Choćby ten sam Babinicz.

— Z Tatarami? Bójże się Boga, panie bracie, toż to lud dziki i niesforny.

— Ja się tam nie boję — wtrąciła, dygając Anusia.

Lecz księżna Gryzelda zmiarkowała już, że pan brat

przyszedł z jakimś gotowym planem, więc wyprawiła Anusię z pokoju. sama zaś poczęła spoglądać pytającym wzrokiem na pana starostę.

On zaś rzekł, jakby do siebie samego:

— Ordyńcy ci w proch się przed Babiniczem rozsypują. Wiesza ich za lada niesubordynację.

— Nie mogę na taką ekspedycję pozwolić — odpowiedziała księżna. — Dziewczyna jest zacna. ale bałamutna i łatwo w ludziach zapały budzi... Sam to wiesz najlepiej. Nigdybym jej nie powierzyła człeku młodemu i nieznanemu.

— Nieznany on tam nie jest, bo kto o Babiniczach nie słyszał, jako o familjantach i statecznych ludziach (pierwszy pan starosta nigdy w życiu o Babiniczach nie słyszał)! Zresztą — mówił dalej — mogłabyś jej którą że statecznych niewiast do kompanji dodać, to i decorum byłoby zachowane. Za Babinicza ja ręczę. Powiem ci i to, pani siostro, że ma on w tamtych stronach narzeczoną, w której srodze jest, jak sam powiada, zakochany... A kto zakochany, temu co innego w głowie. Grunt w tem, że taka druga sposobność nieprędko może się trafić; natomiast może fortuna dziewie przepaść i na dojrzałe lata zostanie bez dachu nad głową.

Księżna przestała haftować, podniosła głowę i utkwiła w bracie przenikliwe oczy.

— Co ty masz w tem. żeby ją stąd wyprawić?

— Co ja mam w tem? — mówił spuszczając wzrok pan starosta — co mogę mieć? nic!

— Janie!... tyś się z Babiniczem zmówił na jej cnotę?!

— Ot, jest! Jak mi Bóg miły! tego tylko brakło. Przeczytasz tedy list, który do pana Sapiehy napiszę i własny dodasz... A jać jeno przyrzekam, iż się z Zamościa nie ruszę. Wreszcie sama Babinicza wybadasz i sama go prosić będziesz, aby się funkcji podjął. Skoro mnie posądzasz, to nie chcę o niczem wiedzieć.

— Czemu zaś tak nastajesz, by ona wyjechała z Zamościa?

— Bo jej dobra pragnę i o fortunę niezmierną chodzi.

Wreszcie... przyznaję! Siła mi na tem zależy, aby ona z Zamościa wyjechała. Oto sprzykrzyły mi się twoje posądzenia, nie w smak i to, że na mnie ustawicznie brwi marszczysz i surowie spoglądasz... Myślałem, że przyzwalając na odjazd dziewczyny, znajdę najlepsze argumentum przeciw podejrzeniom. Dalibóg! dość mi tego, bom też nie żaden żak, ani mydłek, który się nocą pod okna skrada... Powiem ci więcej: oficerowie mi się przez nią jeden na drugiego burzą i szablami na się trzaskają, ni zgody, ni porządku, ni służby, jak należy. Dość mi tego! Ale skoro jeszcze oczyma we mnie świdrujesz, to rób, jak chcesz, a Michała sama pilnuj, bo to twoja, nie moja sprawa.

— Michała? — rzekła ze zdumieniem księżna.

— Ja przeciw dziewczynie nic nie mówię... Nie bałamuci go więcej niż innych, ale jeśli ty, pani siostro, nie widzisz jego strzelistych spojrzeń i gorących afektów, to ci jeno to powiem, że i Kupido tak nie zaślepia, jak macierzyńska miłość.

Brwi księżnej ściągnęły się, a lica jej przybladły.

Starosta zaś, widząc, że wreszcie utrafił, uderzył się rękoma po kolanach i mówił dalej:

— Ot, tak! pani siostro, ot tak!... Co mnie do tego! Niechże jej Michałek jedwab do zwijania podaje, niech parska, patrząc na nią, niech się płoni, niech przez dziurki we drzwiach na nią spogląda!... A mnie co!... Wreszcie... bo ja wiem!... Fortuna piękna... ród! no! szlachecki, a ja się tam nad szlachtę nie wynoszę. Chcesz sama, dobrze! Lata jeno ponoś niedobrane, ale to znów nie moja rzecz.

To rzekłszy, pan starosta powstał i skłoniwszy się siostrze bardzo uprzejmie, zabierał się do odejścia.

Księżnej tymczasem krew napłynęła do twarzy. Dumna pani w całej Rzeczypospolitej nie widziała partji godnej Wiśniowieckiego, a zagranicą chyba między arcyksiężniczkami austrjackiemi, więc też słowa brata przypiekły ją jakby rozpalonem żelazem.

— Janie! — rzekła — czekaj!

— Pani siostro, — odrzekł starosta kałuski, — chciałem, primo: złożyć ci dowód, iż niesłusznie mnie posądzasz, secundo: iż powinnaś kogo innego pilnować. Teraz uczynisz, jak zechcesz, jać nie mam więcej nic do gadania.

Tu pan Zamoyski skłonił się i wyszedł.

ROZDZIAŁ XVI.

Pan starosta kałuski niezupełnie kłamał przed siostrą, mówiąc o afektach Michałowych dla Anusi, gdyż młode książątko kochało się w niej tak, jak i wszyscy, nie wyłączając paziów dworskich. Ale była to miłość niezbyt gwałtowna i zgoła nie przedsiębiorcza; raczej słodkie rozdurzenie głowy i zmysłów, nie poryw serca, które miłując, do wiecznego posiadania umiłowanego przedmiotu dąży. Do takiego dążenia nie miał Michał dość energji.

Niemniej księżna Gryzelda, marząc o świetnej przyszłości dla syna, przeraziła się mocno tem uczuciem.

W pierwszej chwili zdumiała ją nagła zgoda pana starosty na wyjazd Anusi; obecnie przestała o tem myśleć. tak dalece całą jej duszę zajęło grożące niebezpieczeństwo. Rozmowa z synem. który bladł i drżał przed nią, a wprzód. nim się do czego przyznał, już począł łzy wylewać, utwierdziła ją w mniemaniu, że niebezpieczeństwo jest groźne.

Jednakże nie odrazu przezwyciężyła skrupuły sumienia i dopiero gdy Anusia, której chciało się nowy świat i nowych ludzi zobaczyć. a może i pobałamucić pięknego kawalera, przypadła jej do nóg z prośbą o pozwolenie. księżna nie znalazła dość siły, by go jej odmówić.

Anusia zalewała się wprawdzie łzami na myśl rozłąki ze swą panią i matką. ale dla sprytnej dziewczyny było zupełnie jasnem, że prosząc o rozłąkę, oddala tem samem od siebie wszelkie podejrzenia, jakoby w jakichś zgóry powziętych celach bałamuciła młode książątko lub też samego pana starostę.

Księżna Gryzelda, chcąc się przekonać, czy niema jakiej zmowy między bratem starostą a Kmicicem, kazała temu ostatniemu stawić się przed sobą. Przyrzeczenie pana starosty, że nie ruszy się z Zamościa, uspokoiło ją wprawdzie znacznie, chciała jednak poznać bliżej człowieka, który miał dziewczynę przeprowadzać.

Rozmowa z Kmicicem uspokoiła ją zupełnie.

Młodemu szlachcicowi patrzyła z siwych oczu taka szczerość i prawda, że niepodobna było o niej wątpić. Przyznał się odrazu, że w innej zakochany i przeto do bałamuctwa nie ma ni chęci, ni głowy. Wreszcie dał parol kawalerski, iż dziewczynę obroni przed wszełką przygodą, chybaby sam pierwej głową nałożył.

— Do pana Sapiehy ją dowiozę bezpiecznie, gdyż starosta powiadał, że nieprzyjaciel i z Lublina ustąpił... Ale potem nie chcę nic o niej wiedzieć... I nie dlatego, abym powolnych służb dla waszej ks. mości miał się wzdragać, bo dla wdowy po największym wojowniku i chwale całego narodu gotówem zawsze krew przelać... Ale że mam tam swoje ciężkie sprawy, z których nie wiem, czyli skórę całą wyniosę.

— Nie chodzi też o nic więcej, — odrzekła księżna. — jeno, byś ją do pana sapieżyńskich rąk oddał, a pan wojewoda uczyni to dla mnie, iż dalszej nad nią opieki nie odmówi.

Tu wyciągnęła mu rękę, którą on ze czcią największą ucałował; ona zaś rzekła jemu na pożegnanie:

— Czuwaj, panie kawalerze, czuwaj! I tem się nie ubezpieczaj, że kraj od nieprzyjaciela wolny.

Ostatnie słowa zastanowiły Kmicica, lecz nie miał czasu nad niemi rozmyślać, bo wkrótce ułapił go pan starosta.

— Cóż, mości rycerzu, — rzekł wesoło, — największą ozdobę z Zamościa mi wywozisz?

— Ale z wolą pańską — odpowiedział Kmicic.

— Pilnujże jej dobrze. Łakomy to specjał! Gotów ci ją kto odbić!

— A niech jeno popróbuje! O wa! Dałem parol ka-

walerski księżnej pani, a u mnie parol święta rzecz!

— No! na śmiech jeno mówię... Nie potrzebujesz się bać, ani ostrożności nadzwyczajnych przedsiębrać.

— A taki poproszę jw. pana o jakowąś kolaskę zamykaną i blachami opatrzoną.

— Dam ci i dwie!... Ale przecież zaraz nie jedziesz?

— Bogać. Pilno mi! I tak tu za długo siedzę.

— To wypraw swoich Tatarów naprzód do Krasnegostawu. Ja ze swej strony pchnę gońca, ażeby tam obroki były dla nich gotowe, a tobie eskortę własną aż do Krasnegostawu dam. Nic cię tu spotkać złego nie może, bo to kraj mój... Dam ci dobrych pachołków z niemieckiej dragonji, ludzi śmiałych i dróg świadomych... Zresztą do Krasnegostawu trakt, jak sierpem rzucił.

— A czemu to mam się sam ostawać?

— Abyś się z nami dłużej zabawił, miłym mi jesteś gościem i radbym waćpana choćby cały rok zatrzymać. A przytem posłałem po stada do Perespy, może się jakowyś bachmacik dla waćpana wybierze, który cię w potrzebie nie zawiedzie, wierzaj!...

Kmicic spojrzał bystro w oczy staroście, potem, jakby powziąwszy nagle postanowienie, rzekł:

— Dziękuję i ostaję, a Tatarów najprzód wyprawię.

I poszedł zaraz wydać im rozkazy, a wziąwszy na stronę Akbaha-Ułana, tak mówił:

— Akbahu-Ułanie. Macie iść naprzód do Krasnegostawu, prostym traktem, jakoby kto sierpem rzucił. Ja tu ostaję i w dzień po was ruszę, mając starościńską eskortę. Słuchajże teraz, co ci powiem: Oto mi do Krasnegostawu nie pójdziecie, jeno mi w pierwszych lasach niedaleko za Zamościem przypadnij, tak, aby żywa dusza o was nie wiedziała; a gdy wystrzał na gościńcu usłyszycie, to do mnie, bo mi tu chcą jakowąś nieszczerość wyrządzić.

— Twoja wola — odrzekł Akbah-Ułan, przykładając dłoń do czoła, ust i piersi.

— Przejrzałem cię, panie starosto! — rzekł do siebie

Kmicic. — W Zamościu siostry się boisz, więc chcesz dziewczynę porwać i gdzieś w pobliżu osadzić, a ze mnie instrumentum swych żądz uczynić, a kto wie, czy i gardła nie wziąć. Czekajże! Trafiłeś na lepszego od się... I sam się we własny potrzask uchwycisz!

Wieczorem porucznik Szurski zastukał do drzwi Kmicica. Oficer także coś wiedział. czegoś się domyślał, a że Anusię miłował, wolał więc, by odjechała, niż żeby w moc pana starosty wpadła. Jednakże mówić otwarcie nie śmiał, a może także nie miał pewności; dziwił się więc tylko, iż Kmicic zgodził się na wysłanie przodem Tatarów; zaręczał, że drogi nie są tak bezpieczne, jako mówią, że wszędy włóczą się kupy zbrojne i do gwałtownych uczynków skore.

Lecz pan Andrzej postanowił udawać, że niczego się nie domyśla.

— Co mnie może spotkać? — mówił — przecie pan starosta kałuski daje mi własną eskortę!

— Ba! Niemców!

— Żali to niepewni ludzie?

— Tym psubratom nigdy ufać nie można. Bywało, że zmówiwszy się w drodze, do nieprzyjaciół zbiegali...

— Szwedów przecie niema z tej strony Wisły.

— Są psiajuchy w Lublinie! Nieprawda, że wyszli. Szczerze waszmości radzę, nie wyprawiaj naprzód Tatarów, bo w większej kupie zawsze bezpieczniej.

— Szkoda, żeś mi waćpan wprzód tego nie mówił. Jeden mam język w gębie i raz danego rozkazu nie cofam.

Jakoż nazajutrz Tatarzy ruszyli naprzód, Kmicic miał zaś jechać pod wieczór, tak, aby na pierwszy nocleg stanąć w Krasnymstawie. Tymczasem wręczono mu dwa listy do pana Sapiehy: jeden od księżnej, drugi od pana starosty.

Kmicic miał wielką ochotę otworzyć ten ostatni, jednak nie śmiał, natomiast przejrzawszy go pod światło, przekonał się, że w środku jest czysty papier. Odkrycie to upewniło go ostatecznie, że i dziewczyna i listy mają mu być w drodze odebrane.

Tymczasem przyszło stado z Perespy i pan starosta obdarzył młodego rycerza nad podziw pięknym bachmacikiem, którego on z wdzięcznością przyjął, myśląc sobie w duszy, że dalej na nim zajedzie, niż się pan starosta spodziewa. Myślał także o swoich Tatarach. którzy już musieli w lasach zapaść i śmiech pusty go brał. Chwilami znowu burzył się w duszy i obiecywał sobie dać panu staroście dobrą naukę.

Nadszedł wreszcie czas obiadu, który upłynął bardzo posępnie. Anusia miała czerwone oczy; oficerowie milczeli głucho, jeden pan starosta był wesół i kazał dolewać w kielichy, które Kmicic spełniał jeden za drugim. Lecz gdy nadeszła pora odjazdu, niewiele osób żegnało odjeżdżających, gdyż pan starosta powyprawiał oficerów po służbie.

Anusia padła do nóg księżnie i długo nie można jej było oderwać, sama zaś księżna miała w twarzy niepokój widoczny. Może i wyrzucała sobie pocichu, iż pozwoliła na odjazd wiernej służki, wśród takich czasów, w których nietrudno było o przygodę. Lecz głośny płacz Michała, który trzymając pięści przy oczach, buczał jak żak szkolny, utwierdził dumną panią w przekonaniu, iż trzeba dalszym skutkom młodocianego afektu zapobiec. Wreszcie uspokajała się i tą nadzieją, że w rodzinie sapieżyńskiej znajdzie dziewczyna opiekę, bezpieczeństwo i wreszcie ową wielką fortunę, mającą jej los na resztę życia zabezpieczyć.

— Waścinej cnocie, męstwu i honorowi ją powierzam, — rzekła raz jeszcze księżna do Kmicica, — a waćpan pamiętaj, iżeś mi zaprzysiągł, jako ją bez szwanku do pana Sapiehy odprowadzisz.

— Jako szkło będę wiózł, a w potrzebie pakułami obwinę, żem zaś parol dał, to chyba śmierć mi go dochować przeszkodzi — odrzekł rycerz.

I podał ramię Anusi, ona zaś zła była na niego, bo wcale na nią nie patrzył i dość lekko traktował, więc podała mu rękę bardzo dumnie, odwracając wzrok i głowę w inną stronę.

Żal jej było odjeżdżać i strach ją teraz brał, ale cofać się było już za późno.

Nadeszła chwila: siedli więc, ona do karetki ze starą sługą, panną Suwalską, on na koń i ruszyli. Dwunastu rajtarów niemieckich otaczało kolaskę i wóz z Anusinemi łubami. Gdy wreszcie skrzypnęły brony w Warszawskiej bramie i rozległ się turkot kół po zwodzonym moście, Anusia uderzyła w płacz głośny.

Kmicic pochylił się do kolaski.

— Nie bój się waćpanna, nie zjem cię!

— Grubijan! — pomyślała Anusia.

Jechali czas jakiś wedle domów leżących za murami, wprost ku Staremu Zamościu, poczem wyjechali na pola i wjechali w bór, który w owych czasach ciągnął się pagórzystym krajem aż hen do Bugu i za Bug z jednej strony, z drugiej szedł przerywany wsiami aż do Zawichosta.

Noc już zapadła, ale bardzo pogodna i widna, trakt znaczył się srebrnym szlakiem; ciszę przerywał tylko turkot karetki i tętent koni rajtarskich.

— Tu już moi Tatarowie muszą tkwić w gąszczach jako wilcy — pomyślał Kmicic.

Wtem nadstawił ucha.

— Co to? — zapytał oficera, dowodzącego rajtarami.

— Słychać tętent!... Jakiś jeździec pędzi wskok za nami! — odrzekł oficer.

Zaledwie skończył, dopadł na spienionym koniu kozak, wołając:

— Pan Babinicz! pan Babinicz! Pyśmo od pana starosty!

Orszak wstrzymał się. Kozak podał list Kmicicowi.

Kmicic rozłamał pieczęć i przy świetle latarni, umieszczonej przy koźle kolaski, czytał, co następuje:

„Mości, a mnie wielce miły, panie Babinicz! Wprędce po odjeździe panny Borzobohatej Krasieńskiej doszła mnie wieść, iż Szwedzi nietylko nie ustąpili z Lublina, ale na mój Zamość uderzyć zamierzają. Wobec tego dalsza droga i pere-

grynacja stają się niepodobne. Zważywszy więc owe pericula, na jakie białogłowa narażonaby być mogła. chcemy pannę Borzobohatą mieć zpowrotem w Zamościu. Ciż sami rajtarowie ją odwiozą. waćpana zaś, któremu w dalszą drogę musi być pilno, napróżno fatigare nie chcemy. Którą wolę naszą oznajmując waszej mości, prosimy, abyś rajtarom wedle naszych chęci rozkazy wydać zechciał".

— Przecie jest w nim tyle uczciwości, że na głowę moją nie nastaje, jeno mnie na dudka chce wystrychnąć — pomyślał Kmicic. — Wraz się też okaże jawnie. czy jest w tem zasadzka, czyli jej niema.

Tymczasem Anusia wysadziła głowę przez okno.

— A co tam? — spytała.

— Nic! Pan starosta kałuski jeszcze raz waćpannę mojemu męstwu poleca. Nic więcej.

Tu zwrócił się do woźnicy i rajtarów:

— Jazda!

Lecz oficer dowodzący rajtarami osadził konia.

— Stój! — krzyknął na woźnicę.

Poczem do Kmicica:

— Jakto: jazda?

— A poco dłużej w lesie stać? — spytał z głupia frant Kmicic.

— Bo wasza mość odebrałeś jakowyś rozkaz.

— A waści co do tego! Odebrałem i właśnie dlatego rozkazuję: jazda!

— Stój! — zawołał oficer.

— Jazda! — powtórzył Kmicic.

— Co tam? — spytała znów Anusia.

— Nie pojedziem ni kroku dalej. nim rozkazu nie obaczę! — rzekł stanowczo oficer.

— Rozkazu nie obaczysz, bo nie tobie go przysłano!

— Skoro waszmość słuchać go nie chcesz, to ja go wykonam... Ruszajże sobie tedy waszmość z Bogiem do Krasnegostawu i bacz, abyśmy czego nie przyłożyli na drogę, a my z panną wracamy.

Pan Kmicic tego tylko chciał, aby oficer wyznał, iż wie, co jest w rozkazie; okazało się bowiem z tego z zupełną pewnością, że cała sprawa jest zgóry ułożonym podstępem.

— Ruszaj z Bogiem! — powtórzył groźnie już oficer.

I w tej chwili rajtarzy powydobywali bez komendy szable z pochew.

— O takie syny! nie do Zamościa chcielibyście dziewkę wieźć, jeno gdzieś na uboczu osadzić, aby pan starosta swobodnie żądzom swym cugle mógł popuszczać. Aleście na mądrzejszego trafili!

To rzekłszy, wypalił w górę z pistoletu.

Na ów odgłos w głębiach lasu rozległ się wrzask straszliwy, jak gdyby wystrzał zbudził całe stada wilków, śpiące w pobliżu. Wycie ozwało się zprzodu, ztyłu, z boków, jednocześnie rozległ się tętent koni, chrupot gałęzi łamanych pod kopytami i na trakcie zaczerniały kupy jeźdźców, które się zbliżały z nieludzkiem wyciem i piskiem.

— Jezus! Marja! Józef! — wołały przerażone niewiasty w kolasce.

Tymczasem Tatarzy dopadli chmurą, lecz Kmicic wstrzymał ich trzykrotnym okrzykiem, sam zaś zwrócił się do przerażonego oficera i chełpić się począł:

— Poznaj, na kogoś trafił... Pan starosta na dudka chciał mnie wystrychnąć, ślepe instrumentum ze mnie uczynić... A tobie rajfurską funkcję powierzył, której się dla łaski pańskiej podjąłeś, panie oficyjerze! Kłaniajże się od Babinicza panu staroście i powiedz mu, że dziewka dojedzie bezpiecznie do pana Sapiehy!

Oficer potoczył naokoło przelękłym wzrokiem i ujrzał dzikie twarze, patrzące ze straszliwem łakomstwem na niego i na rajtarów. Znać było, że czekają tylko jednego wyrazu, ażeby rzucić się na nich i porozrywać w sztuki.

— Wasza miłość uczyni, co zechce, bo z przemocą nie wskóramy, — odrzekł drżącym głosem, — ale pan starosta potrafi się pomścić.

Kmicic rozśmiał się.

— Niechże na tobie się mści, bo gdyby nie to, żeś się zdradził, gdybyś nie okazał, że wiesz zgóry, co jest w rozkazie i nie przeciwił się dalszej jeździe, tobyś mnie nie przekonał o zasadzce i dziewkę zarazbym w Krasnostawie oddał. Powiedzże i to panu staroście, by mądrzejszych od cię rajfurami swymi kreował.

Spokojny ton, z jakim pan Kmicic to mówił, upewnił nieco oficera, przynajmniej pod tym względem, iż ani jemu, ani rajtarom śmierć nie grozi, więc odetchnął lżej i rzekł:

— Mamyż z niczem wracać do Zamościa?

A Kmicic:

— Z niczem nie wrócicie, bo wrócicie z pismem mojem, które każdemu z was na skórze każę wypisać.

— Wasza miłość...

— Bierz ich! — krzyknął Kmicic.

I sam zaraz ucapił za kark oficera.

Rozpoczęła się zawierucha i kotłowanina naokół kolaski. Wrzask Tatarów stłumił wołanie o pomoc i krzyki przerażenia, wydobywające się z piersi niewiast.

Lecz szamotanie niedługo trwało, gdyż w dwa pacierze później rajtarowie leżeli już na trakcie powiązani jeden obok drugiego.

Teraz Kmicic rozkazał siec ich batożkami z byczego surowca, lecz nie nad miarę, ażeby wrócić mogli piechotą do Zamościa. Otrzymali więc prości żołnierze po sto, a oficer sto pięćdziesiąt plag, pomimo próśb i zaklęć Anusi, która nie rozumiejąc, co się wokoło niej dzieje, sądziła, że w straszliwe jakieś ręce wpadła i składając dłonie, błagała ze łzami w oczach o życie.

— Daruj, rycerzu!... Com ja ci winna?... Daruj! oszczędź!...

— Cicho panna bądź! — huknął Kmicic.

— Com ci zawiniła?

— Możeś i sama w zmowie!...

— W jakiej zmowie? Boże bądź miłościw mnie grzesznej!...

— To waćpanna nie wiesz, że pan starosta pozornie jeno na wyjazd waćpanny dozwolił, aby cię od księżnej odłączyć, a w drodze porwać i aby w jakimś pustym zameczku na cnotę twoją nastawać?

— Jezusie Nazareński! — krzyknęła Anusia.

I tyle było w tym okrzyku prawdy i szczerości, iż Kmicic rzekł łagodniej:

— Jakże? Toś waćpanna nie w zmowie?... Może to być.

Anusia zakryła twarz rękoma, lecz nie mogła nic mówić, jeno powtarzała raz po razu:

— Jezus, Marjo! Jezus, Marjo!

— Uspokój się panna — rzekł jeszcze łagodniej pan Kmicic. — Pojedziesz bezpiecznie do pana Sapiehy, bo tego pan starosta nie wyliczył, z kim ma sprawę... Ot, ci ludzie, których tam sieką, mieli cię porwać... Daruję ich zdrowiem, aby mogli panu staroście opowiedzieć, jak im gładko poszło.

— To waćpan mnie od hańby obronił?

— Tak jest! chociażem nie wiedział, czy rada będziesz.

Anusia zamiast odpowiadać lub zaprzeczać, chwyciła nagle pana Andrzeja za rękę i przycisnęła ją do swych bledziuchnych ust.

A po nim skry przeszły od nóg do głowy.

— Daj panna spokój, dlaboga! co to znowu!... krzyknął. — Siadaj panna do kolaski, bo nożyny przemoczysz... A nie bój się!... U matki nie byłoby ci przezpieczniej...

— Poladę teraz z waćpanem chociażby na koniec świata!

— Waćpanna takich rzeczy nie powiadaj!

— Bóg cię nagrodzi, żeś cnoty bronił!

— Pierwszy raz mi się sposobność trafiła — odrzekł Kmicic.

A ciszej mruknął sam do siebie:

— Tylem jej dotąd bronił, ile kot napłakał!

Lecz tymczasem ordyńcy przestali batożyć rajtarów, kazał

ich więc pan Andrzej pognać nagich i pokrwawionych traktem do Zamościa. Poszli, łzy rzewne wylewając. Konie, broń i odzież darował Kmicic swoim Tatarom i ruszyli szybko naprzód, bo niebeziecznie było zwłóczyć.

Przez drogę nie mógł się młody rycerz powstrzymać od chęci zaglądania do kolaski. a raczej od spoglądania w bystre oczki i cudne lica dziewczyny. Pytał też za każdym razem. czy jej czego nie trzeba. czy kolaska wygodna i czy zbyt szybka jazda nie nuży.

Ona odpowiadała mu zatem wdzięcznie, że jej tak dobrze. jako nigdy nie bywało. Ochłonęła już ze strachu zupełnie. Serce wezbrało jej ufnością dla obrońcy. W duszy zaś myślała:

— Nie tak nieużyty, ani taki grubijan, jakom z początku mniemała!

— Ej. Oleńka. co ja dla ciebie cierpię! — mówił sobie Kmicic — zali mnie niewdzięcznością nakarmisz?... Żeby tak w dawnych czasach... uha!...

Tu kompanjonowie przyszli mu na myśl i różne swawole. których się na spółkę z nimi dopuszczał, więc chcąc odegnać pokusy, począł za ich nieszczęsne dusze odmawiać: „wieczny odpoczynek“.

Przybywszy do Krasnegostawu. uznał pan Kmicic. że lepiej na wieści z Zamościa nie czekać i zaraz ruszył w dalszą drogę. Wszelako na odjezdnem napisał i przesłał panu staroście list następujący:

„Jaśnie wielmożny panie starosto,

a mnie wielce miłościwy łaskawco i dobrodzieju!

Kogo Bóg wielkim na tym świecie uczynił, temu i dowcipu sporszą miarą namierzył. Poznałem to odrazu, iżeś jw. pan jeno na próbę chciał mnie wystawić, przesyłając mi rozkaz wydania panny Borzobohatej Krasieńskiej, a poznałem to tem lepiej, gdy rajtarowie owi zdradzili, iż tenor rozkazu wiedzą. checiażem im listu nie pokazywał i choć jwm. pan piszesz mi, iż namysł dopiero po naszym wyjeździe przyszedł. Jako więc z jednej strony podziwiam

tem bardziej przezorność pańską, tak z drugiej, dla zupełnego uspokojenia troskliwego opiekuna, ponownie przyrzekam, iż nic mnie od spełnienia powierzonej mi funkcji odwieść nie zdoła. Ale, że żołdakowie owi, źle widocznie intencję pańską rozumiejąc, wielkimi grubijanami się okazali, a nawet zdrowiu memu grozili, mniemam przeto, iż utrafiłbym w myśl jwpana, gdybym ich był obwiesić kazał. Czego, żem nie uczynił, o przebaczenie jwpana upraszam; wszelako batażoki kazałem ich przystojnie ociąć, którą karę, jeśli jwpan za zbyt małą uznasz, wedle swej pańskiej woli multyplikować możesz. Przyczem tusząc, iżem na większą ufność i wdzięczność jwpana zarobił, piszę się wiernym i życzliwym w. pańskiej mości sługą. — B a b i n i c z.“

Dragoni, dowlókłszy się do Zamościa późną nocą, nie śmieli się na oczy panu staroście kałuskiemu pokazać, dowiedział się więc o całem zajściu dopiero z tego listu, który nazajutrz krasnostawski kozak przywiózł.

Przeczytawszy go pan starosta, na trzy dni w swojej komnacie się zamknął, nikogo z dworzan, prócz pokojowców, którzy mu jeść nosili, do siebie nie puszczając. Słyszano też, iż klął po francusku, co czynił tylko wówczas, gdy był w najwyższej pasji.

Powoli jednak uspokoiła się ta burza. Przez czwarty i piąty dzień bardzo był jeszcze pan starosta milczący; żuł coś w sobie i za wąs szarpał; aż dopiero w tydzień, będąc już wcale wesołym i podpiwszy trochę przy stole, począł nagle wąs kręcić, nie szarpać i ozwał się do księżnej Gryzeldy:

— Pani siostro, wiesz, że mi nie brak przezorności.. Wystawiłem też umyślnie parę dni temu na próbę owego szlachcica, który Anusię zabrał i mogę cię upewnić, że ją wiernie do rąk pana sapieżyńskich dowiezie.

I zdaje się, że już w miesiąc później, zwrócił pan starosta serce gdzie indziej, a prócz tego był całkiem i sam przekonany, że co się stało, stało się z jego wolą i wiedzą.

ROZDZIAŁ XVII.

Województwo lubelskie w znacznej części a podlaskie niemal zupełnie, było w ręku polskich, to jest konfederacji i sapieżyńskich. Ponieważ król szwedzki bawił ciągle w Prusach, gdzie z elektorem traktował. Szwedzi więc, nie czując się bardzo na siłach, wobec ogólnego powstania, które wzmagało się z każdą chwilą, nie śmieli się wychylać z miast i zamków, a mniej jeszcze przechodzić Wisłę, poza którą siły polskie były największe. Pracowano więc w owych dwóch województwach nad utworzeniem znacznego i porządnego wojska, któreby się z regularnym szwedzkim żołnierzem mierzyć mogło. Po miastach powiatowych ćwiczono piechotę, a ponieważ chłopi wogóle chwycili za broń, zatem i ludzi nie brakło, trzeba było tylko ująć w kluby i w regularną komendę owe kupy niesforne, często dla własnego kraju niebezpieczne.

Zajmowali się tem rotmistrze powiatowi. Obok tego król wydał mnóstwo listów zapowiednich starym i doświadczonym żołnierzom, zaciągi szły więc we wszystkich ziemiach, a że ludzi wojennych w tych stronach nie brakło, tworzyły się więc chorągwie jazdy bardzo doskonałej. Jedne szły za Wisłę, podsycać wojnę z tamtej strony, drugie do pana Czarnieckiego, trzecie do pana Sapiehy. Takie mnóstwo rąk chwyciło za broń, że wojsko Jana Kazimierza już było od szwedzkiego liczniejsze.

Kraj, nad którego słabością zdumiewała się niedawno cała Europa, dawał teraz przykład siły, której nie domyślali się w nim nietylko nieprzyjaciele, ale nawet własny król, nawet ci, których wierne serce rozdzierało się przed kilku miesiącami z bólu i desperacji. Znajdowały się pieniądze, zapał, męstwo; najbardziej zrozpaczone dusze ogarniało przekonanie, iż niemasz takiego położenia, takiego upadku, takiej słabości, z którejby nie było ratunku i że tam, gdzie się dzieci rodzą, tam otucha umrzeć nie może.

Kmicic szedł naprzód bez przeszkód, zbierając po drodze

niespokojne duchy, które chętnie przystawały do czambułku, w tej nadziei, że na współkę z Tatary najwięcej zażyją krwi i grabieży. Tych w rządnych i sprawnych żołnierzy łatwo zmieniał, bo miał ten dar, iż strach a posłuch budził w podwładnych. Witano go po drodze radośnie, a to z powodu Tatarów. Widok ich bowiem przekonywał, iż chan naprawdę Rzeczypospolitej idzie z pomocą. Oczywiście gruchnęła wieść, że panu Sapieże walą auxilia, złożone z czterdziestu tysięcy wyborowego tatarskiego komuniku. Rozpowiadano cuda o „modestji" tych sprzymierzeńców, jako żadnych gwałtów ni zabójstw po drodze nie czynią. Podawano ich własnym żołnierzom za przykład.

Pan Sapieha stał chwilowo w Białej. Siły jego składały się z około dziesięciu tysięcy wojsk regularnych, jazdy i piechoty. Były to szczątki wojsk litewskich, podsycone nowym ludem. Jazda, zwłaszcza niektóre jej chorągwie, przewyższała dzielnością i sprawnością szwedzką rajtarję, lecz piechota źle była wyćwiczona i brakło jej strzelby, a zwłaszcza prochów. Brakło także armat. Myślał wojewoda witebski, że się zaopatrzy w nie w Tykocinie, tymczasem Szwedzi, wysadziwszy siebie samych prochami, zniszczyli zarazem wszystkie działa zamkowe.

Obok tych sił stało w okolicy Białej do dwunastu tysięcy pospolitaków z całej Litwy, z Mazowsza, z Podlasia, lecz z tych niewiele obiecywał sobie wojewoda pożytku, zwłaszcza, że niezmierną moc wozów ze sobą mając, utrudniali pochody i czynili z obozu ociężałe i nieruchome zbiorowisko.

Kmicic o jednem myślał, wjeżdżając do Białej. Oto pod Sapiehą służyło tylu szlachty z Litwy i tylu oficerów radziwiłłowskich, dawnych jego znajomych, iż obawiał się, że go poznają, a poznawszy, na szablach rozniosą, zanim zdoła krzyknąć: — Jezus Marja! — Imię jego było znienawidzone w całej Litwie i w sapieżyńskim obozie, bo świeża jeszcze była pamięć, jako służąc Radziwiłłowi, wycinał te

chorągwie, które się przeciw hetmanowi za ojczyzną opowiedziały.

Lecz dodało panu Andrzejowi to otuchy, że się zmienił bardzo. Bo najprzód wychudł, po wtóre przybyła mu przez twarz blizna od Bogusławowej kuli; nakoniec nosił teraz brodę, dość długą, na końcu w szwedzki wicher zakręconą, a że wąsy podczesywał do góry, był więc wiele podobniejszy do jakiegoś Eriksona, niż do polskiego szlachcica.

— Byle się odrazu tumult przeciwko mnie nie uczynił, to po pierwszej bitwie już mnie inaczej będą sądzili — myślał sobie Kmicic, wjeżdżając do Białej.

Wjeżdżał też mrokiem, oznajmił się, skąd jest, że listy królewskie wiezie i zaraz prosił pana wojewodę o osobną audjencję.

Wojewoda przyjął go łaskawie, a to z powodu gorących poleceń królewskich.

„Posyłamy wam najwierniejszego sługę naszego, — pisał król, — który Hektorem częstochowskim, od czasu oblężenia sławnego miejsca, jest nazwany, naszą zaś wolność i nasze zdrowie własnem życiem w czasie przeprawy przez góry ratował. Tego w szczególniejszej opiece miejcie, aby mu krzywda od żołnierzy się nie stala. Nazwisko jego prawdziwe wiemy, oraz i racje, dla których pod przybranem służy, z powodu którego przybrania nikt nie ma go w podejrzenia podawać, ani o praktyki posądzać“.

— Dlaczego waść przybrane nazwisko nosisz, nie można wiedzieć? — pytał pan wojewoda.

— Bom jest banit i pod własnem nie mógłbym zaciągać... Król dał mi zaś listy zapowiednie i jako Babinicz zaciągać mogę.

— Poco ci zaciągi, skoro masz Tatarów?

— By i największa siła nie zawadzi.

— A za co banit?

— Pod czyją komendę idę i kogo o opiekę proszę, temu wszystko, jako ojcu, wyznać winienem. Prawdziwe moje nazwisko jest: Kmicic!

Wojewoda cofnął się o parę kroków.

— Który króla i pana naszego porwać żywym lub umarłym Bogusławowi obiecywał?

Kmicic opowiedział z całą swą energją, jak i co się zdarzyło, jako Radziwiłłom otumaniony służył, jako usłyszawszy z ust Bogusława o istotnych książąt zamiarach, porwał go i z tego powodu nieubłaganą zemstę na się ściągnął.

Wojewoda uwierzył, bo nie mógł nie uwierzyć, zwłaszcza, gdy i królewskie listy prawdę słów Kmicicowych potwierdzały. Wreszcie w wojewodzie dusza była tak rozradowana, iż największego swego wroga byłby w tej chwili do serca przycisnął, największy grzech odpuścił. Radość tę sprawił mu następujący ustęp królewskiego listu:

„Jakkolwiek wakująca po śmierci wojewody wileńskiego wielka buława litewska, wedle zwykłego prawa, tylko na sejmie może być następcy oddana, przecie w ekstraordynaryjnych dzisiejszych okolicznościach, niechając pospolitego trybu, wam, wielce nam miłym, dla dobra Rzeczypospolitej i waszych wiekopomnych zasług, buławę oną oddajemy, słusznie mniemając, że da Bóg uspokojenie, na przyszłym sejmie żaden głos przeciwko tej woli naszej się nie podniesie i uczynek nasz ogólną aprobatę otrzyma“.

Sapieha, jak mówiono wówczas w Rzeczypospolitej, „zastawił kontusz i sprzedał ostatnią srebrną łyżkę“, nie służył więc dla korzyści, ani dla honorów ojczyźnie. Lecz nawet najbezinteresowniejszy człowiek rad widzi, iż zasługi jego cenią, wdzięcznością płacą, cnotę uznają. Dlatego od poważnej jego twarzy blask bił niezwykły.

Akt ten woli królewskiej nowym splendorem przyozdabiał ród sapieżyński, a na to żadne z ówczesnych „królewiąt“ nie było obojętne; dobrze, jeśli byli tacy, którzy do wyniesienia per nefas nie dążyli. Więc też pan Sapieha gotów był teraz uczynić dla króla wszystko, co było i co nie było w jego mocy.

— Skorom jest hetmanem, — rzekł do pana Kmicica, — to pod moją inkwizycję podchodzisz i opiekę znajdziesz. Siła

tu jest pospolitego ruszenia, więc i tumult gotowy, dlatego bardzo w oczy nie leź, póki ja żołnierzów nie ostrzegę i tej potwarzy z ciebie nie zdejmę, którą Bogusław rzucił.

Kmicic podziękował z serca i zkolei począł mówić o Anusi, którą ze sobą do Białej przywiózł. Na to pan hetman nuż zrzędzić, ale że w humorze był wyśmienitym, więc i zrzędził wesoło.

— Owarjował Sobiepan! jak mi Bóg miły! — rzekł.— Siedzą sobie tam z siostrą za zamojskiemi murami, jak u Pana Boga za piecem i myślą, że każdy może, tak jak on, poły od kontusza rozgartywać, do komina się obracać i plecy grzać. Ja Podbipiętów znałem, bo to krewni Brzostowskich, a Brzostowscy moi. Fortuna pańska, niema co mówić, ale chociaż wojna z septentrionami na czas omdlała, przecie w tamtych stronach jeszcze stoją... Gdzie czego szukać, gdzie jakie sądy, jakie urzędy? Kto będzie fortunę odbierał i dziewkę instalował? Powarjowali na czysto! Mnie Bogusław na karku siedzi, a ja mam wojskiego funkcję pełnić i babami sobie głowę zaprzątać...

— Nie baba to, ale wiśnia — odrzekł Kmicic. — A co mi tam!... Kazali wieźć, wiozłem; kazali oddać, oddaję!

Stary hetman wziął na to pana Kmicica za ucho i rzekł:

— A kto cię tam wie, zbereźniku, jakąś ty ją odwiózł... Broń czego Boże, jeszcze będą ludzie gadali, że ją od Sapieżyńskiej opieki kolki sparły i ja stary będę oczyma świecił... Cóżeście to na popasach czynili? Gadaj mi jeno zaraz, poganinie, zaliś od swoich Tatarów bisurmańskich obyczajów nie przejął?

— Na popasach — odrzekł wesoło Kmicic. — Na popasach kazałem sobie pachołkom skórę dyscyplinami orać, a to, żeby mniej przystojne chęci wygnać, które pod skórą mają swoje siedlisko, a które, confiteor, nakształt bąków mnie cięły.

— A widzisz... Godnaż to jaka dziewka?

— At! koza, choć okrutnie gładka, a jeszcze więcej przylepna.

— Już bisurmanin się znalazł!

— Ale cnotliwa, jako mniszka, to jej muszę przyznać. Ale co do kolek, mniemam, żeby ją prędzej od pana zamoyskiej opieki sparły.

Tu Kmicic opowiedział, jak i co było. Dopieroż hetman począł go klepać po ramieniu, a śmiać się.

— No, ćwik z ciebie! Niedarmoż tyle o Kmicicu powiadają. Nie bój się! Pan Jan człek nie zawzięty i mój konfident. Przejdzie mu pierwsza pasja, to się jeszcze sam uśmieje i ciebie nagrodzi.

— A nie potrzebuję! — przerwał Kmicic.

— Dobrze i to, że ambicję masz i ludziom w ręce nie patrzysz. Usłuż mi jeno przeciw Bogusławowi tak sprawnie, to o dawne kondemnaty nie będziesz się potrzebował bać.

Tu zdziwił się Sapieha, spojrzawszy na tę twarz żołnierską, przed chwilą jeszcze tak szczerą i wesołą. Kmicic na wzmiankę o Bogusławie przybladł zaraz i twarz mu się skurczyła, jak paszcza złemu psu, gdy chce kąsać.

— Bogdaj się własną śliną ten zdrajca otruł, byle mi jeszcze przed skonaniem w ręce wpadł! — rzekł ponuro.

— Twej zawziętości się nie dziwię... Pamiętaj tylko, by gniew w tobie roztropności nie zdławił, bo nie z byle kim to sprawa. Dobrze, że cię król tu przysłał. Będziesz mi Bogusława podchodził, jako dawniej Chowańskiego.

— Będę go lepiej podchodził! — odparł równie ponuro Kmicic.

Na tem skończyła się rozmowa. Kmicic odjechał spać do kwatery, bo był strudzony drogą.

Tymczasem rozbiegła się wieść pomiędzy wojskiem, że król wielką buławę ukochanemu wodzowi przysłał. Radość tedy jak płomień wybuchnęła pomiędzy tysiącami ludzi.

Towarzystwo i oficerowie z pod różnych chorągwi poczęli tłumnie nadbiegać do kwatery hetmańskiej. Uśpione miasto ocknęło się ze snu. Porozpalano ognie. Chorążowie nadbiegli z chorągwiami. Zagrały trąby, zahuczały kotły, zagrzmiały wystrzały z dział i muszkietów, a pan Sapieha

ucztę wspaniałą wyprawił i przewiwatowano noc całą, pijąc za zdrowie królewskie, hetmańskie i na przyszłe zwycięstwo nad Bogusławem.

Pan Andrzej nie był, jako się rzekło, na uczcie obecny.

Natomiast pan hetman wszczął przy stołach rozmowę o Bogusławie i nie powiadając, kto jest ów oficer, który z Tatarami przyjechał i buławę przywiózł, mówił ogólnie o przewrotności księcia.

— Obaj Radziwiłłowie — rzekł — kochali się w praktykach, ale książę Bogusław jeszcze nieboszczyka stryjecznego przewyższył... Pamiętacie waszmościowie Kmicica, albo przynajmniej słyszeliście o nim. Otóż imainujcieże sobie, iż to. co książę Bogusław rozpuścił: jakoby mu się Kmicic ofiarował rękę na króla i pana naszego podnieść, to nieprawda!

— Januszowi jednakże Kmicic pomagał dobrych kawalerów wycinać.

— Tak jest, Januszowi pomagał, ale wreszcie i on się spostrzegł, a spostrzegłszy się, nietylko służbę porzucił, ale jak to wiecie, że człek był zuchwały, jeszcze się na Bogusława porwał. Podobno tam już ciasno było z młodym księciem i ledwie zdrowie z rąk Kmicicowych salwował.

— Kmicic był żołnierz wielki! — odezwały się liczne głosy.

— Książę zaś przez zemstę taką na niego potwarz wymyślił, od której dusza się wzdryga.

— Djabełby lepszej nie wymyślił!

— Wiedzcie, że dowody mam w ręku, czarno na białem, iż to była zemsta za nawrócenie się Kmicicowe.

— Tak czyje imię pohańbić!... Jeden Bogusław to potrafi!

— Takiego żołnierza pogrążyć!

— Słyszałem. — mówił dalej hetman, — iż Kmicic, widząc, że nic mu tu już do roboty nie pozostaje, do Częstochowy umknął i tam znaczne usługi oddał, a potem króla jegomości własną piersią osłaniał.

Usłyszawszy to, ci sami żołnierze, którzyby byli przed chwilą na szablach Kmicica roznieśli, poczęli coraz życzliwiej się o nim odzywać.

— Kmicic mu tego nie daruje, nie taki to człowiek, on się i na Radziwiłła porwie!

— Wszystkich żołnierzów książę koniuszy pohańbił, rzuciwszy na jednego taką hańbę!

— Kmicic swawolnik był i okrutnik, ale nie parrycyda!

— Pomści on się, pomści!

— My go pierwej pomścimy!

— Skoro jw. hetman powagą swą za niego ręczy, to tak musiało być.

— Tak było! — rzekł hetman.

— Zdrowie hetmańskie!

I niewiele brakło, by i Kmicicowego zdrowia nie wypito. Lecz coprawda, odzywały się bardzo gwałtowne głosy i przeciw, zwłaszcza między dawnymi oficerami radziwiłłowskimi. Słysząc je hetman, rzekł:

— A wiecie waszmościowie, skąd mi ów Kmicic do głowy przyszedł? Oto Babinicz, goniec królewski, wielce jest do niego podobny. Sam się w pierwszej chwili omyliłem.

Tu pan Sapieha począł surowiej nieco spoglądać i mówić z większą powagą:

— Choćby tu sam Kmicic przyjechał, to ponieważ się nawrócił, ponieważ świętego miejsca z niezmierną odwagą bronił, potrafiłbym go moją hetmańską powagą osłonić; proszę zatem waszmościów, by mi tu żadne hałasy z przyczyny owego przybysza nie powstały. Proszę pamiętać, że on tu z ramienia króla i chanowego przyjechał. A zwłaszcza polecam to ichmościom panom rotmistrzom z pospolitego ruszenia, bo tam o dyscyplinę trudniej!

Gdy pan Sapieha mówił w ten sposób, jeden pan Zagłoba ośmielał się, bywało, pomrukiwać pod nosem, wszyscy inni siedzieli jak trusie. Tak też siedzieli i teraz, ale gdy twarz hetmańska poweselała znowu, rozradowały się i inne. Kielichy gęsto krążące dopełniały miary wesołości i całe

miasto grzmiało do rana, aż ściany domostw dygotały w posadach, a dym wystrzałów wiwatowych przysłonił je całe, jakby po bitwie.

Nazajutrz rankiem wysłał pan Sapieha Anusię do Grodna, z panem Kotczycem. W Grodnie, z którego Chowański był się już dawno usunął, rezydowała wojewodzińska rodzina.

Biedna Anusia, której piękny Babinicz nieco w głowie zawrócił, żegnała się z nim bardzo czule, ale on się trzymał ostro i dopiero na samem odjezdnem rzekł jej:

— Żeby nie jedno licho, które w sercu jako cierń siedzi, tobym się był pewnie w waćpannie naumór rozkochał.

Anusia pomyślała sobie, że niemasz takiej drzazgi, któejby nie można przy cierpliwości igiełką wydłubać, lecz że i bała się trochę tego Babinicza, więc nie rzekła nic— westchnęła cicho i odjechała.

ROZDZIAŁ XVIII.

Tydzień jeszcze po odjeździe Anusi z Kotczycem stał obóz sapieżyński w Białej. Kmicic z Tatary, odkomenderowany do pobliskiego Rokitna, odpoczywał także, bo trzeba było konie odpaść po długiej podróży. Przyjechał też do Białej i dziedzic jej, książę krajczy, Michał Kazimierz Radziwiłł, pan potężny, z linji nieświeskiej, o której mówiono, że po samych Kiszkach odziedziczyła siedemdziesiąt miast i czterysta wsi. Ten w niczem nie był do swoich birżańskich krewniaków podobny. Niemniej może od nich ambitny, lecz różny wiarą, gorliwy patrjota i stronnik prawego króla, całą duszą przystał do konfederacji tyszowieckiej i jak mógł ją podsycał. Olbrzymie jego posiadłości były wprawdzie silnie przez ostatnią z hiperborejczykami wojnę zniszczone, lecz zawsze stał jeszcze na czele sił znacznych i niemałą hetmanowi przywiódł pomoc.

Nietyle jednak liczba jego żołnierzy mogła na szali

wojennej zaważyć, jak to, że tu Radziwiłł stawał przeciw Radziwiłłowi; w ten sposób bowiem odjęte były Bogusławowi ostatnie pozory prawości i postępki jego jawnym charakterem najazdu i zdrady okryte.

Dlatego też pan Sapieha z radością ujrzał w swym obozie księcia krajczego. Był już teraz pewny, że zwycięży Bogusława, bo i potęgą o wiele go przewyższał. Lecz zwyczajem swym, plany obmyślał zwolna, zastanawiał się, rozważał i na narady oficerów wzywał.

Bywał na tych naradach i pan Kmicic. Tak on znienawidził imię radziwiłłowskie, że na pierwszy widok księcia Michała zatrząsł się ze zgrozy i złości, lecz Michał umiał sobie ludzi jednać samą twarzą, na której piękność szła ze słodyczą w parze, przytem wielkie jego przymioty, ciężkie dnie, które niedawno przebył, broniąc kraju od Zołtareńki i Srebrnego, miłość prawdziwa do ojczyzny i króla, wszystko to czyniło go jednym z najzacniejszych kawalerów swego czasu. Sama obecność jego w obozie Sapiehy, współzawodnika domu radziwiłłowskiego, świadczyła, jak dalece młode książątko umie prywatę dla rzeczy publicznej poświęcić. Kto go znał, pokochać musiał. Temu uczuciu, mimo pierwszego wstrętu, nie mógł się oprzeć i zapalczywy pan Andrzej.

Ostatecznie jednak skaptował sobie jego serce książę swemi radami.

Radził bowiem, żeby czasu nie tracąc, nietylko przeciw Bogusławowi ruszać, ale w żadne układy nie wchodząc, natychmiast nań uderzyć, nie dać mu odzyskać zamków, nie dać mu odetchnienia, spoczynku, wojować jego własnym sposobem. W takiej rezolucji widział książę zwycięstwo szybkie i pewne.

— Nie może być, żeby też i Karol Gustaw się nie ruszył, musimy więc jako najprędzej ręce mieć wolne, aby Czarnieckiemu z pomocą śpieszyć.

Tego samego zdania był Kmicic, który już trzeciego dnia musiał walczyć z dawnemi nałogami samowoli, aby bez komendy nie pójść naprzód.

Lecz Sapieha lubił działać na pewno, bał się każdego nierozważnego kroku, więc postanowił czekać na dokładniejsze wiadomości.

I hetman miał również swoje powody. Zapowiedziana wyprawa Bogusława na Podlasie mogła być tylko podstępem i grą wojenną. Może to była wyprawa udana, przedsięwzięta na czele sił ladajakich, w tym celu, aby połączenia wojsk sapieżyńskich z koronnemi nie dopuścić. Będzie się tedy Bogusław przed Sapiehą wymykał, nigdzie bitwy nie przyjmując, byle marudzić, a Karol Gustaw z elektorem uderzą przez ten czas na Czarnieckiego, zgniotą go przeważającą potęgą, ruszą na samego króla i zduszą dzieło poczynającej się obrony, stworzone przez świetny przykład Częstochowy. Sapieha był nietylko wodzem, ale i statystą. Racje swoje wykładał zaś na naradach potężnie, że sam Kmicic musiał się na nie w duszy zgodzić. Przedewszystkiem należało wiedzieć, czego się trzymać. Gdyby się okazało, że najazd Bogusławowy jest tylko grą, to wystarczyłoby zostawić przeciw niemu kilka chorągwi, z całą zaś siłą ruszać co pary w koniach ku Czarnieckiemu i głównej nieprzyjacielskiej potędze. Kilka zaś lub nawet więcej chorągwi mógł śmiało pan hetman zostawić, bo nie wszystkie jego siły stały w okolicy Białej. Młody pan Krzysztof, czyli tak zwany Krzysztofek Sapieha, stał z dwoma lekkiemi chorągwiami i z regimentem piechoty w Jaworowie; Horotkiewicz kręcił się w pobliżu Tykocina, mając pod sobą pół regimentu dragonji bardzo ćwiczonej i do pięciuset wolentarzy, oprócz petyhorskiej chorągwi imienia samego wojewody. Prócz tego w Białymstoku stały łanowe piechoty.

Sił tych starczyłoby aż nadto do oporu Bogusławowi, jeżeli więcej nad kilkaset koni nie liczył.

Porozsyłał więc przezorny hetman gońców na wszystkie strony i czekał wiadomości.

Aż przyszły wreszcie wieści, lecz do gromów podobne i tem podobniejsze, że przez szczególny zbieg okoliczności uderzyły wszystkie jednego wieczora.

Na zamku bialskim odbywała się właśnie narada, gdy wszedł oficer ordynansowy i oddał jakieś pismo hetmanowi.

Zaledwie wojewoda rzucił na nie okiem, gdy zalterował się na twarzy i rzekł obecnym:

— Krewniak mój zniesion doszczętu w Jaworowie przez samego Bogusława. Ledwie sam zdrowie wyniósł!

Nastała chwila milczenia, którą przerwał dopiero sam hetman.

— List jest pisany z Brańska, w ucieczce i konfuzji, — rzekł, — dlatego niemasz w nim ni słowa o potędze Bogusława. Myślę, że musiała być dość znaczną, skoro dwie chorągwie i regiment piechoty doszczętu, jako czytam, zostały zniesione!... Być jednak może, iż książę Bogusław zeszedł ich niespodzianie. Pewności to pismo nie daje...

— Panie hetmanie, — rzekł na to książę Michał, — pewien jestem, że Bogusław chce całe Podlasie zagarnąć, by je w udzielne władanie, albo w lenno przy układach dostać... Dlatego niezawodnie nadszedł z taką potęgą, jaką tylko mógł zebrać.

— Godzi się supozycje dowodami poprzeć, mości książę.

— Innych dowodów nie mam jeno znajomość Bogusława. Nie o Szwedów, ani o Brandenburczyków mu chodzi, jeno o siebie samego... Wojownik to jest niepospolity, który dufa w swą szczęśliwą gwiazdę. Prowincję chce pozyskać, Janusza pomścić, sławą się okryć, a do tego potęgę odpowiednią mieć musi i ma. Dlatego nagle trzeba na niego nastąpić, inaczej on na nas nastąpi.

— Do wszystkiego błogosławieństwo Boże niezbędne, — rzekł Oskierka, — a błogosławieństwo przy nas!

— Jw. panie hetmanie, — rzekł Kmicic. — Wieści potrzeba. Spuśćcieże mnie ze smyczy z moimi Tatary, a ja wam wieści przywiozę.

Oskierka, który był przypuszczony do tajemnicy i wiedział kto jest Babinicz, zaraz jął zdanie jego mocno popierać:

— Boga mi! To jest arcyprzednia myśl! Takiego tam kawalera i takiego wojska trzeba. Jeżeli tylko konie wypoczęte...

Tu Oskierka przerwał, bo oficer ordynansowy znów wszedł do komnaty.

— Jw. panie hetmanie, — rzekł, — jest dwóch żołnierzów z Horotkiewiczowej chorągwi, którzy się do osoby waszej wielmożności dobijają.

— Bogu chwała — rzekł pan Sapieha, uderzywszy się rękoma po kolanach — będą i wiadomości... Puszczaj!

Po chwili weszło dwóch petyhorców, obdartych i zabłoconych.

— Od Horotkiewicza? — spytał Sapieha.

— Tak jest.

— Gdzie on teraz?

— Zabit, a jeżeli nie zabit, to nie wiemy, gdzie jest...

Wojewoda wstał, lecz usiadł i zaraz począł badać spokojnie:

— Gdzie chorągiew?

— Zniesiona przez księcia Bogusława.

— Siła zginęło?

— W pień nas wycięto, może kilku ostało, których w łyka, jak nas, wzięto. Są tacy, którzy mówią, że i pułkownik uszedł; ale że ranny, to sam widziałem. My z niewoli uciekli.

— Gdzie was napadnięto?

— Pod Tykocinem.

— Czemuście się za mury nie schronili w sile nie będąc?

— Tykocin wzięty.

Hetman przysłonił dłonią oczy, poczem jął wodzić nią po czole.

— Siła przy Bogusławie ludzi?

— Jest jazdy na cztery tysiące, prócz piechoty i armat. Piechoty bardzo moderowane. Jazda ruszyła najprzód, prowadząc nas ze sobą, aleśmy się wyrwali szczęśliwie.

— Skądeście uciekli?

— Z Drohiczyna.

Sapieha otworzył szeroko oczy.

— Mości towarzyszu, tyś pijany. Jakżeby już do Drohiczyna Bogusław mógł dojść? Kiedy was zniósł?

— Dwa tygodnie temu.

— I jest w Drohiczynie?

— Podjazdy jego są. On sam wtyle ostał, bo tam jakiś konwój ułapion, któren pan Kotczyc prowadził.

— Pannę Borzobohatą prowadził! — zakrzyknął pan Kmicic.

I nastało milczenie dłuższe, niż poprzednio. Nikt nie zabierał głosu. Tak nagle powodzenia Bogusławowe zmieszały oficerów niepomiernie. Wszyscy też myśleli w duchu, że winien tu pan hetman przez swe kunktatorstwo, lecz nikt nie śmiał odezwać się z tem głośno.

Sapieha zaś czuł, że czynił, co należało i postępował roztropnie. Więc też ochłonął pierwszy z wrażenia, wyprawił skinieniem ręki owych towarzyszów, następnie rzekł:

— Wszystko to są zwykłe przygody wojenne, które nie powinny nikogo konfundować. Mości panowie, nie mniemajcie, abyśmy jakowąś klęskę już ponieśli. Szkoda tamtych chorągwi, prawda... Ale stokroć większa mogłaby się stać szkoda ojczyźnie, gdyby Bogusław w dalekie województwo nas odciągnął. Idzie ku nam... Jako gościnni gospodarze wyjedziem mu naprzeciw.

Tu zwrócił się do pułkowników:

— Wedle moich rozkazów, wszyscy powinni być do wyruszenia gotowi.

— Są gotowi, — rzekł Oskierka, — jeno konie kiełznać i wsiadanego trąbić.

— Dziś jeszcze otrąbić. Ruszamy jutro o zorzy, nie mieszkając... Pan Babinicz skoczy naprzód z Tatary i języka jak najśpieszniej nam ułowi.

Kmicic ledwie usłyszał, już był za drzwiami, a w chwilę później pędził, co koń wyskoczy, ku Rokitnu.

A pan Sapieha również dłużej nie zwłóczył.

Noc jeszcze była, gdy trąby ozwały się przeciągle, poczem jazda i piechota zaczęły wysypywać się w pole; za niemi pociągnął się długi szereg wozów skrzypiących. Pierwsze blaski dzienne odbiły się w rurach muszkietów i na grotach dzid.

I szedł regiment za regimentem, chorągiew za chorągwią bardzo sprawnie. Jazda pośpiewywała godzinki, a konie parskały raźno w rannym chłodzie, z czego żołnierze zaraz wróżyli sobie pewne zwycięstwo.

Serca pełne były otuchy, bo to już wiedziało z doświadczenia rycerstwo, że pan Sapieha rozmyśla, głową kręci, na obie strony każde przedsięwzięcie waży, ale gdy zaś przed się co weźmie, to dokona, a gdy się ruszy, to bije.

W Rokitnie już i legowiska po Tatarach ostygły; poszli jeszcze wczoraj na noc i musieli być już daleko. Uderzyło to pana Sapiehę, że po drodze trudno się było o nich dopytać, chociaż oddział, liczący z wolentarzami do kilkuset ludzi, nie mógł przejść niedostrzeżony.

Oficerowie, co doświadczeńsi, bardzo podziwiali ten pochód i pana Babinicza, że tak prowadzić umiał.

— Jak wilk łozami idzie i jak wilk ukąsi: — mówiono — praktyk to jakiś zawołany!

A pan Oskierka, który jak się rzekło, wiedział kto jest Babinicz, mówił do pana Sapiehy:

— Niedarmo Chowański cenę na jego głowę nakładał. Bóg da wiktorję, komu zechce, ale to pewna, że Bogusławowi wkrótce się wojna z nami uprzykrzy.

— Szkoda jeno, że Babinicz jakoby w wodę wpadł — odpowiadał hetman.

Istotnie upłynęło trzy dni bez żadnej wiadomości. Główne siły sapieżyńskie doszły do Drohiczyna, przeszły Bug i nie znalazły nieprzyjaciela przed sobą. Hetman począł się niepokoić. Wedle zeznań petyhorców, podjazdy Bogusławowe doszły właśnie już do Drohiczyna, widoczne więc było, że Bogusław postanowił cofać się. Ale co znaczy to

cofanie? Czy Bogusław dowiedział się o przeważnych siłach sapieżyńskich i nie śmiał mierzyć się z niemi. czy też pragnął hetmana odciągnąć daleko na północ, aby ułatwić królowi szwedzkiemu napad na Czarnieckiego i hetmanów koronnych? Babinicz powinien był już zachwycić języka i dać znać hetmanowi. Zeznania petyhorców co do liczby wojsk Bogusławowych mogły być błędne, należało zatem mieć jak najprędzej dokładną o niej relację.

Tymczasem upłynęło jeszcze dni pięć, a Babinicz nie dawał znać o sobie. Przychodziła wiosna. Dnie stawały się coraz cieplejsze, śniegi tajały. Okolica pokrywała się wodą, pod którą dzremały grząskie błota. utrudniając niesłychanie pochód. Większą część armat i wozów musiał hetman zostawić jeszcze w Drohiczynie i iść dalej komunikiem. Stąd niewygody wielkie i szemrania, zwłaszcza między pospolitem ruszeniem. W Brańsku trafiono na takie roztopy, że i piechota nie mogła postępować dalej. Hetman zgarniał konie po drodze u chłopów i drobnej szlachty i sadzał na nie muszkietników. Innych brała lekka jazda; lecz już za daleko się posunięto i hetman rozumiał. że jedno tylko pozostaje, to jest: iść jak najprędzej.

Bogusław cofał się ciągle. Po drodze trafiano ustawicznie na jego ślady, na spalone gdzie niegdzie wsie, na trupy ludzkie wiszące po drzewach. Szlachta drobna, miejscowa, przyjeżdżała z wiadomościami co chwila do sapieżyńskiego obozu. lecz prawda ginęła, jako zwykle, w sprzecznych zeznaniach. Ten widział jedną chorągiew i bożył się, że książę nie ma więcej wojska; ten widział dwie, ów trzy. ów potęgę, która w pochodzie milę zajmowała. Słowem. były to bajki, jakie zwykle opowiadają ludzie, nie znający się na wojsku i wojennem rzemiośle.

Widziano też tu i owdzie Tatarów, lecz właśnie wieści o nich wydawały się najnieprawdopodobniejsze; opowiadano bowiem, że ich widziano nie za wojskiem, ale przed wojskiem książęcem, idących naprzód. Pan Sapieha sapał gniewnie, gdy kto przy nim Babinicza wspominał i mówił do Oskierki:

— Przechwaliliście go. W złą godzinę odesłałem Wołodyjowskiego, bo gdyby on tu był, dawnobym miał tyle językBw. ilebym sam zechciał, a to jest wicher, albo i gorzej... Kto go wie, może i naprawdę do Bogusława przystał i w przedniej straży idzie!

Oskierka sam nie wiedział, co sądzić. Tymczasem upłynął znów tydzień: wojsko przyszło do Białegostoku.

Było to w południe.

W dwie godziny później przednie straże dały znać, że jakowyś oddział się zbliża.

— Może Babinicz! — zakrzyknął hetman. — Damże mu pater noster!

Lecz nie był to sam Babinicz. W obozie jednak powstał taki ruch za przybyciem owego oddziału, że pan Sapieha wyszedł obaczyć, co się dzieje.

Tymczasem towarzysze z pod różnych chorągwi nadlatywali, krzycząc:

— Od Babinicza! Jeńcy! Cała kupa!... Siła ludzi naszarpał!

Jakoż ujrzał pan hetman kilkudziesięciu ludzi na wychudłych i poszerszeniałych koniach. Otaczali oni blisko trzystu ludzi ze skrępowanemi rękoma, bijąc ich batogami z surowca. Jeńcy straszliwy przedstawiali widok. Były to raczej cienie ludzkie, niż ludzie. Odarci, półnadzy, wychudzeni tak, że kości sterczały im przez skórę, pokrwawieni, szli nawpół żywi, obojętni na wszystko, nawet na świst surowca, który przecinał im skóry i na dzikie wrzaski tatarskie.

— Co to za ludzie? — spytał hetman.

— Wojsko Bogusławowe! — odrzekł jeden z Kmicicowych wolentarzy, który jeńców wraz z Tatarami odprowadzał.

— A wyście ich skąd tylu nabrali?

— Blisko połowa jeszcze nam w drodze od fatygi padła.

Wtem zbliżył się starszy Tatar, jakoby wachmistrz

ordyński i uderzywszy czołem, oddał panu Sapieże pismo Kmicicowe.

Hetman, nie czekając, złamał pieczęć i począł czytać głośno:

„Jaśnie wielmożny panie hetmanie!

Iżem wieści ni języków dotąd nie przysyłał, to dlatego, żem w przodku, nie pozadzie wojsk księcia Bogusławowych szedł i chciałem się większą kupą przysłużyć...“

Hetman przerwał czytanie.

— To djabeł! — rzekł — zamiast iść za księciem to on przed księcia się wysforował!

— Niechże go kule biją!... — dodał półgłosem Oskierka.

Hetman czytał:

„Bo chociaż niebezpieczna to była impreza, gdyż podjazdy szeroko szły, wszelako dwa zniósłszy i nikogo nie żywiąc, w przodek się wydostałem, od czego wielka księcia napadła konfuzja, albowiem zaraz począł suponować, iż jest otoczony i jako w potrzask lezie“...

— To dlatego to niespodziane cofanie się! — zawołał hetman. — Djabeł, czysty djabeł!

Lecz czytał coraz ciekawej:

„Książę nie rozumiejąc, co się stało, jął głowę tracić i podjazd za podjazdem wysyłał, któreśmy też znacznie szarpali, iż żaden w tej samej liczbie nie wracał. Idąc zaś w przodku, wiwendę przejmowałem, groblem rozkopywał i mosty psuł, tak, iż z wielką fatygą postępować przed się mogli, nie śpiąc, nie jedząc, dnia i nocy bezpiecznej nie mając. Z obozu nie mogli się wychylić, bo ordyńcy nieostrożnych chwytali, co się zaś obóz zdrzemnął, to mu z łozy okrutnie wyli, oni zaś, myśląc, iż wielkie wojsko na nich następuje przez całe noce w gotowości stać musieli. Czem książę do znacznej desperacji przywiedzion, nie wie, co ma począć, gdzie iść i jako się obrócić — dlatego rychle nań następować trzeba, póki terror nie przejdzie. Wojska ma sześć tysięcy, ale blisko tysiąca stradał. Konie mu padają.

Rajtarja dobra, piechoty słuszne, Bóg jednak dał, iż to z dnia na dzień topnieje, a byle nasze wojska ich dosięgły, to się rozlecą. Karoce książęce, część kredensu i rzeczy zacnych w Białymstoku zachwyciłem, z dwiema armatami, alem co większe potopić musiał. Książę zdrajca od ustawicznej cholery silnie zachorzał i ledwie na koniu usiedzieć może, febris nie opuszcza go dniem i nocą. Panna Borzobohata zagarnięta, ale chorym będąc, na cnotę jej nastawać nie może. Wieści takowe i konfesje o desperacji od jeńców powziąłem, których moi Tatarzy przypiekali i którzy, byle ich jeszcze raz przypiec, prawdę powtórzyć są gotowi. Zaczem służby moje pokorne jwpanu i hetmanowi memu polecając, o przebaczenie, jeślim w czem pobłądził, proszę. Ordyńcy dobrzy pachołkowie i widząc siła zdobyczy, okrutnie służą".

— Jaśnie wielmożny panie! — rzekł Oskierka. — Już wasza wielmożność pewnie mniej żałuje, że Wołodyjowskiego tu niemasz, bo i ten temu wcielonemu djabłu nie wyrówna.

— To są zdumiewające rzeczy! — rzekł, biorąc się za głowę pan Sapieha. — A nie łże-li on?

— To ambitna sztuka! On i księciu wojewodzie wileńskiemu prawdę w oczy gadał, ani dbając, czy mu miło słuchać, czy niemiło. Ot! ten sam proceder, co z Chowańskim, jeno Chowański miał piętnaście razy więcej wojska.

— Jeśli to prawda, to trzeba następować jako najprędzej — rzekł Sapieha.

— Póki się książę nie opamięta.

— Ruszajmy, na miły Bóg! Tamten mu groble rozkopuje, to i dognamy!

Tymczasem jeńcy, których Tatarzy w kupie przed hetmanem trzymali, poczęli, widząc przed sobą hetmana, jęczeć, płakać, nędzę swoją okazywać i różnemi językami litości wzywać. Byli bowiem między nimi Szwedzi, Niemcy i przyboczni Bogusławowi Szkoci. Pan Sapieha odjął ich Tatarom, jeść dać kazał i konfesaty bez przypiekania prowadzić.

Zeznania potwierdziły prawdę słów Kmicicowych. Więc wszystkie wojska sapieżyńskie ruszyły z wielkim impetem naprzód.

ROZDZIAŁ XIX.

Następna relacja Kmicicowa przyszła z Sokółki i brzmiała krótko:

„Książę, aby wojska nasze omylić, symulował pochód ku Szczuczynowi, dokąd podjazd wysłał. Sam z główną siłą poszedł do Janowa i tam posiłki w piechocie otrzymał, które kapitan Kyritz przyprowadził: ośmset ludzi dobrych. Od nas ognie książęce widać. W Janowie mają tydzień wypocząć. Jeńcy mówią, że i bitwę przyjąć gotów. Febra trzęsie go ciągle“.

Po odebraniu tej relacji pan Sapieha, zostawiwszy resztę wozów i armat, ruszył komunikiem do Sokółki i nakoniec dwa wojska stanęły sobie oko w oko. Przewidywano też, że bitwa jest nieuchronną, gdyż jedni nie mogli już dłużej uciekać, drudzy gonić. Tymczasem jako zapaśnicy, którzy po długiej gonitwie mają się schwycić za bary, leżeli naprzeciw siebie, łapiąc powietrze w zadyszane gardziele i odpoczywali.

Pan hetman, gdy ujrzał Kmicica, chwycił go w ramiona i rzekł:

— Już mi i gniewno było na ciebie, żeś tak długo znać o sobie nie dawał, ale widzę, żeś więcej sprawił, niż się spodziewać mogłem i da Bóg wiktorję, twoja, nie moja będzie zasługa. Szedłeś jako anioł stróż za Bogusławem!

Kmicicowi złowrogie światła zabłysły w oczach:

— Jeślim mu aniołem stróżem, to i przy skonaniu jego być muszę.

— Bóg tem rozrządzi, — rzekł poważnie hetman, ale chcesz, by cię błogosławił, to ścigaj nieprzyjaciela ojczyzny, nie prywatnego.

Kmicic skłonił się w milczeniu, ale nie znać było, aby piękne słowa hetmańskie wywarły nań jakiekolwiek wrażenie. Twarz jego wyrażała nieubłaganą nienawiść i tem była groźniejsza, że trudy pościgu za Bogusławem wychudziły ją jeszcze więcej. Dawniej w tem obliczu malowała się jeno odwaga i zuchwała płochość, teraz stało się surowem i zarazem zawziętem. Łatwo zgadłeś, że komu ten człowiek zapisał w duszy zemstę, ten winien się strzec, choćby był Radziwiłłem.

Jakoż mścił się już straszliwie. Usługi w tej wojnie oddał istotnie olbrzymie. Wysforowawszy się przed Bogusława, zbił go z tropu, pomylił jego rachuby, wpoił weń przekonanie, iż jest otoczony i do cofania się przymusił. Dalej szedł przed nim dzień i noc. Podjazdy znosił, dla jeńców był bez miłosierdzia. W Siemiatyczach, w Bockach, w Orlej i około Bielska napadł głuchą nocą na cały obóz.

W Wojszkach, niedaleko Zabłudowa, w szczerych radziwiłłowskich ziemiach, wpadł jak ślepy huragan na samą kwaterę książęcą, tak, iż Bogusław, który właśnie był do obiadu zasiadł, omal żywcem nie wpadł w jego ręce i tylko dzięki panu Sakowiczowi, podkomorzemu oszmiańskiemu, wyniósł zdrową głowę. Pod Białymstokiem Kmicic porwał karoce i kredensy Bogusławowe. Wojsko jego znużył, rozprzęgł, ogłodził. Wyborne piechoty niemieckie i rajtarje szwedzkie, które Bogusław z sobą przywiódł, wracały do idących kościotrupów podobne, w obłędzie, w przerażeniu, bezsenności. Wściekłe wycie Tatarów i wolentarzy Kmicicowych rozlegało się przed nimi, z boków, zprzodu, ztyłu. Zaledwie strudzony żołnierz oczy przymknął, gdy musiał chwytać za broń. Im dalej, tem było gorzej.

Drobna szlachta, zamieszkująca owe okolice, łączyła się z Tatary, potrosze z nienawiści do birżańskich Radziwiłłów, potrosze ze strachu przed Kmicicem, bo opornych karał bez miary. Więc siły jego rosły, Bogusławowe topniały.

Do tego sam Bogusław istotnie był chory, a chociaż w sercu tego człowicka nigdy troska nie zagnieździła się na

długo i choć astrologowie, którym wierzył ślepo, przepowiedzieli mu w Prusach, iż osoby jego nic złego w tej wyprawie nie spotka, przecie ambicja jego, jako wodza, cierpiała nieraz srodze. On, którego imię, jako wodza, powtarzano z podziwem w Niderlandach, nad Renem i we Francji, bity był w tych zapadłych lasach przez niewidzialnego nieprzyjaciela codziennie i bez bitwy zwyciężany.

Była przytem w tym pościgu taka niezwykła zawziętość i przechodząca zwykłą wojenną miarę natarczywość, że Bogusław, z wrodzoną sobie bystrością, odgadł po kilku dniach, że ściga go jakiś nieubłagany wróg osobisty. Dowiedział się łatwo nazwiska: Babinicz, bo powtarzała je cała okolica, ale nazwisko owo było mu obce. Niemniej rad był poznać osobę i przez drogę w czasie pościgu urządzał dziesiątki i setki zasadzek. Zawsze napróżno! Babinicz umiał ominąć potrzask i zadawał klęskę tam, gdzie go się najmniej spodziewano.

Aż wreszcie oba wojska stoczyły się w okolice Sokółki. Bogusław znalazł tam istotne posiłki, pod wodzą v. Kyritza, który nie wiedząc poprzednio, gdzie książę się obraca, zaszedł do Janowa. Tam też miał się rozstrzygnąć los Bogusławowej wyprawy.

Kmicic pozamykał szczelnie wszystkie drogi, wiodące z Janowa do Sokółki, Koryczyna, Kuźnicy i Suchowola. Okoliczne lasy, łoży i chaszcze zajmowali Tatarzy. List nie mógł przejść, żaden wóz z żywnością dojść — samemu więc Bogusławowi pilno było do bitwy, póki jego wojska ostatniego janowskiego suchara nie zjedzą.

Lecz jako człek bystry i wszelakich intryg świadomy, postanowił próbować wpierw układów. Nie wiedział jeszcze, że pan Sapieha w tego rodzaju praktykach o wiele go rozumem i biegłością przenosił. Przyjechał więc do Sokółki od imienia Bogusława pan Sakowicz, podkomorzy i starosta oszmiański, dworzanin jego i przyjaciel osobisty. Przywiózł on ze sobą listy i moc zawarcia pokoju.

Ów pan Sakowicz, człek możny, który później do se-

natorskich godności doszedł, bo został wojewodą smoleńskim i podskarbim Wielkiego Księstwa, był tymczasem jednym ze słynniejszych kawalerów na Litwie, a słynął zarówno z męstwa, jak i z urody. Wzrostu średniego, włos na głowie i brwiach miał czarny, jak skrzydło krucze, oczy zaś miał bladoniebieskie patrzące z dziwną i niewypowiedzianą zuchwałością, tak, że Bogusław mawiał o nim, iż oczyma jakoby obuszkiem uderza. Nosił się z cudzoziemska, który strój z podróży odbywanych wraz z Bogusławem przywiózł, mówił on prawie wszystkiemi językami; w bitwie zaś rzucał się w największy wir tak szalenie, iż go pomiędzy przyjaciółmi „straceńcem“ nazywano.

Lecz dzięki olbrzymiej sile i przytomności, wychodził zawsze cało. Opowiadano o nim, że karocę w biegu, chwyciwszy za tylne koła, zatrzymywał; pić mógł bez miary. Połykał kwartę śliwek na wódce, poczem był tak trzeźwy, jakby nic w usta nie brał. Z ludźmi nieużyty, dumny, zaczepny, w Bogusławowem ręku miękł jak wosk. Obyczaje miał polerowne i choćby na pokojach królewskich umiał się znaleźć, ale przytem i jakowąś dzikość w duszy, która wybuchała od czasu do czasu, jak płomień.

Był to raczej kompanjon, niż sługa księcia.

Bogusław, który naprawdę nikogo nigdy w życiu nie kochał, miał niezwalczoną słabość dla tego człowieka. Z natury skąpy wielce, dla jednego Sakowicza był hojny. Wpływami swemi wyniósł go na podkomorstwo i udarował starostwem oszmiańskiem.

Po każdej bitwie pierwszem jego pytaniem było: — Gdzie Sakowicz i czyli jakiego szwanku nie poniósł? — Na radach jego siła polegał, a używał go zarówno w wojnie, jak i do układów, w których śmiałość, a nawet bezczelność pana starosty oszmiańskiego wielce bywała skuteczna.

Teraz wysłał go do Sapiehy. Lecz misja była trudna, najprzód, że łatwo mogło paść na starostę posądzenie, iż tylko na przeszpiegi i tylko dla obejrzenia sapieżyńskich

wojsk przyjechał; po wtóre, że poseł wiele miał do żądania, nic do ofiarowania.

Na szczęście, pan Sakowicz nie byle czem się ,tropił. Wszedł więc jak zwycięzca, który przyjeżdża dyktować warunki zwyciężonemu i zaraz uderzył swemi blademi oczyma w pana Sapiehę.

Pan Sapieha, widząc ową butę, uśmiechnął się jeno nawpół z politowaniem. Każdy człowiek śmiałością i zuchwalstwem wielce może imponować, lecz ludziom pewnej miary; hetman zaś wyższy był nad miarę pana Sakowicza.

— Pan mój, książę na Birżach i Dubinkach, koniuszy Wielkiego Księstwa i wódz naczelny wojsk jego książęcej wysokości elektora, — rzekł Sakowicz, — przysyła mnie z pokłonem i zapytaniem o zdrowie waszej dostojności.

— Podziękuj waszmość księciu i powiedz, iżeś mnie zdrowym widział.

— Mam tu i pismo do waszej dostojności.

Sapieha wziął list, otworzył dość niedbale, przeczytał i rzekł:

— Szkoda czasu... Nie mogę wymiarkować, o co księciu chodzi... Poddajecie się li, czy też chcecie szczęścia popróbować?

Sakowicz udał zdumienie.

— Czy my się poddajemy? Mniemam, że książę to właśnie w liście owym proponuje waszej dostojności, abyś się wasza dostojność poddał; przynajmniej moje instrukcje...

Sapieha przerwał:

— O waścinych instrukcjach pomówimy później. Mój panie Sakowicz! Gonimy za wami blisko trzydzieści mil, jako ogary za zającem... Czy waść słyszał kiedy, żeby zając poddanie się ogarom proponował?

— Odebraliśmy posiłki.

— Von Kyritz z ośmiuset ludzi. Reszta tak fatigati, że się przed bitwą pokładą. Powiem waści, co powtarzał Chmielnicki: szkoda howoryty!

— Elektor z całą potęgą stanie za nas.

— To dobrze... Nie będę go potrzebował daleko szukać, bo właśnie chcę go spytać, jakiem to prawem posyła wojsko w granice Rzeczypospolitej, której jest lennikiem do wierności zobowiązanym?

— Prawem mocniejszego.

— Może w Prusiech takie prawa egzystują, u nas nie... Wreszcie, jeśliście mocniejsi, dawajcie pole!

— Dawnoby książę na waszą dostojność nastąpił, gdyby nie to, że mu krwi swojackiej szkoda.

— Bodaj mu pierwej było szkoda!

— Dziwi się też książę zawziętości Sapiehów na dom radziwiłłowski i że wasza dostojność dla prywatnej zemsty nie wahasz się ojczyzny krwią oblewać.

— Tfu! — zakrzyknął Kmicic, słuchający za krzesłem hetmańskiem rozmowy.

Pan Sakowicz wstał. podszedł ku niemu i uderzył go oczyma.

Lecz trafił swój na swego, albo na lepszego i w oczach pana Kmicica znalazł starosta taką odpowiedź, że wzrok spuścił ku ziemi.

Hetman brwi zmarszczył.

— Siadaj, panie Sakowicz, a waść tam cicho!

Poczem rzekł:

— Sumienie jeno prawdę mówi, a gęba ją pożuje i kłamstwo na świat wyplunie. Ten, który z obcemi wojskami napada kraj, krzywdę zarzuca temu, który go broni. Bóg to słyszy, a niebieski kronikarz zapisuje.

— Przez nienawiść sapieżyńską do Radziwiłłów zgorzał książę wojewoda wileński.

— Zdrajców, nie Radziwiłłów nienawidzę, a najlepszy dowód, że książę krajczy Radziwiłł jest w moim obozie... Mów waść, czego chcesz?

— Wasza dostojność, powiem, co mam w sercu: nienawidzi ten, który skrytych zbójców nasyła...

Zkolei zdumiał się pan Sapieha.

— Ja zbójców na księcia Bogusława nasyłam?

Sakowicz utkwił straszne oczy w hetmanie i rzekł dobitnie:

— Tak jest!

— Waść oszalałeś!

— Onegdaj złapano za Janowem człeka, zbója, który już raz do zamachu na życie książęce należał. Tortury sprawią, iż powie, kto go wysłał...

Nastała chwila ciszy, lecz w tej ciszy usłyszał pan Sapieha, jak Kmicic, stojący za nim, powtórzył dwakroć przez zaciśnięte wargi:

— Gorze! gorze!

— Bóg mnie sądzi, — odparł z prawdziwie senatorską powagą hetman, — waćpanu, ani twojemu księciu nie będę się usprawiedliwiał, boście mi na sędziów nie stworzeni. A wać, zamiast marudzić, gadaj poprostu, z czemeś przyjechał i jakie książę kondycje podaje?

— Książę pan mój zniósł Horotkiewicza, poraził pana Krzysztofa Sapiehę, odebrał Tykocin, dlatego słusznie za zwycięzcę podawać się może i korzyści znacznych żądać. Żałując jednak rozlewu krwi chrześcijańskiej, pragnie w spokoju do Prus odejść, nic więcej nie wymagając, jak, żeby mu po zamkach prezydja swoje wolno było zostawić. Wzięliśmy też jeńców niemało, między którymi są znaczni oficyjerowie, nie licząc panny Borzobohatej Krasieńskiej, która już do Taurogów została odesłana. Ci mogą być w rumel wymienieni.

— Wać się zwycięstwami nie chełp, bo oto moja przednia straż, której tu obecny pan Babinicz przewodził, przez trzydzieści mil was parła... przed którą uciekając, straciliście dwa razy tyle jeńców, ileście ich poprzednio wzięli; straciliście wozy, armaty, kredensy. Wojsko znużone z głodu wam pada, nie macie co jeść, nie wiecie gdzie się obrócić. Wać widziałeś moje wojsko. Nie kazałem ci umyślnie oczu wiązać, abyś mógł rozpoznać, jeżeli mierzyć się z nami możecie. Co się owej panny tyczy, nie pod moją

ona opieką, ale pana Zamoyskiego i księżnej Gryzeldy Wiśniowieckiej. Z nimi to policzy się książę, krzywdę jej czyniąc. Wać zaś gadaj, co jeszcze masz do powiedzenia, a mów mądrze, bo inaczej każę zaraz panu Babiniczowi następować.

Sakowicz zamiast odpowiedzieć, zwrócił się do Kmicica:

— To tedy waść nas tak dojeżdżał w drodze? Musiałeś u Kmicica zbójecki proceder praktykować...

— Miarkujcie po własnej skórze, czylim dobrze praktykował!

Hetman znów brwi zmarszczył.

— Nic tu po tobie! — rzekł do Sakowicza — możesz jechać.

— Wasza dostojność daj mi przynajmniej pismo do księcia pana.

— Niech i tak będzie. Poczekasz waść na pismo u pana Oskierki.

Usłyszawszy to pan Oskierka, wyprowadził zaraz Sakowicza. Hetman na pożegnanie ręką mu kiwnął, poczem zwrócił się zaraz do pana Andrzeja:

— Czemuś to mówił: „gorze!“ gdy o tym schwytanym człeku była mowa? — rzekł patrząc surowo i bystro w oczy rycerza — zali nienawiść tak w tobie sumienie zgłuszyła, żeś istotnie nasadził zbója na księcia?

— Na Najświętszą Pannę, której broniłem, nie! — odrzekł Kmicic. — Nie przez cudze ręce chciałbym się do jego gardła dobrać!

— Czemuś mówił: „gorze!“ Znasz tego człowieka?

— Znam — odrzekł blednąc ze wzruszenia i wściekłości Kmicic. — Wyprawiłem go jeszcze ze Lwowa do Taurogów... Książę Bogusław porwał do Taurogów pannę Billewiczównę... Miłuję tę pannę!... Mieliśmy się pobrać... Wysłałem tego człeka, aby mi o niej dał wiadomość... W takiem ręku była...

— Uspokój się, — rzekł hetman, — dałeś mu jakowe listy?

— Nie... Onaby czytać nie chciała.

— Dlaczego?

— Bo jej Bogusław powiedział, iżem mu się króla porwać ofiarował...

— Wielkie są powody twojej ku niemu nienawiści. Przyznaję.

— Tak, wasza dostojność, tak!

— Czyli książę zna tego człowieka?

— Zna. To wachmistrz, Soroka... Onże mi pomagał do porwania Bogusława...

— Rozumiem — rzekł hetman. — Czeka go pomsta książęca.

Nastała chwila milczenia.

— Książę w matni, — rzekł po chwili hetman, — może się zgodzi go oddać.

— Wasza dostojność! — rzekł Kmicic — niech wasza dostojność zatrzyma Sakowicza, a mnie do księcia wyszle. Może go wydobędę.

— Także ci chodzi o niego?

— Stary żołnierz, stary sługa... Na ręku mnie nosił. Siła razy życie mi ratował... Bógby mnie skarał, gdybym go w takich terminach zaniechał.

I Kmicic drżeć począł z żalu i niepokoju, a hetman rzekł:

— Nie dziwno mi, że cię żołnierze miłują, bo i ty ich miłujesz. Uczynię, co mogę. Napiszę do księcia, że mu kogo chce za tego żołnierza puszczę, który zresztą z rozkazu twego, jako niewinne instrumentum działał.

Kmicic porwał się za głowę.

— Co on tam dba o jeńców, nie puści go, by i za trzydziestu.

— To i tobie go nie odda, jeszcze na twoje gardło nastąpi.

— Wasza dostojność... za jednegoby go oddał: za Sakowicza.

— Sakowicza więzić nie mogę, to poseł!

— Niech go wasza dostojność zatrzyma, a ja z listem do księcia pojadę. Może wskóram... Bóg z nim! Zemsty zaniecham, byle mi tego żołnierza puścił!...

— Czekaj — rzekł hetman. — Sakowicza zatrzymać mogę. Prócz tego napiszę księciu, aby przysłał glejt bezimienny.

To rzekłszy, hetman zaraz pisać zaczął. W kwadrans później kozak skoczył z listem do Janowa, a pod wieczór wrócił z odpowiedzią Bogusława.

— „Glejt na żądanie posyłam“. — pisał Bogusław. — „z którym każdy wysłaniec bezpiecznie powróci. lubo dziwno mi to. że wasza dostojność glejtu żądasz. mając u siebie jako zakładnika sługę i przyjaciela mego. pana starostę oszmiańskiego. dla którego tyle mam afektu, iżbym za niego wszystkich oficerów waszej dostojności wypuścił. Wiadomo też, że posłów nie biją i że nawet dzicy Tatarowie. którymi wasza dostojność moje chrześcijańskie wojsko wojujesz, szanować ich zwykli. Zaczem bezpieczeństwo wysłańca mojem osobistem książęcem słowem poręczając. piszę się etc.“

Tegoż jeszcze wieczora Kmicic wziął glejt, dwóch Kiemliczów i pojechał. Pan Sakowicz został jako zakładnik w Sokółce.

ROZDZIAŁ XX.

Była blisko północ, gdy pan Andrzej opowiedział się pierwszym strażom książęcym. ale w całym obozie Bogusława nikt nie spał. Bitwa mogła nastąpić lada chwila, więc przygotowywano się do niej gorliwie. Wojska książęce zajmowały sam Janów, panowały nad gościńcem z Sokółki. którego pilnowała artylerja, przez biegłych elektorskich obsługiwana. Armat tam było trzy tylko, ale prochów i kul dostatek. Z obu stron Janowa, między brzeźniakami. kazał Bogusław usypać szańczyki, na nich zaś ustawić organki i piechotę. Jazda zajmowała sam Janów. gościniec za armatami. oraz przerwy

między szańcami. Pozycja dość była obronna i ze świeżym ludem, można się było długo i krwawo w niej bronić, lecz nowego żołnierza było tylko ośmset piechoty pod Kyritzem, reszta tak znużona, iż ledwie na nogach stała. Prócz tego, wycie tatarskie słyszano w Suchowolu na północ, zatem ztyłu Bogusławowych szyków, skutkiem czego szerzył się pewien postrach między żołnierstwem. Bogusław musiał wysłać w tę stronę wszystką lekką jazdę, która uszedłszy pół mili, nie śmiała ani wracać nazad, ani iść dalej, z obawy jakowej zasadzki w lasach.

Bogusław, jakkolwiek febra w połączeniu z silną gorączką dokuczała mu więcej, niż kiedykolwiek, sam wszystkiem zawiadywał, że zaś na koniu z trudnością mógł usiedzieć, kazał się więc czterem drabantom nosić w otwartej lektyce. Tak zwiedził gościniec, brzeźniaki i wracał właśnie do Janowa, gdy dano mu znać, iż wysłaniec książęcy się zbliża.

Było to już w ulicy. Bogusław nie mógł poznać Kmicica z powodu ciemnej nocy i dlatego, że pan Andrzej przez zbytek ostrożności ze strony oficerów przedniej straży, miał głowę zasłoniętą workiem, w którym tylko otwór na usta był przecięty.

Jednakże dostrzegł książę worek, gdyż Kmicic zlazłszy z konia, stał tuż obok, więc kazał go zdjąć natychmiast.

— Tu już Janów — rzekł — i niema z czego czynić tajemnicy.

Poczem zwrócił się w ciemności do pana Andrzeja:

— Od pana Sapiehy?

— Tak jest.

— A co tam pan Sakowicz porabia?

— Pan Oskierka go podejmuje.

— Czemużeście glejtu zażądali, skoro Sakowicza macie? Zbyt ostrożny pan Sapieha i niech patrzy, aby nie przemądrował.

— To nie moja rzecz! — odparł Kmicic.

— Ale widzę, że pan poseł niezbyt mowny.

— Pismo przywiozłem, a w mojej prywatnej sprawie w kwaterze przemówię.

— To jest i prywatka?

— Znajdzie się prośba do waszej ks. mości.

— Rad będę nie odmówić. Teraz proszę za sobą. Siadaj waść na koń. Prosiłbym do lektyki, ale za ciasno.

Ruszyli. Książę w lektyce, a Kmicic obok konno. I w ciemnościach spoglądali jeden na drugiego, nie mogąc twarzy swych wzajemnie dojrzeć. Po chwili książę, mimo futer, trząść się zaczął, tak, że aż zębami kłapał. Wreszcie rzekł:

— Licho mnie napadło... żeby nie to... brr!... innebym kondycje postawił...

Kmicic nie odrzekł nic i tylko oczami chciał przebić ciemność, wśród której głowa i twarz książęca rysowały się w niewyraźnych szarych i białawych zarysach. Na dźwięk Bogusławowego głosu i na widok jego postaci, wszystkie dawne urazy, stara nienawiść i paląca chęć zemsty, wezbrały tak w jego sercu, iż zmieniły się prawie w szał... Ręka mimowoli szukała miecza, który mu odjęto, ale za pasem miał buławę o żelaznej głowie, swój znak pułkownikowski, więc djabeł począł mu zaraz wichrzyć w mózgu i szeptać:

— Krzyknij mu w ucho, ktoś jest i rozbij łeb w drzazgi... Noc ciemna... wydostaniesz się... Kiemlicze z tobą. Zdrajcę zgładzisz, za krzywdy zapłacisz... Uratujesz Oleńkę, Sorokę... Bij! bij!...

Kmicic zbliżył się jeszcze bliżej do lektyki i drżącą ręką począł wyciągać z za pasa buzdygan.

— Bij!... — szeptał djabeł. — Ojczyźnie się przysłużysz...

Kmicic wyciągnął już buławę i ścisnął za rękojeść, jakby ją chciał rozgnieść w dłoni.

— Raz, dwa, trzy!... szepnął djabeł.

Lecz w tej chwili koń jego, czyto, że uderzył nozdrzami w hełm drabanta, czy przestraszył się, dość, że zarył nagle kopytami w ziemię, potem potknął się silnie; Kmicic po-

derwał go cuglami. Przez ten czas lektyka oddaliła się o kilkanaście kroków.

A junakowi włos stanął dębem na głowie.

— Matko Najświętsza, trzymaj mi rękę! — szepnął przez zaciśnięte zęby. — Matko Najświętsza, ratuj! Jam tu poseł, ja od hetmana przyjeżdżam, a chcę jako zbój nocny mordować... Jam szlachcic, jam sługa Twój... Nie wódźże mnie na pokuszenie!

— A czego to waść marudzisz? — ozwał się przerywany przez febrę głos Bogusława.

— Jestem już!

— Słyszysz waść... kury po zapłociach pieją... Trzeba się śpieszyć, bom też chory i odpocznienia potrzebuję.

Kmicic zasadził buzdygan za pas i jechał dalej w pobliżu lektyki. Jednakże nie mógł odzyskać spokoju. Rozumiał, że tylko zimną krwią i panowaniem nad sobą zdoła uwolnić Sorokę; dlatego układał sobie zgóry, jakiemi słowy ma przemówić do księcia, aby go skłonić i przekonać. Przysięgał więc sobie, że tylko Sorokę mieć będzie na uwadze, że o niczem innem ani wspomni, a zwłaszcza o Oleńce.

I czuł, jak w ciemności gorące rumieńce oblewają mu twarz, na myśl, że może sam książę wspomni o niej, a może wspomni coś takiego, czego nie będzie mógł pan Andrzej przetrzymać, ani wysłuchać.

— Niechże jej nie tyka, — mówił sobie w duszy, — niech jej nie tyka, bo w tem jego śmierć i moja... Niech nad sobą samym ma miłosierdzie, jeżeli mu sromu nie starczy...

I cierpiał okrutnie pan Andrzej; w piersiach nie stawało mu powietrza, a gardło tak miał ściśnięte, iż bał się, że gdy przyjdzie mówić, słowa nie zdoła z siebie wydobyć.

W tym ucisku dusznym począł litanię odmawiać.

Po chwili przyszła nań ulga, uspokoił się znacznie i owa niby obręcz żelazna, która gniotła mu krtań, sfolżała.

Tymczasem przyjechali do książęcej kwatery. Drabanci postawili lektykę; dwóch rękodajnych dworzan wzięło

księcia pod ramiona; on zaś zwrócił się do Kmicica i szczękając ciągle zębami, rzekł:

— Proszę za sobą... Paroksyzm zaraz minie... Będziem się mogli rozmówić.

Jakoż po chwili znaleźli się obaj w osobnej komnacie, w której na kominie żarzyły się kupy węgli i gorąco było nieznośne. Tam ułożono księcia Bogusława na długiem polowem krześle, okryto futrami i przyniesiono światło. Zaczem dworzanie oddalili się, książę zaś przechylił wtył głowę, przymknął oczy i tak pozostał czas jakiś nieruchomy.

Wreszcie rzekł:

— Zaraz... niech odpocznę...

Kmicic patrzył na niego. Książę nie zmienił się wiele, jeno febra ściągnęła mu twarz. Ubielony był, jak zwykle i na jagodach pomalowany barwiczką, ale właśnie dlatego, gdy leżał tak z zamkniętemi oczyma i z głową przechyloną, podobny był trochę do trupa, albo woskowej figury.

Pan Andrzej stał przed nim w świetle świecznika. Książęce powieki poczęły się otwierać leniwie, nagle otworzyły się zupełnie i jakoby płomień przeleciał mu przez twarz. Lecz trwało to przez okamgnienie, poczem znów zamknął oczy.

— Jeśliś jest duch, nie boję się ciebie, — rzekł, — ale przepadnij!

— Przyjechałem z pismem od hetmana — odpowiedział Kmicic.

Bogusław wzdrygnął się nieznacznie, jakby się chciał z mar otrząsnąć; następnie popatrzył na Kmicica i ozwał się:

— Chybiłem waćpana?...

— Nie ze wszystkiem — odpowiedział ponuro pan Andrzej, ukazując palcem na bliznę.

— To już drugi!... — mruknął nawpół do siebie książę.

I głośno dodał:

— Gdzie jest pismo?

— Jest — odrzekł Kmicic. podając list.

Bogusław począł czytać, a gdy skończył, dziwne światła błysnęły mu w oczach.

— Dobrze! — wyrzekł — dość marudztwa!... Jutro bitwa... I rad jestem, bo jutro febry nie mam.

— I u nas porówno radzi — odparł Kmicic.

Nastała chwila milczenia, w czasie której dwóch tych nieubłaganych wrogów mierzyło się oczyma z pewną straszliwą ciekawością.

Książę pierwszy począł rozmowę:

— Zgaduję, że to waść mnie tak dojeżdżał z Tatary?...

— Ja...

— A żeś to nie bał się tu przyjechać?...

Kmicic nie odrzekł nic.

— Chybaś na pokrewieństwo przez Kiszków liczył... Bo to mamy z sobą rachunki... Mogę cię, panie kawalerze, kazać ze skóry obedrzeć.

— Możesz, wasza ks. mość.

— Przyjechałeś z glejtem, prawda... Rozumiem teraz, dlaczego pan Sapieha go żądał!... Aleś na życie moje nastawał... Tam Sakowicz zatrzymany; wszelako... pan wojewoda nie ma prawa do Sakowicza, a ja do ciebie mam... kuzynie...

— Przyjechałem z prośbą do waszej książęcej mości...

— Proszę! Możesz liczyć, że dla ciebie wszystko uczynię... Jakaż to prośba?

— Jest tu schwytany żołnierz, jeden z tych, którzy mi pomagali waszą książęcą mość porwać. Ja dawałem rozkaz, on działał jako ślepe instrumentum. Tego żołnierza zechciej wasza książęca mość na wolność wypuścić.

Bogusław pomyślał chwilę.

— Panie kawalerze, — rzekł, — namyślam się, czyś lepszy żołnierz, czy też bezczelniejszy suplikant...

— Ja tego człowieka darmo od waszej ks. mości nie chcę.

— A co mi za niego dajesz?

— Samego siebie.

— Proszę, takiż to miles praeciosus?... Hojnie płacisz, ale bacz, by ci starczyło, boć jeszcze pewnie kogoś chciałbyś ode mnie wykupić...

Kmicic posunął się o krok bliżej i pobladł tak straszliwie, iż książę mimowoli spojrzał na drzwi i mimo całej swej odwagi zmienił przedmiot rozmowy.

— Pan Sapieha na takowy układ nie przystanie — rzekł. — Radbym cię miał, alem słowem książęcem za bezpieczeństwo twoje zaręczył.

— Przez tego żołnierza odpiszę panu hetmanowi, żem dobrowolnie został.

— A on zażąda, bym cię wbrew twej woli odesłał. Zbyt znaczne oddałeś mu posługi... I Sakowicza mi nie puści, a Sakowicza więcej cenię, niż ciebie...

— To uwolnij wasza ks. mość i tak tego żołnierza, a ja się na parol stawię, gdzie rozkażesz.

— Jutro może mi legnąć przyjdzie. Nic mi po układach na pojutrze.

— Błagam waszą książęcą mość! Za tego człowieka ja...

— Co ty?

— Zemsty poniecham.

— Widzisz, panie Kmicic, siła razy chodziłem na niedźwiedzia z oszczepem, nie dlatego, żem musiał, ale z ochoty. Lubię, gdy mi jakowe niebezpieczeństwo grozi, bo mi się życie mniej kuczy. Owóż i twoją zemstę jako uciechę sobie zostawuję, ile że ci przyznać muszę, żeś z takowych niedźwiedzi, co to same strzelca szukają.

— Wasza ks. mość, — rzekł Kmicic, — za małe miłosierdzie często Bóg wielkie grzechy odpuszcza. Nikt z nas nie wie, kiedy mu przed sądem Chrystusowym stanąć przyjdzie...

— Dosyć! — przerwał książę. — Ja też sobie psalmy mimo febry komponuję, żeby jakowąś zasługę mieć przed Panem, a potrzebowałbym-li predykanta, tobym swego zawołał... Waść nie umiesz prosić dość pokornie i na manowce leziesz... Ja ci sam podam sposób: uderz jutro w bitwie na

pana Sapiehę, a ja pojutrze tego gemajna wypuszczę i tobie winy przebaczę. Zdradziłeś Radziwiłłów, zdradźże Sapiehę...

— Ostatnie-li to słowo waszej ks. mości?... Na wszystko święte zaklinam waszą ks. mość...

— Nie! Djabli cię biorą, dobrze!... I na twarzy się mienisz... Nie przychodź jeno za blisko, bo, chociaż ludzi mi wstyd wołać... ale patrz tu! Zbytniś rezolut!

To rzekłszy, Bogusław ukazał z pod futra, którem był okryty, lufę pistoletu i począł patrzeć iskrzącemi oczyma w oczy Kmicica.

— Wasza ks. mość! — zakrzyknął Kmicic, składając wprawdzie ręce jak do prośby, ale z twarzą przez gniew zmienioną.

— To prosisz, a grozisz?... — rzekł Bogusław — kark zginasz, a djabeł ci z za kołnierza zęby do mnie szczerzy?... To pycha ci z ócz błyska, a w gębie grzmi jak w chmurze? Czołem do radziwiłłowskich nóg przy prośbie, mopanku!... Łbem o podłogę bić! wówczas ci odpowiem!...

Twarz pana Andrzeja blada była jak chusta, ręką pociągnął po mokrem czole, po oczach, po twarzy i odrzekł tak przerywanym głosem, jak gdyby febra. na którą cierpiał książę, nagle rzuciła się na niego.

— Jeżeli wasza ks. mość tego starego żołnierza mi wypuści... to... ja... waszej ks. mości... paść do... nóg... gotów...

Zadowolenie błysnęło w Bogusławowych oczach. Wroga upokorzył, dumny kark zgiął. Lepszego pokarmu nie mógł dać zemście i nienawiści.

Kmicic stał zaś przed nim z włosem zjeżonym w czuprynie, dygocąc na całym ciele. Twarz jego, nawet w spokoju do głowy jastrzębiej podobna, przypominała tem bardziej drapieżnego i rozwścieczonego ptaka. Nie zgadłeś, czy za chwilę rzuci się do nóg, czy do piersi książęcej...

A Bogusław, nie spuszczając go z oka, rzekł:

— Przy świadkach! przy ludziach!

I zwrócił się ku drzwiom:

— Bywaj!

Przez otwarte drzwi weszło kilkunastu dworzan, Polaków i cudzoziemców. Za nimi poczęli wchodzić oficerowie.

— Mości panowie! — rzekł książę — oto pan Kmicic, chorąży orszański i poseł od pana Sapiehy, ma mnie o łaskę prosić i chce wszystkich waszmościów mieć za świadków!...

Kmicic zatoczył się jak pijany, jęknął i padł do nóg Bogusławowych.

A książę wyciągnął je umyślnie, tak. że koniec jego rajtarskiego buta dotykał czoła rycerza.

Wszyscy patrzeli w milczeniu zdumieni słynnem nazwiskiem, jak i tem, że ów, który je nosił, był teraz posłem od pana Sapiehy. Wszyscy rozumieli też. że dzieje się coś nadzwyczajnego.

Tymczasem książę wstał i nie rzekłszy ni słowa, przeszedł do przyległej komnaty, kiwnął tylko na dwóch dworzan, żeby szli za nim.

Kmicic podniósł się. W twarzy jego nie było już gniewu ni drapieżności. tylko nieczułość i obojętność. Zdawało się, iż nie zeznaje wcale, co się z nim dzieje i że energja jego złamała się zupełnie.

Upłynęło pół godziny, godzina. Za oknem słychać było tętent kopyt końskich i miarowe kroki żołnierzy, on siedział ciągle, jakby kamienny.

Nagle otworzyły się drzwi do przysionka. Wszedł oficer, dawny znajomy Kmicica z Birż i ośmiu żołnierzy, czterech z muszkietami, czterech bez strzelb, tylko przy szablach.

— Mości pułkowniku, powstań waszmość! — rzekł grzecznie oficer.

Kmicic popatrzył na niego błędnie.

— Głowbicz... — rzekł, poznając oficera.

— Mam rozkaz — odparł Głowbicz — związać waszej mości ręce i wyprowadzić za Janow. Na czas to wiązanie, później odjedziesz wasza mość wolno... Dlatego proszę waszej mości nie stawiać oporu...

— Wiąż! — odrzekł Kmicic.

I pozwolił się bez oporu skrępować. Ale nóg mu nie wiązano. Oficer wyprowadził go z komnaty i wiódł piechotą przez Janów. Zaczem szli jeszcze z godzinę. Po drodze przyłączyło się kilku jezdnych. Kmicic słyszał, że rozmawiają po polsku, Polacy bowiem, którzy jeszcze służyli u Bogusława, znali wszyscy nazwisko Kmicica i dlatego najciekawsi byli, co się z nim stanie. Orszak minął brzeźniak i znalazł się w pustem polu, na którem ujrzał pan Andrzej oddział lekkiej polskiej chorągwi Bogusławowej.

Żołnierze stali szeregiem w kwadrat, w środku był majdan, na nim dwóch tylko piechurów, trzymających konie, ubrane w szleje i kilkunastu ludzi z pochodniami.

Przy ich blasku, ujrzał pan Andrzej pal świeżo zaostrzony, leżący poziomo i przymocowany drugim końcem do grubego pnia drzewa.

Kmicica mimowoli dreszcze przeszły.

— To dla mnie, — pomyślał, — końmi mnie każe na pal nawlec... Dla zemsty — Sakowicza poświęca!

Lecz mylił się, pal przeznaczony był przedewszystkiem dla Soroki.

Przy migocących płomykach dojrzał pan Andrzej samego Sorokę; stary żołnierz siedział tuż obok pnia na zydlu, bez czapki i ze skrępowanemi rękoma, pilnowany przez czterech żołnierzy. Jakiś człek ubrany w półkożuszek bez rękawów, podawał mu w tej chwili gorzałkę w płaskim kubku, którą Soroka pił dość chciwie. Wypiwszy, splunął, a że w tej właśnie chwili postawiono Kmicica między dwoma konnymi w pierwszym szeregu, więc żołnierzysko dojrzał go, zerwał się z zydla i wyprostował się, jakby na paradzie wojskowej.

Przez chwilę patrzyli na się obaj. Soroka twarz miał dość spokojną i zrezygnowaną, poruszał tylko szczękami, jak gdyby żuł.

— Soroka!... — jęknął wreszcie Kmicic.

— Wedle rozkazu! — odpowiedział żołnierz.

I znowu nastało milczenie. Cóż mieli mówić w takiej

chwili? Wtem oprawca, który podawał poprzednio Soroce wódkę, zbliżył się do niego.

— No, stary, — rzekł, — czas na cię!

— A prosto nawłóczcie!

— Nie bój się.

Soroka nie bał się, ale gdy uczuł na sobie ramię oprawcy, począł sapać szybko i głośno, nareszcie rzekł:

— Gorzałki jeszcze...

— Niema!

Nagle jeden z żołnierzy wysunął się z szeregu i podał blaszankę.

— Jest. Dajcie mu!

— Do ordynku! — zakomenderował Głowbicz.

Jednakże człek w kożuszku przechylił manierkę do ust Soroki, on zaś pił obficie, a wypiwszy, odetchnął głęboko.

— Ot! — rzekł — żołnierski los, za trzydzieści lat służby... Nu, czas, to czas!

Drugi oprawca zbliżył się i poczęto go rozbierać.

Nastała chwila ciszy.

Pochodnie drżały w rękach trzymających je ludzi. Wszystkim uczyniło się straszno.

Wtem pomruk zerwał się wśród otaczających majdan szeregów i stawał się coraz głośniejszy. Żołnierz nie kat. Sam zadaje śmierć, lecz widoku męki nie lubi.

— Milczeć! — krzyknął Głowbicz.

Pomruk zmienił się w gwar głośny, w którym brzmiały pojedyńcze słowa: „djabli!“ „pioruny!“ „pogańska służba!“...

Nagle Kmicic krzyknął tak jakby jego samego na pal nawłóczono:

— Stój!!

Oprawcy wstrzymali się mimowoli. Wszystkie oczy zwróciły się na Kmicica.

— Żołnierze! — krzyknął pan Andrzej. — Książę Bogusław zdrajca przeciw królowi i Rzeczypospolitej! Was otoczono i jutro w pień wycięci będziecie! zdrajcy służycie!

Przeciw ojczyźnie służycie! Ale kto służbę porzuci, zdrajcę porzuci, temu przebaczenie królewskie, przebaczenie hetmańskie!... Wybierajcie! Śmierć i hańba, albo nagroda jutro! Lafę wypłacę i dukat na głowę, dwa na głowę!... Wybierać!! Nie wam, godnym żołnierzom, zdrajcy służyć! Niech żyje król! Niech żyje hetman wielki litewski!

Gwar przeszedł w huk. Szeregi złamały się.

Kilkanaście głosów krzyknęło:

— Niech żyje król!

— Dość służby!

— Na pohybel zdrajcy!

— Stać! stać! — wrzeszczały inne głosy.

— Jutro wam w hańbie umierać! — ryczał Kmicic

— Tatarzy w Suchowolu!

— Książę zdrajca!

— Przeciw królowi wojujem!

— Bij!

— Do księcia!

— Stój!

W zamieszaniu jakaś szabla przecięła powrozy, krępujące ręce Kmicica. Ten zaś skoczył w tej chwili na jednego z owych koni, które Sorokę na pal naciągnąć miały i krzyknął już z konia:

— Za mną do hetmana!

— Idę! — wrzasnął Głowbicz. — Niech żyje król!

— Niech żyje! — odpowiedziało pięćdziesiąt głosów i pięćdziesiąt szabel błysnęło jednocześnie.

— Na koń Sorokę! — zakomenderował znowu Kmicic.

Byli tacy, którzy opierać się chcieli, lecz na widok gołych szabel umilkli. Jeden wszelako zawrócił konia i znikł po chwili z oczu. Pochodnie zgasły. Ciemność ogarnęła wszystkich.

— Za mną! — rozległ się głos Kmicica.

I kłąb ludzi bezładny ruszył z miejsca, potem wyciągnął się w długiego węża.

Ujechawszy dwie lub trzy staje, trafili na straże pie-

ohurów, których większe masy zajmowały brzeźniak, leżący z lewej strony.

— Kto idzie? — ozwały się głosy.

— Głowbicz z podjazdem!

— Hasło?

— Trąby!

— Przechodź!

I przejechali, nie śpiesząc się zbytnio: następnie puścili się rysią.

— Soroka! — rzekł Kmicic.

— Wedle rozkazu! — ozwał się obok głos wachmistrza.

Kmicic nie mówił nic więcej, tylko wyciągnąwszy rękę, wsparł dłoń na głowie wachmistrza — jakby się chciał przekonać, czy jedzie obok.

Żołnierz przycisnął w milczeniu tę dłoń do ust.

Wtem ozwał się Głowbicz z drugiego boku:

— Wasza miłość! dawnom to chciał uczynić, co teraz czynię.

— Nie pożałujecie!

— Całe życie będę waszej miłości wdzięczny!

— Słuchaj Głowbicz, czemu to książę was wysłał, nie cudzoziemski regiment, na egzekucję?

— Bo chciał waszą miłość przy Polakach pohańbić. Obcy żołnierz nie zna waszej miłości.

— A mnie nic nie miało się stać?

— Waszej miłości miałem rozkaz powrozy rozciąć. Gdyby zaś wasza miłość porwała się do obrony Soroki, mieliśmy ją przed księcia dostawić po ukaranie.

— Więc i Sakowicza chciał poświęcić — mruknął Kmicic.

Tymczasem w Janowie. książę Bogusław, zmorzon febrą i dziennym trudem, spać już poszedł. Ze snu głębokiego zbudził go rejwach przed kwaterą i pukanie do drzwi.

— Wasza ks. mość! wasza ks. mość! — wołało kilka głosów.

— Śpi! nie budzić! — odpowiadali paziowie.

Lecz książę siadł na łożu i krzyknął:

— Światła!

Wniesiono światło, jednocześnie z niem wszedł oficer służbowy.

— Wasza ks. mość! — rzekł — poseł sapieżyński pobuntował Głowbiczową chorągiew i odprowadził ją do hetmana.

Nastała chwila ciszy.

— Bić w kotły i w bębny, — ozwał się wreszcie Bogusław, — niech wojsko w szyku staje!

Oficer wyszedł, książę pozostał sam.

— To straszny człek! — rzekł po chwili do siebie.

I uczuł, że chwyta go nowy paroksyzm febry.

ROZDZIAŁ XXI.

Łatwo sobie wyobrazić zdziwienie pana Sapiehy, gdy Kmicic nietylko wrócił sam bezpiecznie, lecz przywiódł ze sobą kilkadziesiąt koni i starego sługę. Kmicic po dwakroć musiał opowiadać hetmanowi i panu Oskierce, jak i co się stało, oni zaś słuchali z ciekawością, bijąc często w dłonie i za głowę się biorąc.

— Uważ z tego, — rzekł hetman, — że kto w zemście przesadzi, temu się ona częstokroć jako ptak z palców wychynie. Książę Bogusław Polaków jako świadków twej hańby i męki mieć chciał, aby cię gorzej sponiewierać i przesadził. Ale się z tego nie chełp, bo to zrządzenie Boskie dało ci wiktorję, chociaż swoją drogą to jedno ci powiem: on djabeł, aleś i ty djabeł! Źle książę uczynił, że cię spostponował.

— Ja go nie spostponuję i w zemście, da Bóg, nie przesadzę!

— Niechaj jej całkiem, jako Chrystus niechał, chociaż Bogiem będąc, mógł jednem słowem Żydowinów pogrążyć.

Kmicic nie odrzekł nic, bo też i nie było czasu na rozprawy; nie było nawet i na wypoczynek. Rycerz był znużon

śmiertelnie, a jednak tej nocy jeszcze postanowił jechać do swoich Tatarów, którzy za Janowem stali w lasach i na gościńcach ztyłu wojsk Bogusławowych. Ale ówcześni ludzie dobrze sypiali na kulbakach. Kazał więc tylko pan Andrzej konia świeżego siodłać, obiecując sobie, że się przez drogę smaczno wydrzemie.

Na samem wsiadanem przyszedł do niego Soroka i wyprostował się po służbie.

— Wasza miłość! — rzekł.

— A co powiesz, stary?

— Przyszedłem spytać, kiedy mi jechać?

— Dokąd?

— Do Taurogów.

Kmicic roześmiał się:

— Nie pojedziesz wcale do Taurogów, pojedziesz ze mną.

— Wedle rozkazu! — odpowiedział wachmistrz, starając się nie pokazać po sobie ukontentowania.

Jakoż pojechali razem. Droga była długa, bo należało okładać lasami, aby nie wpaść na Bogusława, zato Kmicic i Soroka wyspali się setnie i bez żadnej przygody przybyli do Tatarów.

Akbah-Ułan stawił się zaraz przed Babiniczem i zdał mu relację ze swych czynności. Pan Andrzej kontent z nich był: wszystkie mosty zostały popalone, groble poniszczone; niedość na tem: wody z wiosną rozlały, zmieniwszy pola, łąki i niższe drogi w grząskie błoto.

Bogusław nie miał innego wyboru, jak bić się, zwyciężyć lub zginąć. O odwrocie niepodobna mu było myśleć.

— Dobrze, — rzekł Kmicic, — zacną ma rajtarję, ale ciężką. Nie będzie z niej na dzisiejsze błota użytku.

Poczem zwrócił się do Akbaha-Ułana.

— Schudłeś! — rzekł, uderzając go w brzuch pięścią — ale po bitwie dukatami książęcemi sobie kałdun napełnisz.

— Bóg stworzył nieprzyjaciół, aby mężowie wojenni łup z kogo brać mieli — odrzekł poważnie Tatar.

— A jazda Bogusławowa stoi przeciw wam?

— Jest ich kilkaset koni dobrych, a wczoraj nadesłano im regiment piechoty i okopali się.

— Zaśby ich nie można w pole wywabić?

— Nie wychodzą.

— A obejść i zostawić, aby się do Janowa dostać?

— Na drodze leżą.

— Trzeba będzie coś obmyślić!

To rzekłszy Kmicic, począł się ręką gładzić po czuprynie.

— Próbowaliście podchodzić? Jak daleko wypadają za wami?

— Na staje, dwa... dalej nie chcą.

— Trzeba będzie coś obmyślić! — powtórzył Kmicic.

Lecz tej nocy nic już nie obmyślił. Zato nazajutrz podjechał z Tatary pod obóz, leżący między Suchowolem a Janowem i rozpoznał, że Akbah-Ułan przesadzał, mówiąc, że piechota okopała się z tej strony; Były tam bowiem tylko szańczyki, nic więcej. Można się było z nich długo bronić, zwłaszcza przeciw Tatarom, którzy nieskoro szli wprost na ogień do ataku, ale nie można było myśleć o wytrzymaniu jakiegokolwiek oblężenia.

— Gdybym miał piechotę, — pomyślał Kmicic, — poszedłbym na dym.

Lecz o sprowadzeniu piechoty trudno było i marzyć, bo naprzód pan Sapieha sam nie miał jej do zbytku, po wtóre czasu na ściągnięcie jej brakło.

Kmicic podjechał tak blisko, iż piechurowie Bogusławowi poczęli do niego ognia dawać, lecz on nie zważał na to, jeździł między kulami, rozpatrywał się, oglądał, a Tatarowie, choć na ogień mniej wytrzymali, musieli mu dotrzymywać kroku. Potem zasię wypadła jazda i zajechała go zboku. On umknął się, poszedł na trzy tysiące kroków i wraz ku nim zawrócił.

Lecz oni zawrócili także z miejsca ku szańczykom. Naprózno Tatarowie wypuścili za nimi chmurę strzał. Spadł

tylko jeden człek z konia, a i to zabrali go i ponieśli.

Kmicic w powrocie, zamiast jechać wprost do Suchowola, rzucił się ku zachodowi i dotarł aż do Kamionki.

Bagnista rzeka rozlała szeroko, bo wiosna była nad podziw w wody obfita. Kmicic popatrzył na rzekę, rzucił w wodę kilkanaście pokruszonych gałązek, aby bystrość prądu wymiarkować i rzekł do Ułana.

— Tędy ich bokiem obejdziemy i ztyłu na nich uderzym.

— Pod wodę konie nie popłyną.

— Leniwo idzie. Popłyną! Ta woda prawie stoi.

— Konie skostnieją i ludzi nie utrzymają. Zimno jeszcze.

— Ludzie popłyną za ogonami. To wasz tatarski proceder.

— Ludzie skostnieją.

— Rozgrzeją się w ogniu.

— Kiszmet!

Nim zmroczyło się na świecie, Kmicic kazał naciąć pęki łoziny, zwiędłego sitowia. trzcin i poprzywiązywać koniom do boków.

Przy pierwszej gwieździe rzucił w wodę około ośmiuset koni i poczęli płynąć. On sam płynął na czele, lecz wkrótce zmiarkował, że tak wolno posuwają się naprzód, iż za dwa dni nie przepłyną poza szańce.

Wówczas kazał się przeprawić na drugi brzeg.

Niebezpieczne to było przedsięwzięcie. Drugi brzeg był prosty i bagnisty. Konie, choć lekkie, lgnęły po brzuchy. Lecz posuwali się naprzód lubo wolno i ratując jeden drugiego.

Tak szli parę stai.

Gwiazdy pokazywały północ. Wtem od południa doszły ich echa dalekiej palby.

— Bitwa poczęta! — krzyknął Kmicic.

— Potoniem! — odpowiedział Akbah-Ułan.

— Za mną!

Tatarzy nie wiedzieli, co czynić. gdy nagle spostrzegli, iż

koń Kmicicowy wynurzył się z błota, trafiwszy widocznie na twardy grunt.

Jakoż poczęła się ława piasku. Po wierzchu było wody do piersi końskich, lecz grunt pod spodem twardy. Szli zatem żwawiej. Na lewo mignęły im dalekie ognie!

— To szańce! — rzekł cicho Kmicic. — Mijamy! obejdziemy!

Po chwili minęli szańce istotnie. Wówczas zwrócili na lewo i wparli znów bachmaty w rzekę, aby wylądować za szańcami.

Przeszło sto koni ulgnęło tuż przy brzegu. Lecz ludzie wydostali się na brzeg prawie wszyscy. Kmicic kazał spieszonym siadać za jezdnymi i ruszył ku szańcom. Poprzednio zostawił był dwustu wolentarzy z rozkazem, by niepokoili szańce zprzodu przez ten czas, gdy im będzie tył zachodził. Jakoż zbliżywszy się, usłyszał strzały, zrazu rzadkie, potem coraz gęstsze.

— Dobrze! — rzekł — tamci atakują!

I ruszyli.

W ciemności widać było tylko gromadę głów podskakujących pod miarę końskiego chodu; szabla nie zabrzękła, zbroja nie zadzwoniła. Tatarzy i wolentarze umieli iść tak cicho, jak wilcy.

Od strony Janowa palba stawała się coraz potężniejsza, widoczne było, że pan Sapieha nastąpił na całej linji.

Lecz na szańczykach, ku którym dążył Kmicic, brzmiały także okrzyki. Kilka stosów drzewa paliło się na nich, rozrzucając blask silny. Przy onym blasku dojrzał pan Andrzej piechurów, strzelających zrzadka, więcej patrzących przed się, w pole, na którem jazda ucierała się z wolentarzami.

Dojrzano i jego ze szańców, lecz zamiast strzałami, przywitano nadciągający oddział gromkim okrzykiem. Żołnierze sądzili, że to Bogusław przysyła im pomoc.

Lecz gdy zaledwie sto kroków dzieliło nadjeżdżającą gromadę od szańców, piechota poczęła ruszać się w nich

niespokojnie; coraz więcej żołnierzy, przykrywając rękoma czoła, patrzyło, co za lud nadjeżdża.

Wtem na kroków pięćdziesiąt straszliwe wycie targnęło powietrzem i oddział rzucił się jak burza, ogarnął piechotę, otoczył ją pierścieniem i cała ta masa ludzi poczęła się poruszać konwulsyjnie. Rzekłbyś olbrzymi wąż dusi upatrzoną ofiarę.

W kupie owej brzmiały rozdzierające wrzaski: — Ałła! Herr Jesus! Mein Gott!

Za szańcami brzmiały nowe okrzyki, bo wolentarze, choć w słabszej liczbie, poznawszy, iż pan Babinicz już w szańcach, natarli z wściekłością na jazdę. Tymczasem niebo, które chmurzyło się już od niejakiego czasu, jako zwyczajnie na wiosnę, lunęło gęstym, niespodzianym dżdżem. Stosy płonące zagasły i walka trwała w ciemnościach.

Lecz nie trwała już długo. Napadnięci znienacka Bogusławowi piechurowie poszli pod nóż. Jazda, w której dużo było swoich ludzi, złożyła broń. Obcych, mianowicie sto dragonji, w pień wycięto.

Gdy księżyc wychynął się znów z za chmur, oświecił tylko gromady Tatarów, docinających rannych i biorących łup.

Lecz nie trwało to długo. Rozległ się przeraźliwy głos piszczałki: Tatarzy i wolentarze jak jeden czowiek skoczyli na koń.

— Za mną! — krzyknął Kmicic.

I poprowadził ich jak wicher do Janowa.

W kwadrans później, podpalono nieszczęsną osadę w czterech rogach, a w godzinę jedno morze płomieni rozlało się tak szeroko, jak starczyło Janowa. Nad pożogą wylatywały ku czerwonemu niebu słupy skier ognistych.

Tak pan Kmicic dawał znać hetmanowi, iż wziął tył Bogusławowemu wojsku.

Sam zaś, jak kat od krwi ludzkiej czerwony, szykował wśród płomieni swych Tatarów, aby powieść ich dalej.

Już stanęli w ordynku i wyciągnęli się w ławę, gdy

nagle, na polu oświeconem jak w dzień pożarem, ujrzeli przed sobą oddział olbrzymiej rajtarji elektorskiej.

Wiódł ją rycerz, widny zdaleka, bo w srebrne blachy ubrany i siedzący na białym koniu.

— Bogusław! — ryknął nieludzkim głosem Kmicic i runął z całą tatarską ławą naprzód.

Szli więc ku sobie, jako dwie fale dwoma wichrami gnane. Przestrzeń dzieliła ich znaczna, więc konie po obu stronach wzięły pęd największy i szły ze stulonemi uszami wyciągnięte jak charty, ziemię niemal brzuchami szorując. Z jednej strony lud olbrzymi, w błyszczących kirysach, z prostemi szablami wyniesionemi w prawicach ku górze, z drugiej szara ćma tatarska.

Wreszcie uderzyli się długą ławą na widnem polu, lecz wówczas stało się coś strasznego. Tatarska ćma padła jak łan położony wichrem; olbrzymi lud zaś przejechał po niej i leciał dalej, jakoby ludzie i konie mieli siłę gromów, a skrzydło burzy.

Po niejakim czasie zerwało się kilkudziesięciu Tatarów i poczęło ich ścigać. Po dziczy można przejechać, lecz zgnieść jej jednym przejazdem niepodobna. To też coraz więcej ludzi dążyło za uciekającą rajtarją. Arkany poczęły świstać w powietrzu.

Lecz na czele uciekających jeździec na białym koniu biegł ciągle w pierwszym szeregu, a między ścigającymi nie było Kmicica.

Szarym rankiem poczęli dopiero powracać Tatarowie i każdy niemal wiódł na arkanie rajtara. Wnet znaleźli Kmicica i bezprzytomnego odwieźli do pana Sapiehy.

Hetman sam siedział nad jego łożem. O południu otworzył pan Andrzej oczy.

— Gdzie Bogusław? — były jego pierwsze słowa.

— Zniesion zeszczętem... Bóg pofortunił mu z początku, więc wyszedł z brzeźniaków i w gołem polu wpadł na piechoty pana Oskierki, tam utracił ludzi i wiktorję...

Nie wiem. czy pięćset ludzi nawet uszło, bo siła jeszcze twoi Tatarzy wyłapali.

— A onże sam?

— Uszedł.

Kmicic pomilczał chwilę i rzekł:

— Jeszcze mi się z nim nie mierzyć. Ciął mnie koncerzem w głowę i obalił razem z koniem... Szczęściem misiurka z cnotliwej stali nie puściła. alem zemdlał.

— Tę misiurkę powinieneś w kościele powiesić.

— Będziem go ścigali. choćby na kraj świata! — rzekł Kmicic.

Na to hetman:

— Patrzaj, jaką wiadomość dziś odebrałem po bitwie.

I podał mu list.

Kmicic przeczytał w głos następujące słowa:

„Król szwedzki ruszył z Elbląga. idzie na Zamość, stamtąd na Lwów. na króla. Przybywaj wasza dostojność z wszystką potęgą na ratunek Panu i Ojczyźnie. bo sam nie wytrzymam. — Czarniecki.“

Nastała chwila milczenia.

— A ty ruszysz z nami, czy pójdziesz z Tatary do Taurogów? — spytał hetman.

Kmicic zamknął oczy. Wspomniał na słowa księdza Kordeckiego, na to, co mu Wołodyjowski o Skrzetuskim opowiadał i odrzekł:

— Na potem prywaty! Przy ojczyźnie chcę się nieprzyjacielowi oponować!

Hetman ścisnął go za głowę.

— Toś mi brat! — rzekł — a żem stary, przyjm moje błogosławieństwo...

KONIEC TOMU CZWARTEGO